

JOSEPH CONRAD

ZE WSPOMNIEŃ

PRZEŁOŻYŁA: ANIELA ZAGÓRSKA
TYTUŁ ORYGINAŁU: »A PERSONAL RECORD«

SCAN-DAL

OD AUTORA

Ukazanie się tej książki w nowej postaci nie wymaga właściwie drugiej przedmowy. Ale ponieważ wynurzenia autora są tu bardzo na miejscu, korzystam ,ze sposobności, aby wspomnieć o dwóch kwestiach, wynikłych z pewnych dotyczących mnie oświadczeń, które niedawno pojawiły się w prasie.

Jedno z nich dotyczy języka. Czulem zawsze, że ludzie patrzą na mnie jak na pewnego rodzaju dziwoląga; jest to opinia, którą tylko cyrkowcy mogą uznać za pożądaną. Trzeba specjalnego usposobienia, aby lubować się w fakcie, że się umie dokonywać dziwacznych rzeczy z rozmysłem i jak gdyby z czystej próżności.

Fakt, że nie piszę w ojczystym języku, był naturalnie często omawiany w recenzjach i notatkach o różnych mych książkach oraz w obszerniejszych artykułach krytycznych. Sądzę, że to było nieuniknione, a komentarze brzmiały naprawdę wyjątkowo pochlebnie. Ale nie mam i nie mogę mieć pod tym względem próżności, którą by można polechtać.

W notatce tej chcę przede wszystkim odrzucić wszelką zasługę, mogącą wypływać z aktu świadomej woli. Rozpowszechniło się jakoś wrażenie, że dokonałem wyboru między dwoma obcymi dla mnie językami, francuskim i angielskim. To wrażenie jest mylne. Zdaje mi się, że wywołał je artykuł Sir Hugh Clifforda, ogłoszony, o ile pamiętam, w roku 1898. Na jakiś czas przedtem Sir Hugh Clifford przyjechał mnie odwiedzić. Wprawdzie nie jest pierwszym przyjacielem, którego pozyskały mi moje książki, ale jest jednym z dwóch pierwszych, obok pana Cunninghame Grahama; ostatni — rzecz charakterystyczna — zachwycił się moją nowelą *Placówka postępu*. Te związki przyjaźni przetrwały po dziś dzień i zaliczam je do swych cennych skarbów.

Pan Hugh Clifford (nie miał jeszcze wówczas tytułu) ogłosił był właśnie pierwszy tom szkiców malajskich. Oczywiście wizyta jego ucieszyła mnie niezmiernie, zarówno jak i wszystkie miłe słowa o pierwszych mych książkach oraz o pewnych nowelach mających za tło Archipelag Malajski. Pamiętam, że powiedział wiele rzeczy, od których powinienem był w swej skromności zaczerwienić się po uszy, i w końcu rzekł z bezwzględna, lecz dobrotliwą stanowczością człowieka, zwykłego mówić gorzką prawdę nawet potentatom Wschodu (oczywiście dla ich własnego dobra), że właściwie nie mam pojęcia o Malajach. Wiedziałem o tym dobrze. Nie uważałem się nigdy za wyrocznie w tych kwestiach i odpaliłem (dziwię się po dziś dzień swej zuchwałości): „Naturalnie że

nie mam pojęcia o Malajach. Gdybym wiedział choćby setną część tego, co pan i Frank Swettenham wiecie o nich, to wszyscy by otwarli usta z podziwu.” Hugh Clifford w dalszym ciągu patrzył na mnie dobrotliwie (lecz stanowczo) i wreszcie obaj wybuchnęliśmy śmiechem. Podczas tej przemilej wizyty sprzed lat dwudziestu, którą tak dobrze pamiętam, mówiliśmy o wielu rzeczach — między innymi o charakterystycznych cechach różnych języków — i tego dnia właśnie mój przyjaciel odniósł wrażenie, że zrobiłem świadomy wybór między francuskim i angielskim. Później, gdy przyjaźń (która dla Sir Hugh Clifforda nie jest pustym słowem) pobudziła go do napisania studium o Josephie Conradzie w „North American Review”, podzielił się swym wrażeniem z publicznością.

Odpowiedzialność za owo nieporozumienie, gdyż nie było to nic innego, spada z pewnością na mnie. Widać się źle wyraziłem w ciągu przyjaznej i poufnej rozmowy, kiedy się słów nie dobiera. Pamiętam, że chciałem rzec co następuje: Gdybym był musiał zrobić wybór między tymi dwoma językami, to — pomimo że znam niezłe francuski i władam nim od dzieciństwa — lękałbym się wypowiadać w języku tak bardzo „skryzalizowanym”. Zdaje mi się, że użyłem właśnie tego słowa. Potem przeszliśmy na inne tematy. Musiałem mówić trochę o sobie, a to, co Sir Hugh Clifford opowiadał o swej pracy na Wschodzie, na jego odcinku Wschodu, który poznałem tylko przelotnie i powierzchownie, było niezmiernie zajmujące. Może obecny gubernator Nigerii nie pamięta tej rozmowy równie dobrze jak ja, lecz jestem pewien, że nie weźmie mi za złe tego, co w języku dyplomatów nazywa się „sprostowaniem”; a sprostowanie to dotyczy słów nieznanego autora, którego Sir Hugh Clifford wyszukał i z którym nawiązał przyjaźń, powodowany szlachetną sympatią.

Prawda polega na tym, że moja właściwość pisania po angielsku przyszła mi tak łatwo jak pierwsza lepsza wrodzona skłonność. Mam szczególne a niezachwiane poczucie, iż ta właściwość była zawsze nieodłączną częścią mojej istoty. Angielski język nie był dla mnie nigdy kwestią wyboru lub adopcji. Pomysł wyboru nie przyszedł mi nawet do głowy. A co do adopcji — no tak, ta miała istotnie miejsce; ale to ja zostałem zaadoptowany przez ducha języka, który owładnął mną z chwilą, gdym przewyciężył pierwsze trudności angielskiej mowy; owładnął mną tak zupełnie, że, według mego przekonania, nawet jego idiomy wpłynęły bezpośrednio na moje usposobienie i kształtowały mój charakter, wówczas jeszcze podatny wpływom.

Oddziaływanie to sięgało bardzo głęboko i dlatego zbyt jest tajemnicze, aby można je było wyjaśnić. To jest równie niemożliwe, jak wyjaśnić miłość od pierwszego

wejrzenia. Była w tym związku ta sama prawie fizyczna radość z zetknięcia się, ta sama wzruszona uległość i duma z posiadania, a zarazem zdumienie towarzyszące wielkiemu odkryciu; lecz nie było tam ani śladu strasznego zwątpienia, które pada cieniem na płomień naszych przemijających namiętności. Wiedziałem bardzo dobrze, że to już nie przeminie.

Właściwość pisanie po angielsku przypadła mi jak odkrycie, nie otrzymałem jej w spadku, i właśnie niższość mych praw do niej czyni mi ją tym bardziej cenną i obowiązuje do tego, aby okazać się godnym wielkiego szczęścia. Ale zdaje się, że to wszystko brzmi, jakbym usiłował wyjaśnić tę sprawę — co przed chwilą uznałem za niemożliwe. Można przyznać z najwyższym uznaniem, że w zakresie czynu Niepodobieństwo nie istnieje dla nieugiętego ludzkiego ducha, natomiast w zakresie analizy stajemy wcześniej czy później wobec Niepodobieństwa. Wszystko, do czego mam prawo po upływie tylu lat pracy pełnej żarliwego oddania, a także i niepokoju, płynącego ze zwątpień, wahań i niedoskonałości, wszystko, do czego mam prawo — to, aby mi wierzono, gdy mówię, że gdybym nie był pisał po angielsku, nie byłbym pisał wcale.

Druga uwaga, która mi się nasuwa, jest także sprostowaniem, ale mniej bezpośrednim. Nie ma żadnego związku ze sposobami wypowiedania się; wprawdzie dotyczy mnie jako autora, lecz w inny sposób. Nie moją jest rzeczą krytykowanie mych sędziów, tym bardziej że czułem zawsze, iż oceniają mnie wyżej, niż na to zasługuję. Ale wydaje mi się, że ich niezmienna dla mnie życzliwość przypisywała narodowym i historycznym wpływom to, co, moim zdaniem, zależy po prostu od indywidualnych cech jednostki. Tak zwany w literackim świecie *sclavonism*¹ jest absolutnie obcy polskiemu temperamentowi z jego tradycją wolności, jego rycerskim poglądem na moralne wędzidła i przesadnym szacunkiem dla praw jednostki; pominąwszy już ten ważny fakt, że polska umysłowość, zachodnia z natury, kształtowała się na wzorach włoskich oraz francuskich, sympatyzując zawsze, jak świadczy historia, nawet w sprawach religijnych, z najbardziej liberalnymi prądami myśli europejskiej. Bezstronny pogład na ludzkość we wszystkich jej fazach wspaniałości i nędzy, a przy tym szczególny szacunek dla praw tych, co na tej ziemi pozbawieni są przywilejów, szacunek nie wypływający z pobudek mistycznych, lecz oparty na gruncie prostego koleżeństwa i szlachetnych wzajemnych usług—oto zasadnicze rysy duchowej i moralnej atmosfery w domach, pod których dachem spędziłem niespokojne dzieciństwo; a rysy te wypływają z wewnętrznych

¹ Sclavonism — połączenie słów esclave, niewolnik (fr.) oraz Slav, Słowianin (ang.).

głębokich przekonań, niewzruszonych i konsekwentnych, bardzo dalekich od tego humanitaryzmu, który wydaje mi się tylko kwestią niepoczytalnych nerwów lub chorobliwego sumienia.

Jeden z najzyczliwszych mych krytyków usiłował przypisać pewne charakterystyczne cechy mego dzieła temu, że „jestem synem rewolucjonisty”. Jest to najmniej trafne ze wszystkich określeń w stosunku do człowieka, którym był mój ojciec, mający tak silne poczucie odpowiedzialności w zakresie idei i czynu i tak nieczuły na poduszczenia osobistej ambicji. Nie mogę doprawdy pojąć, dlaczego w całej Europie określano jako „rewolucje” polskie powstania z lat 1831 i 1863. Te powstania były po prostu buntami przeciw obcej przemocy. Nawet sami Rosjanie nazywali je rokoszami, co z ich punktu widzenia było ścisłą prawdą. Ojciec mój nie był bardziej rewolucyjny od innych Polaków zajętych przygotowaniem wypadków z 1863 r., to jest nie pracował nad obaleniem żadnego społecznego czy politycznego systemu. Był po prostu patriotą, człowiekiem, który wierzy w ducha narodu i nie może znieść, aby ten duch cierpiał niewolę.

Wywołano na forum publiczne postać ojca w życzliwej intencji usprawiedliwienia dzieła syna, pragnę wiać jeszcze kilka słów powiedzieć o tej postaci z mojej przeszłości. Jako dziecko nie zdawałem sobie sprawy z działalności ojca, bo .umarł, zanim jeszcze skończyłem lat dwanaście. Widziałem na własne oczy uroczysty pogrzeb, pustą jezdnię, milczące tłumy; lecz było dla mnie jasne, że duch narodu chwycił dogodną sposobność, aby się wypowiedzieć. Tłum robotników i młodzieży akademickiej z obnażonymi głowami, kobiety u okien, uczniowie na chodnikach, wszyscy ci ludzie nie mogli wiedzieć o moim ojcu nic poza znaną jego wiernością dla uczucia, które panowało wszechwładnie we własnych ich sercach. I ja sam wówczas nie wiedziałem nic więcej; ta wielka, milcząca manifestacja wydała mi się najprostszym z holdów nie dla człowieka, lecz dla idei.

Mnie osobiście wrzuciło daleko silniej spalenie rękopisów ojca na jakie dwa tygodnie przed jego śmiercią. Odbyło się to pod własnym jego nadzorem. Tego wieczora wszedłem do pokoju ojca trochę wcześniej niż zwykle i, nie zauważony przez nikogo, przypatrywałem się szarytce wrzucającej rękopisy do ognia rozpalonego na kominku. Mój ojciec siedział w głębokim fotelu wsparty o poduszki. Wstał wówczas z łóżka po raz ostatni. Wyglądał w moich oczach jak człowiek nie tyle beznadziejnie chory, co śmiertelnie znużony — jak człowiek pokonany. Ów akt zniszczenia papierów dotknął mnie głęboko, bo wyglądał na poddanie się. Ale nie śmierci. Dla człowieka tak silnej

wiary śmierć wrogiem być nie mogła.

Przez wiele lat byłem pewien, że rękopisy ojca zostały spalone aż do ostatniego skrawka, lecz w lipcu 1914 roku bibliotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego odwiedził mnie w czasie mego krótkiego pobytu w Polsce i wspomniał, że istnieje kilka rękopisów mego ojca, a także i seria listów pisanych przed wygnaniem i podczas wygnania do najbliższego przyjaciela, który przesłał je do Uniwersytetu na przechowanie. Poszedłem od razu do biblioteki, ale miałem wtedy czas tylko okiem na nie rzucić. Chciałem przyjść znowu nazajutrz i polecić, aby sporządzono kopię całej korespondencji. Lecz nazajutrz wybuchła wojna. Więc może już się nigdy nie dowiem, co ojciec mój pisał do najbliższego przyjaciela w czasach domowego szczęścia, w pełni żywych nadziei, w początkach swego ojcostwa — i później, w godzinach rozczarowania, sieroctwa i żaloby.

Myślałem także, że zapomniano o nim zupełnie w czterdzieści pięć lat po jego śmierci. Ale nie. Kilku młodych literatów wydobyło go z zapomnienia, głównie jako wybitnego tłumacza Szekspira, Wiktora Hugo i Alfreda de Vigny; ojciec mój przełożył dramat tego ostatniego *Chatterton* i zaopatrzył go wymownym wstępem, broniąc głęboko ludzkich uczuć poety i jego ideału, polegającego na szlachetnym stoicyzmie. Przypomniano także polityczną działalność mego ojca; kilku współczesnych mu ludzi — jego kolegów w pracy, zmierzającej do utrzymania w narodzie niezłomnej nadziei na przyszłą niepodległość — ogłosiło po dojściu do starości wspomnienia, w których rola odegrana przez mego ojca została ujawniona po raz pierwszy. Dowiedziałem się wówczas o faktach z jego życia zupełnie mi nie znanych, faktach, które poza grupą wtajemniczonych mogły być wiadome tylko jednej osobie — mej matce. I tak, z tomu pośmiertnych wspomnień odnoszących się do tych gorzkich lat, dowiedziałem się, że pierwotnym zamiarem tajnego Narodowego Komitetu było zorganizować opór moralny przeciwko wzmożonemu rosyjskiemu uciskowi i że projekt ten wyszedł od mego ojca, a pierwsze zebrania Komitetu odbywały się w naszym mieszkaniu w Warszawie; pamiętam z tego mieszkania wyraźnie tylko jeden pokój, biały i czerwony, prawdopodobnie salon. Były tam sklezione drzwi — najwyższe, jakie sobie można wyobrazić. Dokąd prowadziły, pozostaje dla mnie tajemnicą; lecz po dziś dzień nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wszystko to było olbrzymich rozmiarów i że postacie, ukazujące się i znikające w tej niezmiernej przestrzeni, przerastały wzrostem ludzi, których spotykałem w późniejszym życiu. Pamiętam wśród nich moją matkę, bliższą mi od innych postaci, ubraną w czerń narodowej żaloby, noszonej Wbrew okrutnym zakazom policji. Zachowałem też, głównie z tych czasów, wspomnienie lelku wobec tajemniczej

matczynej powagi, która nie była jednak pozbawiona uśmiechu. Bo pamiętam i uśmiechy mej matki. Pewno dla mnie umiała zawsze zdobyć się na uśmiech. Była wówczas młoda, nie miała jeszcze trzydziestu lat. Umarła w cztery lata później na wygnaniu.

Na kartach tej książki wspominam o odwiedzinach mej matki w domu brata, mniej więcej na rok przed jej śmiercią. Opowiadam też trochę o moim ojcu, tak jak go pamiętam w latach następujących po śmiertelnym ciosie, którym była dla niego utrata żony. Wywołałem ponownie te cienie, odpowiadając na słowa życzliwego krytyka, a teraz niechże im będzie wolno powrócić na miejsce swego spoczynku, gdzie ich ziemskie postacie trwają wciąż, zasnutę mgłą, lecz żywe, czekając chwili, kiedy ich dojmująca rzeczywistość, ostatni ślad ich życia na ziemi zniknie wraz ze mną na zawsze z tego świata.

J. C.

1919 r.

PRZEDMOWA BEZ CEREMONII

Nie potrzebujemy w zasadzie silnego bodźca, aby mówić o sobie, a jednak ta niewielka książka jest wynikiem przyjaznej zachęty, nawet lekkiego przyjaznego nacisku. Bronilem się dość żywo, lecz przyjazny głos powtarzał mi z charakterystycznym uporem: „Słuchaj, musisz koniecznie napisać swoje wspomnienia.”

Nie był to żaden argument, ale poddałem się od razu. Jak trzeba, to trzeba!

Oto jaką siłę ma słowo. Ten, który pragnie innych przekonać, powinien zaufać nie właściwemu argumentowi, lecz właściwemu słowu. Siła dźwięku działa zawsze mocniej niż siła argumentu. Nie mówię tego z pogardą. Korzystniej jest dla ludzkości rządzić się wrażeniem niż refleksją. Nic z tego, co po ludzku jest wielkie — w tym znaczeniu, że dotyczy ogromnej liczby istnień — nie zrodziło się z namysłu. Natomiast każdy zdaje sobie sprawę z potęgi słów — takich na przykład jak Chwała lub Litość. Innych nie wymieniam. Nie trzeba ich szukać daleko. Te dwa słowa — wygłaszane z zapalem, z przekonaniem, z wytrwałością — samym swym dźwiękiem wprawiły w ruch całe narody i rozkołysały suchy, twardy grunt, który jest podłożem całej naszej społecznej budowy. Jeśli chcecie, wymienię także i Cnotę! Trzeba naturalnie uważać i na ton wypowiedzianego słowa. Na właściwy ton. To bardzo jest ważne. Trzeba mieć potężne płuca i grzmiące lub czule głosowe struny. Nie mówcie mi o dźwigni Archimedesesa; był to roztargniony osobnik o wyobraźni matematyka. Nauki matematyczne budzą we mnie wielki szacunek, ale nie umiem się obchodzić z maszynami. Dajcie mi właściwe słowo i właściwy ton, a świat z miejsca poruszę.

Cóż to za marzenie dla pisarza! Albowiem pisane słowa mają także swój ton. Tak! Byle tylko znaleźć właściwe słowo! Tkwi ono gdzieś z pewnością wśród szczątków wszystkich radosnych uniesień i wszystkich skarg, rozbrzmiewających już od pierwszego dnia, kiedy nadzieja — nieśmiertelna nadzieja — zstąpiła na ziemię. Może słowo to jest gdzieś blisko, pod ręką, nie zauważone i niewidzialne. Ale cóż mi z tego? Myślę, że są ludzie, którzy potrafią znaleźć od razu igłę w stogu siana. Co do mnie, nigdy się takim szczęściem nie cieszyłem.

A przy tym chodzi także i o ton. Jeszcze jedna trudność. Bo jakże osądzić, czy ton jest właściwy, czy nie, dopóki nie wykrzyknie się słowa, które może polecą z wiatrem nie zauważone przez nikogo i wcale świata nie poruszy? Żył ongi cesarz, który był mędrcom i poniekąd pisarzem. Notował na tabliczkach z kości słoniowej myśli, maksymy, uwagi,

ocalone przez los ku zbudowaniu potomności. Wśród różnych powiedzeń — cytuję z pamięci — jest tam uroczyste napomnienie: „Niech wszystkie twoje słowa mają ton bohaterskiej prawdy.” Ton bohaterskiej prawdy! Bardzo pięknie, ale sądzę, że łatwo było surowemu cesarzowi spisywać wzniosłe rady. Prawdy, według których ludzie postępują, są po większej części skromne, a nie bohaterskie; istniały zaś czasy w historii, gdy słowa bohaterskiej prawdy budziły w ludziach tylko szyderstwo.

Niech się nikt nie spodziewa, że znajdzie na kartach tej książki słowa o niezwyklej potędze lub ton porywającego bohaterstwa. Wprawdzie obniża to moje pojęcie o samym sobie, ale muszę wyznać, iż rady Marka Aureliusza do mnie nie przemawiają. Odpowiedniejsze są dla moralizatora niż dla artysty. Mogę wam obiecać prawdę z rodzaju tych skromnych — i szczerść poza tym. Tę zupełną, chwalebłą szczerść, która wydaje człowieka w ręce jego nieprzyjaciół, a jednocześnie poróżnia go często z przyjaciółmi.

„Poróżnia” jest może zbyt silnym wyrażeniem. Nie umiem sobie wyobrazić ani wśród mych przyjaciół, ani wśród wrogów kogoś tak znudzonego beczynnością, aby chciało mu się ze mną pokłócić. „Szczerść rozczarowuje przyjaciół” — bliższe jest prawdy. Większość przyjaźni — prawie wszystkie przyjaźnie w okresie pisarskim mego życia — zawdzięczam moim książkom; i wiem, że powieściopisarz żyje w swym dziele. Tkwi w nim jako jedyna rzeczywistość wymyślonego świata, wśród urojonych rzeczy, wydarzeń i ludzi. Pisząc o nich, piszę jedynie o samym sobie. Ale to uzewnętrznienie się nie jest zupełne. Pisarz pozostaje do pewnego stopnia jakby za zasłoną, obecność jego jest raczej przeczuwana niż widzialna — niby ruchy i głos dochodzące zza ekranu .powieści. W tych zapiskach zasłona ta nie istnieje. I nieodparcie przychodzi mi tu na myśl pewien ustęp z *Naśladowania Chrystusa*, gdzie ascetyczny autor, co tak głęboko znał życie, mówi: „Bywa, że osoby, które szanujemy na podstawie ich reputacji, przy osobistym zetknięciu psują opinię, jaką miało się o nich.” Oto niebezpieczeństwo grożące pisarzowi powieści, który zaczyna mówić o sobie bez osłonek.

Gdy te wspomnienia wychodziły w odcinku, strofowano mnie za złą gospodarkę, jakby tego rodzaju pisanie było czymś na kształt pobłażania samemu sobie, jakby trwonilo materiał przyszłych tomów. Widocznie zbyt mało we mnie jest z literata. Doprawdy, człowiek, który aż po trzydziesty szósty rok życia nie napisał ani jednego wiersza z myślą o druku, nie może siebie zmusić do zapatrywania się na swoje istnienie i przeżycia, na wszystkie swe myśli, doznania i wzruszenia, na swoją przeszłość i swoje żale, i wszystko, co go kiedykolwiek spotkało, wyłącznie jako na tworzywo dla swoich

rąk. Robiono mi już podobne uwagi ze trzy lata temu, gdy wydałem *Zwierciadło morza*, tom złożony ze wspomnień i wrażeń. Uwagi te były praktyczne. Lecz wyznam, że nie mogłem nigdy zrozumieć tego rodzaju oszczędności, jaką mi zalecano. W *Zwierciadle morza* pragnąłem złożyć hołd morzu, jego statkom i ludziom, którym zawdzięczam w wielkim stopniu, że stałem się tym, czym jestem. Okazanie czci ich ceniom wydawało mi się możliwe jedynie w takiej formie. Inaczej sobie tego wyobrazić nie mogłem. Widać zły ze mnie ekonomista — ale jestem stanowczo niepoprawny.

Dojrzewałem na morzu, wśród szczególnych warunków morskiego życia, i mam specjalny pietyzm dla tej fazy mojej przeszłości; albowiem skupione w niej wrażenia były żywe, jej zew bezpośredni, a wymagania tego rodzaju, że mogłem im sprostać z właściwym młodemu wiekowi uniesieniem i siłą. Nie było w tych wymaganiach nic, co by mogło wprowadzić rozterkę do młodego sumienia. Wyrwałem się ze swego kraju wśród gromów rzucanych na mnie przez wszystkich ludzi, mających choćby najlżejsze prawo do wypowiedzenia opinii; od pozostałych mi najbliższych osób oddzielała mię nie tylko wielka przestrzeń, ale poniekąd i niepojęty dla nich rodzaj życia, które uwiodło mnie tak tajemniczo i sprowadziło z drogi posłuszeństwa — toteż mogę śmiało powiedzieć, że na skutek ślepej siły okoliczności morze stało się na długi szereg lat mym światem, a marynarka handlowa jedynym domowym ogniskiem. Nic więc dziwnego, iż w moich dwóch wyłącznie morskich książkach, w *Murzynie z załogi Narcyza* i *Zwierciadle morza* (a także w kilku krótkich opowieściach z morskiego życia, np. w *Młodości* i *Tajfunie*) usiłowałem z nieledwie synowskim szacunkiem odtworzyć życie drgające w wielkim świecie wód, w sercach prostych ludzi, którzy od wieków wędrują po jego (pustych obszarach, a także oddać to coś żywego, co zdaje się tkwić w okrętach — dziele ludzkich rąk i przedmiocie ludzkiej pieczołowitości.

Życie twórcze pisarza musi się często zasilać wspomnieniem i szukać rozmowy z cieniami — chyba że autor postanowił pisać tylko w tym celu, aby strofować ludzkość za to, czym jest, lub chwalić ją za to, czym nie jest, albo też w ogóle uczyć ją, jak się ma zachowywać. Nie będąc ani sprzeką, ani pochlebcą, ani mędrcom nie uprawiałem żadnej z tych rzeczy i jestem gotów znieść z 'pogodą lekceważenie będące udziałem tych, którzy nie zajmują się wścibstwem w jakimkolwiek zakresie. Lecz rezygnacja nie jest obojętnością. Nie chciałbym, aby mnie uważano tylko za widza, który stoi na brzegu wielkiej rzeki unoszącej tyle istnień. Pragnąłbym, żeby mi przyznano dar pewnej wnikliwości, która umie się wypowiedzieć głosem sympatii i współczucia.

Zdaje się, iż co najmniej jeden z miarodajnych odłamów krytyki posądza mnie o

to, że się odnoszę do faktów z pewnego rodzaju ponurą obojętnością; Francuzi nazwaliby to *sécheresse de coeur*². Piętnaście lat niezachwianego milczenia wobec (pochwał lub nagany świadczy dostatecznie o mym szacunku dla krytyki — pięknego kwiatu wyrosłego z osobistych wynurzeń w ogrodzie literatury. Lecz tamto posądzenie jest bardziej osobistej natury, dosięga człowieka poza jego książkami i dlatego wolno mi o nim wspomnieć w dziełku, które jest osobistą notatką na marginesie publicznej karty. Nie czuję się bynajmniej dotknięty owym zarzutem. Oskarżenie — jeśli w ogóle można to nazwać oskarżeniem — zostało wypowiedziane z jak największym szacunkiem; brzmiała w nim nuta żalu.

A oto moja odpowiedź. Jeśli jest prawdą, że każda powieść zawiera autobiograficzne pierwiastki — a trudno temu zaprzeczyć, ponieważ twórca może wyrazić tylko siebie w swym dziele — to dla niektórych pisarzy publiczne rozwodzenie się nad swymi uczuciami jest wstrętne. Nie chciałbym wychwalać przesadnie cnoty powściągliwości. Często jest to po prostu kwestia temperamentu. Ale powściągliwość nie zawsze świadczy o chłodzie. Bywa także oznaką dumy. Największe z upokorzeń grożących pisarzowi, to widzieć, jak pocisk jego wzruszenia omija cel — wzbudzenie łez lub śmiechu. Nic bardziej nie upokarza! A to dlatego, że jeśli cel jest chybiony, jeśli pokaz uczuć nie wzruszył czytelnika, wówczas wrażenie przepada niechybnie, budząc wstręt lub pogardę. Nie można mieć za złe żadnemu artyście, iż wzdraga się przed ryzykiem, które tylko durnie biorą na siebie z ochotą, a którego jedynie geniusz może bezkarnie się podjąć. W zadaniu polegającym głównie na tym, że w mniejszym lub większym stopniu obnaża się duszę przed ludźmi, względ na przyzwoitość — nawet za cenę powodzenia — jest u pisarza tylko szacunkiem dla własnej godności, związanej nierozdzielnie z godnością jego dzieła.

Poza tym bardzo trudno na tej ziemi być całkowicie wesołym lub też całkowicie smutnym. Śmieszność, jeśli jest głęboko ludzka, nabiera cech bólu; niektóre zaś z naszych cierpień (tylko niektóre, nie wszystkie, bo właśnie zdolność do cierpienia czyni człowieka wzniosłym w oczach innych ludzi) mają swe źródło w słabościach, które należy przyjąć z uśmiechem współczucia, jako do wspólnego dziedzictwa nas wszystkich. Radość i smutek na tym świecie przenikają się nawzajem, stapiając swe kształty i szepty w półmroku życia tajemniczego jak mroczny ocean, a olśniewająca, czarowna jasność wymarzonych nadziei tkwi nieruchomo w dali, u krańca odległego widnokregu.

Tak! I ja bym pragnął trzymać magiczną różdżkę, dającą władzę nad śmiechem

2 oschłością serca (fr.)

j. Iżami, uznaną za szczyt literatury pięknej. Lecz alby się stać wielkim czarodziejem, trzeba się poddać tajemnym i nieodpowiedzialnym siłom, znajdującym się poza nami lub też w naszych własnych piersiach. Słyszeliśmy wszyscy o prostytutkach sprzedających duszę dziwacznemu diabłu w zamian za miłość lub ‘potęgę. Najzwyczajniejszy umysł potrafi dostrzec, nie wyężdżając się zbytnio, że na tego rodzaju umowie musi się wyjść jak Zabłocki na mydle. Nie uważam, aby moja antypatia i nieufność do podobnych transakcji dowodziła szczególnej mądrości. Może zaważył tu mój zawód marynarza — w połączeniu z wrodzoną mi skłonnością do trzymania się jedynej rzeczy bezspornie mojej — lecz odczuwam po prostu wstręt do utraty, nawet na jedną chwilę wzruszenia, tej pełnej władzy nad samym sobą, która jest pierwszym warunkiem dobrej służby. A pojęcie o dobrej służbie przenieśliem z mego wcześniejszego do późniejszego życia. Ja, który nie szukałem nigdy w pisanim słowie nic poza pewną postacią Piękna, przenieśliem tamten artykuł wiary z pokładu okrętów na bardziej ograniczoną przestrzeń mego biurka i sądzę, że stałem się przez to raz na zawsze niedoskonały w oczach wykwiutnego towarzystwa czystych estetów.

Zarówno na politycznym, jak i na literackim polu ludzie najczęściej zdobywają sobie przyjaciół przez namiętność swych uprzedzeń i konsekwentną ciasnotę Dogłądów. Ale nigdy nie umiałem kochać tego, co nie jest godne miłości, lub nienawidzić tego, co na nienawiść nie zasługuje — wyłącznie przez szacunek dla jakiejś ogólnej zasady. Nie wiem, czy trzeba odwagi, aby to wyznać. Gdy przebyliśmy połowę drogi wyznaczonej nam w życiu, patrzymy beznamiętnie na radości i niebezpieczeństwa. Tedy oświadczam ze spokojem, że w wysiłku dążącym do wywołania skrajnych wzruszeń, podejrzewałem zawsze poniżający odcień nie szczerości. Aby głęboko poruszyć innych, musimy z całym rozmysłem dać ‘się porwać uniesieniu poza granice właściwej nam wrażliwości; jest to może dość niewinne i nieuniknione — jak u aktora, który na scenie podnosi głos ponad ton zwykłej rozmowy — ale jest jednak konieczne. Niewielki to grzech bez wątpienia. Lecz niebezpieczeństwo polega na tym, że pisarz może Stać się ofiarą swej przesady, może stracić poczucie własnej szczerości i w końcu może zacząć lekceważyć samą prawdę jako coś zbyt zimnego, zbyt tępego dla jego celu, jako w gruncie rzeczy coś, co zbyt słabo .wyraża zachłanne wzruszenie twórcy. Od śmiechu i łez łatwa droga do szlochów i chichotu.

Te uwagi mogą się wydać egoistyczne; ale zasady zdrowej etyki nie pozwalają potępić człowieka za to, że dba o własną uczciwość. To jego prosty obowiązek. A już najmniej można potępić artystę, który dąży — choćby pokornie i nieudolnie — do

twórczego celu. W tym wewnętrznym świecie, gdzie myśl artysty i jego wrażliwość dążą do przeżywania zmyślonych przygód, nie ma policjantów ani praw, ani nacisku okoliczności lub lęku przed opinią, które by pomogły twórcy utrzymać się w ryzach. Któż zatem przeciwstawi się jego pokusom, jeśli nie jego własne sumienie?

A przy tym — pamiętajcie, że to jest miejsce i okazja do zupełnej otwartości — sądzę, że każda ambicja jest uprawniona prócz tych, które pną się w górę po ludzkiej łatwowności i ludzkich cierpieniach. Wszelkie umysłowe i artystyczne ambicje są dozwolone aż do granic ‘zdrowego rozsądku, a nawet poza jego granicami. Nikomu to krzywdy nie wyrządzi. Jeśli ambicje artysty są szalone, tym gorzej dla niego. Zaiste — takie ambicje, podobnie jak i cnota, bywają same dla siebie nagrodą. Czy to jest szaleńcza zarozumialość, jeśli pisarz wierzy we władczą potęgę swej sztuki, jeśli próbuje coraz innych środków, innych dróg, aby potwierdzić tę wiarę przez osiągnięcie głębszej wymowy w swym dziele? Gdy artysta usiłuje sięgnąć głębiej, nie znaczy to, aby był nieczuły. Dziejopis serc nie jest dziejopisem wzruszeń, a jednak przenika głębiej, mimo swej powściągliwości, ponieważ celem jego jest dotarcie aż do samego źródła śmiechu i łez. Widok ludzkich spraw zasługuje na podziw i litość. A także i na szacunek. Nie można pomawiać o obojętność tego, kto składa powściągliwy hołd ludzkim sprawom w westchnieniu, które nie jest szlochem, w uśmiechu, który nie jest grymasem. Rezygnacja, bynajmniej nie mistyczna lub oderwana, rezygnacja o szeroko otwartych oczach, świadoma siebie i natchniona przez miłość, jest jedynym z uczuć, które nie może stać się błagą.

Nie uważam jednak rezygnacji za ostatnie słowo mądrości. Zbyt jestem na to dzieckiem swego czasu. Ale myślę, że właściwą mądrością jest pragnąć tego, czego pragną bogowie, nie wiedząc może, czego oni pragną, a nawet czy mają w ogóle jakie pragnienia. W tej sprawie życia i sztuki „jak” ważniejsze jest dla naszego szczęścia niż „dlaczego”. Zgodnie z powiedzeniem tego Francuza: „*Il y a toujours la manière.*” Święta prawda. Tak. (Sposób także coś znaczy. Sposób, w jaki człowiek się śmieje, płacze, ironizuje, oburza czy zapala, wypowiada swą opinię — i nawet kocha. Sposób postępowania, który — niby rysy i wyraz ludzkiej twarzy — odbija wewnętrzną prawdę dla tych, co umieją patrzeć na swoich bliźnich.

Ci, którzy mnie czytają, wiedzą o moim przekonaniu, że świat, doczesny świat, spoczywa na paru bardzo prostych wyobrażeniach, tak prostych, że muszą być prastare. A między innymi spoczywa głównie na pojęciu Wierności. W czasach, kiedy można się spodziewać, że tylko to, co zawiera jakikolwiek element rewolucyjny, przyciągnie ogólną

uwagę, nie byłem rewolucyjny w swych książkach. Buntowniczy duch jest niezmiernie wygodny z tego względu, że pozbawia człowieka wszelkich skrupułów w stosunku do idei. Jego surowy, bezwzględny optymizm jest mi obcy z powodu groźby fanatyzmu i nietolerancji, którą zawiera. Należałoby oczywiście zbyć te sprawy uśmiechem; lecz nieudolny ze mnie esteta i nie lepszy filozof. Wszelkie pretensje do wyjątkowej słuszności moralnej budzą we mnie tę pogardę i gniew, od których filozoficzny umysł powinien być wolny...

Zdaje się, że, chcąc utrzymać ton konwersacyjny, odbiegłem niepotrzebnie od przedmiotu. Nie posiadałem nigdy w pełni sztuki konwersacji — tej sztuki, która, jak słyszałem, uchodzi obecnie za przepadła. W moich młodych latach — latach kształtujących przyzwyczajenia i charakter człowieka — obcowałem najczęściej z długotrwałym milczeniem. Głosy, które je przerywały, nie miały nic wspólnego z konwersacją. Bynajmniej. Więc nie nabrałem tego nawyku. Ale moje dygresje nie są bez znaczenia dla tej książki, choć jej to wytykano — zarówno jak i lekceważenie chronologicznego porządku (co już samo w sobie jest zbrodnią) oraz niekonwencjonalną formę (co jest nieprzyzwoitością). Zapowiedziano mi surowo, że czytelnicy odniosą się niechętnie do bezceremonialnego charakteru moich wspomnień. „Jakże mi przykro! — zapewniałem, łagodnie. — Czyż mogłem zacząć od sakramentalnych słów: urodziłem się takiego to a takiego dnia, w takiej to a takiej miejscowości?” Jest to miejscowość bardzo odległa, co pozbawiłoby wszelkiej wagi moje wyznanie. Nie przeżywałem nadzwyczajnych przygód, które bym mógł kolejno opowiadać. Nie znałem wybitnych ludzi, o których bym mógł wygłaszać banalne uwagi. Nie byłem zamieszany w wielkie lub skandaliczne Sprawy. Te kartki są tylko krótkim psychologicznym dokumentem i nie pisałem ich po to, by wyciągać jakiegokolwiek osobiste wnioski.

Ale mój oponent nie został ulagodzony. Oświadczył, że powyższe argumenty nie są żadnym usprawiedliwieniem dla tego, co jest już napisane, lecz dowodem, iż wcale pisać nie należało.

Zgadzam się z tym, że prawie wszystko, wszystko a świecie mogłoby służyć za słuszny powód, aby nie pisać wcale. Ale ponieważ te kartki są już gotowe, chcę powiedzieć na ich obronę, co następuje: wspomnień swych, kreślonych bez żadnego względu na ustalone zwyczaje, nie rzuciłem na papier bez systemu i celu. Tkwi w nich pewna nadzieja i pewien zamysł. Nadzieja, że może z tych kart wyłoni się nareszcie wizja osobowości; człowiek tkwiący za książkami tak zasadniczo różnymi jak na przykład *Szaleństwo Almayera* i *Tajny agent* — a jednak konsekwentny i rozumiały na tle swego

pochodzenia i swej działalności. Taka jest moja nadzieja. Bezpośrednim zaś celem, związanym ściśle z tą nadzieją, jest przedstawienie osobistych wspomnień przez wierne oddanie moich uczuć i wrażeń, dotyczących napisania mej pierwszej książki oraz mego pierwszego zetknięcia z morzem.

W połączonych świadomie dźwiękach tej podwodnej.) melodii niektórzy z moich przyjaciół odkryją, być może tu i ówdzie subtelną harmonię.

J. C.

ZE WSPOMNIENÍ

I

Książki można pisać w przeróżnych miejscach. Zdarza się, że natchnienie wcielone w słowa nawiedza kajutę marynarza na statku unieruchomionym w środku miasta przez zamarznąłą rzekę; a że święci spoglądają podobno życzliwie na pokornych wyznawców, lubię sobie wyobrazić cień starego Flauberta (który wierzył między innymi, że jest potomkiem Wikingów) unoszący się z żartobliwym zainteresowaniem nad parowcem „Adowa”, o wyporności 2000 ton, uwięzionym przez nielaskawą zimę przy nabrzeżu w Rouen; na tym właśnie parowcu zacząłem pisać dziesiąty rozdział *Szaleństwa Almayera*.³ Powtarzam, że cień Flauberta przyglądał mi się z zainteresowaniem, bo czyż dobrotliwy normandzki olbrzym o wielkich wusach i grzmiącym głosie nie był ostatnim z romantyków? Czyż w swym niezemskim, prawie ascetycznym poświęceniu dla sztuki nie był czymś w rodzaju świętego pustelnika literata?

„Zaszło nareszcie — rzekła Nina do matki, wskazując na wzgórze, za które stoczyło się słońce...” Pamiętam, jak kreśliłem te słowa romantycznej córki Almayera na szarym papierze bloku, który leżał na kocu obrywającym moje łóżko. Słowa te odnosiły się do pewnego zachodu słońca na wyspach malajskich i ukształtowały się w moim mózgu wśród gorączkowej wizji lasów i rzek, i mórz, leżących daleko od handlowego, a jednak romantycznego miasta północnej półkuli. Lecz właśnie w owej chwili nastrój pełen wizji i słów został zniweczony przez trzeciego oficera, wesołego, przeciętnego młodzika, który wszedł, trzaskając drzwiami, i wykrzyknął: „Jak tu u pana rozkosznie ciepło!”

Było rzeczywiście ciepło. Otworzyłem ogrzewanie parowe, ustawiwszy blaszankę pod ciekącym kurkiem; może nie wiecie, że woda cieknie przez szparę, którą para się nie przedostanie. Nie mam pojęcia, co mój młodociany przyjaciel robił na pokładzie przez cały ten ranek, lecz ręce, które mocno zacierał, były bardzo czerwone; sam ich wygląd przejął mnie chłodem. Młodzieniec ów pozostał jedynym z moich znajomych uprawiającym grę na banjo, a że był przy tym młodszym synem emerytowanego

³ „Adowa” przybył do Rouen 4 XII 1893 r., a 10 I 1894 r. wyruszył z powrotem do Londynu. 17 11894 Conrad opuścił „Adowę”; w tym samym dniu skończyła się Jego marynarska kariera, choć sobie z tego sprawy nie zdawał.

pułkownika, więc przez dziwną, a bezsensowną asocjację myśli zawsze mi się wydaje, iż poemat pana Kiplinga dotyczy wyłącznie jego osoby. Kiedy mój młody kolega nie grał na banjo, pasjami lubił siedzieć i na nie patrzeć. Zabrał się i teraz do tej sentymentalnej kontemplacji; przyglądałem mu się badawczo, a on rozmyślał chwilę nad strunami, po czym zapytał lekko:

— Co też pan tam wciąż bazgrze, jeśli wolno zapytać?

Było to pytanie zupełnie usprawiedliwione, ale nic nie odrzekłem i odwróciłem po prostu blok w odruchu instynktownej skrytości: nie mogłem powiedzieć temu młodzikowi, że wypłoszył mi z myśli psychologię Niny Almayer, wypowiedziane przez nią zdanie, rozpoczynające rozdział dziesiąty, i pełne swoistej mądrości słowa pani Almayer, które miała wyrzec wśród zapadającej złowieszczo tropikalnej nocy. Nie mogłem mu wywiedzieć, że Nina oznajmiła: „Zaszło nareszcie.” Niezmiernie by go to zdziwiło i byłby może upuścił swe drogocenne banjo. Nie mogłem mu także powiedzieć że słońce mego życia na morzu chyliło się również ku zachodowi w tej samej właśnie chwili, gdy kreśliłem słowa opisujące niecierpliwe porywy młodości pochłoniętej swym pragnieniem. Sam o tym nie wiedziałem, a można śmiało powiedzieć, że nie byłoby to obeszło mego kolegi, choć zacny ten młodzian odnosił się do mnie z większym uszanowaniem, niż tego właściwie wymagały nasze służbowe stosunki.

Opuścił wzrok z tkliwością na banjo, a ja patrzyłem w dalszym ciągu przez iluminator. Okrągły otwór ujmował w mosiężne ramy fragment nabrzeża, z beczkami stojącymi rzędem na zamarzłym gruncie i tylną częścią wielkiego wozu. Furman o czerwonym nosie, odziany w bluzę i wełnianą szlafmycę, stał oparty o koło. Po nabrzeżu spacerował leniwie beczkowny strażnik z urzędu celnego, w ściągniętej pasem granatowej kapocie; zdawało się, że jest zgnębiony niepogodą i jednostajnością urzędniczej egzystencji. Tło obrazu objętego iluminatorem stanowiły brudne domy, przed którymi rozpościerał się szeroki pas kamiennego nabrzeża, brunatnego od zamarznętej warstwy błota. Koloryt obrazu był ciemny, a jego najwydatniejszy punkt stanowiła mała kawiarnia o oknach przybranych firankami i odrapanym froncie z białego drzewa, który to front harmonizował z niechlujstwem biedniejszych dzielnic miasta, ciągnących się wzdłuż rzeki. Przesunięto nas tutaj z innego stoiska w sąsiedztwie opery, gdzie tenże iluminator otwierał się na kawiarkę zupełnie innego rodzaju — najlepszą w mieście, O ile mi się zdaje; w tej to właśnie kawiarni zacny Bovary i jego żona, romantyczna córka starego Pere Renault, posilali się po pamiętnym przedstawieniu w operze, wysłuchawszy tragicznej historii Łucji z Lammermooru w

oprawie lekkiej muzyki.

Nie mogłem już przywołać z powrotem wizji Archipelagu Wschodniego, który miałem wszelką nadzieję znów ujrzeć. Historia o szaleństwie Almayera została schowana na resztę dnia pod poduszkę. Nie przypominam sobie, aby jakie zajęcie odrywało ramie od pisania; Bogiem a prawdą, prowadziliśmy wówczas na pokładzie życie kontemplacyjne. Nie powiem tu nic o mym uprzywilejowanym stanowisku na statku. Znalazłem się tam po prostu „z uprzejmości”, niby wybitny aktor, który podejmuje się drobnej roli na benefisie przyjaciela.

Jeżeli chodzi o moje własne uczucia, nie dogadzał mi pobyt na tym parowcu w owym czasie i w danych okolicznościach. I może nie byłem tam nawet [potrzebny w zwykłym tego słowa znaczeniu, w jakim statek „potrzebuje” oficera. Pierwszy to i ostatni wypadek w mej morskiej karierze, że służyłem na statku, którego właściciele pozostali dla mnie zupełnie nieuchwytni. Nie myślę tu o znanej ogólnie firmie londyńskich agentów handlujących statkami, którzy wynajęli nasz parowiec Francusko—Kanadyjskiej Spółce Transportowej, nie tyle krótkotrwałej, co efemerycznej. Śmierć zostawia coś poza sobą, ale po FKST nie zostało nic uchwytnego. Kwitła nie dłużej od róży i, bynajmniej nie jak róża, rozwinęła się w samym środku zimy, siejąc nikłą woń przygód, po czym zwiędła jeszcze przed nastaniem wiosny. Lecz bez kwestii była to spółka, miała nawet swą własną flagę, całą białą z literami FKST splecionymi z ręcznie w skomplikowany monogram. Podnosiliśmy ją na szczycie grotmasztu; dochodzę teraz do przekonania, że była to flaga jedyna w swoim rodzaju. Jednak my na pokładzie mieliśmy w ciągu dłuższego czasu wrażenie, że jesteśmy częścią wielkiej floty, której statki wyruszają raz na dwa tygodnie do Montrealu i Quebec; głosiły o tym broszury i prospekty przywiezione w dużej paczce na parowiec, gdy znajdował się jeszcze w Victoria Dock w Londynie miał za chwilę wyruszyć do Francji, do Rouen. W tajemniczym życiu FKST zawarty jest sekret ostatniej posady w moim zawodzie, posady, która pośrednio zatrzymała miarowy rozwój historii o Ninie Almayera.

Ówczesny sekretarz Londyńskiego Stowarzyszenia Kapitanów, które mieściło się w skromnych pokojach na Fenchurch Street, był człowiekiem o niezmiernie ruchliwej i największym poświęceniu dla swego zadania. On jest właśnie odpowiedzialny za moje ostatnie związanie się ze statkiem. Tak to określam, ponieważ nie można tego nazwać właściwie morską wyprawą. Kochany kapitan Froud — po tych wszystkich latach nie mogę go nie wspomnieć z serdeczną poufalością — otóż kapitan Froud myślał słusznie, że korpusowi oficerów marynarki handlowej trzeba dać więcej

wykształcenia i większą rangę. Urządzał dla nas cykle fachowych odczytów, korespondował pracowicie z urzędami i członkami parlamentu o sprawach związanych ze służbą; a czuł taką nieodpartą potrzebę troszczenia się o członków Stowarzyszenia, że jeśli wypadło jakie śledztwo lub komisja tycząca się morskich spraw i pracy marynarzy, była to dla niego prawdziwa gratka. Przy wysokim poczuciu swych urzędowych obowiązków odznaczał się niewyczerpaną dobrocią — wybitną skłonnością do wyświadczenia wszelkich możliwych usług członkom zawodu, w którym był swego czasu znakomitym kapitanem. A czyż można wyświadczyć Marynarzowi większe dobrodziejstwo niż nastęrczyć mu pracę? Kapitan Froud uważał, że Stowarzyszenie Kapitanów, poza ogólną opieką nad naszymi sprawami, powinno być nieoficjalną agencją najwyższej klasy, dostarczającą nam posad.

— Usiłuję przekonać wszystkich poważnych armatorów, żeby zwracali się do nas o potrzebnych im ludzi. Nasze Stowarzyszenie nie ma nic z ducha związków zawodowych i doprawdy nie widzę, dlaczego by armatorzy nie mieli do nas się zwracać — rzekł raz do mnie. — A przy tym zawsze mówię, że jeśli wszyscy zgłaszający się mają równe kwalifikacje, kapitanowie powinni przenosić członków Stowarzyszenia nad innych kandydatów. Na moim stanowisku łatwo mi, na ogół, znaleźć dla kapitanów to, czego pragną, wśród naszych członków lub też członków korespondentów.

W mych wędrówkach po Londynie z zachodu na wschód i z powrotem (nie miałem wówczas nic do roboty) dwa małe pokoiki na Fenchurch Street były czymś w rodzaju schronienia, gdzie mój duch, stęskniony za morzem, mógł się czuć bliżej statków, ludzi i życia, które sobie upodobał — bliżej niż w jakimkolwiek innym miejscu na stałym lądzie. Około piątej po południu schronienie to bywało pełne ludzi i tytoniowego dymu, lecz kapitan Froud urzędował oddzielnie w mniejszym pokoju i udzielał tam posłuchań, których głównym celem było wyświadczenie przysług. I oto pewnego chmurnego popołudnia — działo się to w listopadzie — kiwnął na mnie zgiętym palcem, spoglądając zza okularów w charakterystyczny sposób, który zapamiętałem chyba najlepiej z całej jego powierzchowności.

— Był u mnie dziś rano pewien kapitan — rzekł, wracając do swego biurka i wskazując mi krzesło — który potrzebuje oficera. Chodzi tu o parowiec. Pan wie, to dla mnie największa przyjemność, kiedy mnie o coś proszą, ale na nieszczęście nie bardzo widzę, co bym mógł zrobić w tym wypadku...

Sąsiedni pokój pełen był ludzi, toteż spojrziałem ze „dziwieniem na zamknięte drzwi, ale kapitan potrząsnął głową.

— O tak, byłbym uszczęśliwiony, gdyby się udało dostać to miejsce dla któregoś z nich. Ale rzecz w tym, że ów kapitan potrzebuje oficera mówiącego płynnie po francusku, a takiego niełatwo znaleźć. Osobiście nie znam żadnego takiego oficera prócz pana. To jest miejsce drugiego oficera i oczywiście pan by go nie wziął... prawda? Wiem, że to nie jest to, czego pan szuka.

Nie tego szukałem istotnie. Byłem pogrążony w lenistwie jak człowiek, którego zaprząta tylko jedno: pogoń za słowami dla uchwycenia swych wizji. Ale przyznaję, że na zewnątrz wyglądałem mniej więcej na człowieka, który by mógł objąć stanowisko drugiego oficera na parowcu wydzierzawionym przez francuską spółkę. Nie zdradzałem się z tym, że mnie prześladuje los Niny i szum podzwrotnikowych lasów; nawet poufne obcowanie z Almayerem (człowiekiem o słabym charakterze) nie odbijało się wyraźnie w mych rysach. Przez wiele lat Almayer i świat, w którym się obracał, przepelniały mi wyobraźnię, nie naruszając — sędzę — mej zdolności do porania się z realiami morskiego życia. Ów człowiek wraz ze swym otoczeniem towarzyszył mi nieustannie od chwili, gdy powróciłem ze wschodnich wód, na jakieś cztery lata przed dniem, o którym mówię.

We frontowym salonie umeblowanych pokoi, wychodzących na skwer w Pimlico, wspomnienia te odżyły we mnie po raz pierwszy z przejmującą wyrazistością, obcą mym dawnym, rzeczywistym stosunkom z Almayerem. Pozwoliłem sobie wówczas na długi pobyt na lądzie, a że potrzebowałem zapelnąć czymś ranki, Almayer (ten dawny znajomy) przybył mi szlachetnie z pomocą. Wkrótce, jak wypadalo, żona jego i córka zasiadły wraz z nim u mego stołu, a potem zjawila się i reszta kompanii znad Pantai, bogata w słowa i gesty. Szanowna moja gospodyni nic nie wiedziała, że miałem zwyczaj urządzać zaraz po śniadaniu ożywione przyjęcia dla Malajów, Arabów i Metysów. Nie domagali się głośno mej uwagi. Przychodzili z niemą, nieodpartą prośbą — i stwierdzam na tym miejscu, że owa prośba nie zwracała się do mego samolubstwa czy też próżności. Wydaje mi się teraz, iż był to apel do mego sumienia; bo dlaczego by pamięć o istotach, które wiodły w mych oczach skromne życie skąpane w słońcu, dlaczegoż by ta pamięć żądała dla siebie wyrazu pod postacią powieści, jeśli nie na podstawie owej tajemniczej wspólnoty, która jednoczy w nadziei i trwodze wszystkich mieszkańców tej ziemi?

Nie witałem mych gości z gwałtownym uniesieniem niby posłów niosących dary bogactwa lub sławy. Nie nawiedziła mnie wizja drukowanej książki, gdy siedziałem pisząc przy stole w podupadłej części dzielnicy Belgravii. Po upływie tych wszystkich lat — a każdy rok pozostawił swój ślad w postaci zapisanych powoli kartek — mogę

uczciwie powiedzieć, że nic innego tylko uczucie pokrewne pietyzmowi skłoniło mnie do wyrażenia — w słowach dobranych sumiennie i troskliwie — pamięci odległych rzeczy i ludzi, których już nie ma.

Wracając do kapitana Frouda i jego manii, by nie narazić nigdy na zawód właścicieli lub kapitanów ‘statków, nie zanosilo się na to, abym zawiódł jego ambicje; w parę godzin chciał zaspokoić niezwykle żądanie, domagające się oficera mówiącego po francuska. Kapitan Froud wyjaśnił mi, że statek, o który chodziło, ‘został wydzierżawiony przez francuską spółkę, zamierzającą stworzyć regularną miesięczną komunikację dla transportu francuskich emigrantów z Rouen; do Kanady. Lecz, mówiąc szczerze, tego rodzaju historia niewiele mnie obchodziła. Odrzekłem z powagą, że jeśli chodzi istotnie o podtrzymanie reputacji Stowarzyszenia Kapitanów, to wezmę pod uwagę propozycję kapitana Frouda. Ale powiedziałem to jedynie dla formy. Nazajutrz rozmawiałem z kapitanem owego statku i zdaje mi się, że zrobiliśmy na sobie wzajemnie dobre wrażenie. Wyjaśnił mi, iż jego pierwszy oficer jest pod każdym względem człowiekiem bez zarzutu i nie ma mowy, aby go mógł oddalić dla powierzenia mi wyższego stanowiska; lecz o ile się zgodzę zostać drugim oficerem, będę miał zastrzeżone specjalnie korzystne warunki i tak dalej.

Odpowiedziałem, że jeśli zasadniczo się zdecyduję, ranga nie będzie miała dla mnie znaczenia.

— Jestem pewien — nalegał kapitan — że pan porozumie się świetnie z Paramorem.

Zobowiązałem się święcie do odbycia przynajmniej dwóch rejsów i w takich oto okolicznościach zaczęła się moja służba, która miała być mym ostatnim związkiem ze statkiem. W rezultacie ani jeden rejs nie doszedł do skutku. Może wypełnił się w ten sposób wyrok losu, który mi snadź wypisał na czole, że w ciągu wszystkich morskich wędrówek nie wolno mi przepłynąć Oceanu Zachodniego; używam tej ostatniej nazwy w specjalnym znaczeniu, na wzór marynarzy mówiących np. o handlu na Oceanie Zachodnim, o parowcach pasażerskich Oceanu Zachodniego, o ciężkich wypadkach na Oceanie Zachodnim. Nowe życie następowało tuż za dawnym i dziewięć rozdziałów *Szaleństwa Almayera* towarzyszyło mi do Victoria Dock, skąd po Paru dniach wyruszyliśmy w kierunku Rouen. Nie posunąłbym się aż do twierdzenia, iż Francusko-Kanadyjska Spółka Transportowa nie dokonała ani jednego rejsu z tego jedynie powodu, że zaangażowała człowieka, którego przeznaczeniem było nigdy Oceanu Zachodniego nie przepłynąć. Może i było tak rzeczywiście; lecz jawną, główną

przeszkodę stanowił najoczywściej brak pieniędzy. Czteryście sześćdziesiąt koi dla emigrantów umieścili pracowici cieśle na międzypokładzie, podczas gdyśmy leżeli w Victoria Dock, lecz ani jeden emigrant w Rouen się nie pokazał — z czego się, wyznaję, cieszyłem, ponieważ jestem humanitarny. Kilku panów z Paryża — trzech, o ile mi się zdaje, a jeden z nich był podobno prezesem Spółki — zjawilo się rzeczywiście; chodzili z końca w koniec po statku, obijając w straszny sposób cylindry o belki sufitu. Oprowadzałem ich osobiście i mogę zaręczyć, że interesowali się wszystkim w sposób wcale inteligentny, choć widać nigdy przedtem nie oglądali czegoś w tym rodzaju. Gdy wracali na brzeg, wyraz pogodnej niepewności malował się na ich twarzach. Choć ta uroczysta inspekcja miała być wstępem poprzedzającym bezpośrednio nasz wyjazd, właśnie wówczas, w chwili gdy członkowie komisji sunęli w dół gęsiego po schodni, odebrałem wewnętrzną przestrożę, iż żaden z rejsów zamierzonych przez dzierżawców naszego parowca nigdy do skutku nie dojdzie.

Nawiasem mówiąc, w niespełna trzy tygodnie nastąpiło przesunięcie statku. Kiedyśmy przybyli do Rouen, popłynęliśmy bardzo uroczyście dobry kawał w górę rzeki, ku środkowi miasta, a że na rogach wszystkich ulic rozlepiono trójkolorowe afisze oznajmiające o narodzinach naszej Spółki, każdy *petit bourgeois* z żoną i rodziną urządzał sobie w niedzielę rozrywkę ze zwiedzenia statku. Włożywszy najlepszy mundur, trzymałem się zawsze na widocznym miejscu, aby udzielać objaśnień niby tłumacz agencji Cooka dla turystów, a nasi podoficerowie zbierali bogate żniwo napiwków od oprowadzanych grup. Ale gdy statek został przesunięty — wskutek czego znaleźliśmy się z jakie półtorej mili niżej, przycumowani u znacznie bardziej błotnistego i brudniejszego nabrzeża — wówczas pustka samotności stała się naszym udziałem. Ogarnął nas zupełny, głuchy zastój; bo ponieważ statek gotów był do podróży nawet w najdrobniejszych szczegółach, ponieważ mróz trzymał tęgi a dni były krótkie, nie mieliśmy dosłownie nic do roboty — do tego stopnia, że czerwieniśmy się ze wstydu, kiedy przyszło nam na myśl, że za cały ten czas bierzemy pensję. Młody Cole martwił się, ponieważ, jak twierdził, żadna zabawa nie mogła cieszyć wieczorem po takim całodziennym próżniactwie; nawet banjo straciło swój urok, odkąd nic nie przeszkadzało jego właścicielowi brzdąkać na nim bez końca od posiłku do posiłku. Poczciwy Paramor — był to doprawdy najzacniejszy z ludzi — stracił humor, o ile na to pozwalało jego wesołe usposobienie, aż wreszcie pewnego posępnego dnia podszeptałem mu z czystej swawoli, żeby zużył uśpioną energię załogi na wybranie obu cum na pokład i przymocowanie ich odwrotnym końcem do nabrzeża.

Paramor na chwilę się rozpromienił.

— Świetna myśl! — Lecz twarz jego zachmurzyła się natychmiast. — No tak... oczywiście! Ale ta robota nie może trwać dłużej niż trzy dni — mruknął markotnie.

Nie umiem powiedzieć, na jak długo obliczał nasz postój u krańców Rouen, ale wiem, że cumy zostały wybrane na pokład i umocowane odwrotnym końcem na nabrzeżu wedle mego szatańskiego podszeptu, po czym zapomniano, jak sądzę, o ich istnieniu — aż wreszcie francuski pilot przybył, aby poholować w dół nasz statek, równie pusty jak przedtem, na szlak wiodący do Hawru. Można by myśleć, że ten stan przymusowego lenistwa pchnął naprzód dzieje Almayera i jego córki. Ale nic podobnego. Chyba coś mnie urzekło w chwili, gdy mój towarzysz z kajuty, banjoista, przeszkodził mi w pisaniu; dzieje Almayera utknęły na owym znamiennym zachodzie słońca — i to na przeciąg wielu tygodni. Tak było zawsze z tą książką, zaczęta w 1889 roku i skończoną w 1894 — tą najkrótszą z powieści, które przeznaczone mi było napisać. Między pierwszymi jej słowami, okrzykiem żony Almayera, wołającej go na obiad, i niemą apostrofą Abdulli (wroga Almayera) do Boga mahometan, „który jest łaski pełen i miłosierdzia”, apostrofą zamykającą książkę — miało się zmieścić kilka długich morskich podróży, przybycie z wizytą (według wzniosłej frazeologii odpowiedniej w tym wypadku) do niektórych miejsc związanych z moim dzieciństwem i urzeczywistnienie pustych dziecinnych słów, wypowiadających kaprys lekkomyślny i romantyczny.

Było to w roku 1868 — miałem wtedy lat około dziewięciu; patrząc na ówczesną mapę Afryki, dotknąłem palcem białej przestrzeni, stanowiącej wówczas niezbadaną tajemnicę tego ładu, i rzekłem do siebie z niewzruszoną pewnością i zdumiewającym zuchwalstwem, których nie mam już w charakterze: „Kiedy dorosnę, pojedę tam.”

I naturalnie więcej już o tym nie myślałem, póki mniej więcej w ćwierć wieku później nie trafiła mi się sposobność pojechania właśnie tam — jakby grzech dziecinnej zuchwałości musiał spaść na mą dojrzałą głowę. Tak. Pojechałem tam; ponieważ Wodospady Stanleja znajdują się w tamtej okolicy, która w 1868 roku była najbardziej pustą z pustych przestrzeni na wizerunku ziemskiej powierzchni. A rękopis Szaleństwa Almayera, który zawsze z sobą woziłem, jakby był talizmanem lub skarbem, również tam ze mną pojechał. To, że w ogóle stamtąd wrócił, wydaje mi się szczególnym zrządzeniem Opatrzności, ponieważ wiele innych rzeczy, nieskończenie bardziej dla mnie cennych i pożytecznych, przepadło wskutek nieszczęśliwych wypadków w czasie transportu. Przypominam sobie na przykład szczególnie trudny zakręt na rzece Kongo,

między Kinchassa a Leopoldville — tym trudniejszy, że trzeba go było przebyć nocą w wielkim czólnie, mając tylko połowę niezbędnych do tego wioślarzy. Mało brakowało, a byłbym został drugim białym utopionym z kolei w tym interesującym miejscu wskutek wywrócenia się czólna. Pierwszym był młody oficer belgijski; wypadek ten zdarzył się parę miesięcy wcześniej, i zdaje się, że ów Belg wracał również do kraju; nie był może tak ciężko chory jak ja w owej chwili — ale jednak wracał do kraju. Przebyłem tamto miejsce na wpół żywy, a było wówczas ze mną tak źle, że nic mnie w ogóle nie obchodziło; rękopis Szaleństwa Almayera stale mi towarzyszył wśród coraz mniej licznych bagaży i tak się oto dostałem do owej rozkosznej stolicy Borna, gdzie przed wyruszeniem parowca, który wracał do kraju, miałem czas raz po raz życzyć sobie śmierci z na j zupełniejszą szczerością. Istniało wówczas tylko siedem rozdziałów Szaleństwa Almayera, lecz najbliższy rozdział mego życia zawierał długą, długą chorobę i bardzo posępny powrót do zdrowia. Genewa, a ścisłej mówiąc wodoleczniczy zakład w Champel wslawił się raz na zawsze, gdyż tam ukończyłem ósmy rozdział historii o zmierzchu i upadku Almayera. Treść dziewiątego rozdziału jest nierozdzielnie splątana z troską o sprawne administrowanie wielkim składem towarów na wybrzeżu Tamizy, składem należącym do pewnej firmy w City — mniejsza o jej nazwę. Lecz praca ta, którą podjąłem, aby się przyzwyczaić z powrotem do czynnego, normalnego życia, trwała krótko. Łąd nie miał w sobie nic, co by potrafiło mnie przykuć na czas dłuższy. Tedy ową pamiętną opowieść, niby beczkę wyborowej madery, obwoziłem tu i tam po morzu przez całe trzy lata. Czy. ów system wpłynął na nią korzystnie, tego bym oczywiście powiedzieć nie umiał. Sądząc jednak z pozorów, nie było tak bynajmniej. Rękopis wypłowił, pożółkł i nabrął starożytnego wyglądu. Przypuszczenie, aby Almayerowi i Ninie mogło się coś w ogóle wydarzyć, wydało mi się w końcu absurdem. A jednak wydarzyła się rzecz dziwnie nieprawdopodobna na szerokich morzach — i to ich zbudziło z letargu.

Jak to powiedział Novalis? „Przekonania moje zyskują niewątpliwie na głębi z chwilą, gdy w nie inna dusza uwierzy.” A czymże jest powieść, jeśli nie przekonaniem o istnieniu naszych bliźnich, przekonaniem tak głębokim, że przybiera kształt urojonego życia przejrzyściego od rzeczywistości, w którym zestawienie wybranych epizodów góruje prawdopodobieństwem nad pewną siebie, popartą dokumentami historią. Opatrzność, która wyratowała mój rękopis z bystrych nurtów Konga, podsunęła go przyjaznej duszy daleko na pełnym morzu. Byłaby to z mej strony czarna niewdzięczność, gdybym kiedykolwiek zapomniał bładą, zapadłą twarz i głęboko

osadzone, ciemne oczy młodego studenta z Cambridge (pasażera dla celów zdrowotnych na zacnym statku „Torrens” płynącym do Australii), który był pierwszym czytelnikiem Szaleństwa Almayera — pierwszym czytelnikiem, jakiego w ogóle miałem.

— Czy bardzo by to pana znudziło, gdybym panu dał do przeczytania rękopis napisany takim charakterem pisma jak mój? — zapytałem pod wpływem nagłego porywu, przy końcu dość długiej rozmowy, której przedmiotem była Historia Gibbona. Jacques (tak się student nazywał) przyniósł mi był książkę z własnego podróznego zapasu i siedział u mnie w kajucie podczas pewnej burzliwej psiej wachty.

— Ani trochę — odrzekł uprzejmym jak zawsze tonem i uśmiechnął się leciutko.

Gdy wyciągnąłem szufladę, pobudzona jego ciekawość nadała mu baczny wyraz. Ciekaw jestem, czego się spodziewał. Może poematu? Niepodobna już dziś tego odgadnąć. Nie był to człowiek zimny, raczej spokojny, a co więcej, zgaszony przez chorobę, małowówny, o prostym i skromnym obejściu — lecz w całej swej osobie miał coś niezwykłego, co go odgradzało od szarego tłumu naszych sześćdziesięciu pasażerów. Zaduma malowała się w jego oczach; patrzył jakby w głąb samego siebie. Zapytał nieco ochryplym, miłym głosem w zwykły swój sposób, pociągający i dyskretny:

— A co to takiego?

— Coś w rodzaju opowiadania — rzekłem z wysiłkiem. — To nawet jeszcze nie skończone. Ale mimo to chciałbym usłyszeć o tym pańskie zdanie.

Włożył rękopis do wewnętrznej kieszeni kurtki; pamiętani doskonale jego cienkie, brunatne palce, składające kartki podłużnie.

— Przeczytam to jutro — powiedział i chwycił za klamkę, a potem, śledząc kołysanie się statku dla wybrania odpowiedniej chwili, otworzył drzwi i już go nie było. W chwili gdy wychodził, słyszałem przeciągłe wycie wiatru, syk wody na pokładach „Torrensa” i stłumiony, jak gdyby odległy ryk rosnącej fali. Zauważyłem wzburzenie wśród wielkiego niepokoju wód i odpowiedziałem na nie zawodową myślą, że o ósmej, najdalej za pół godziny, trzeba będzie zwinąć żagle górne.

Nazajutrz, ale tym razem podczas pierwszej psiej wachty, Jacques wszedł do mojej kajuty. Miał gruby welniany szal naokoło szyi i trzymał rękopis. Podał mi go, patrząc na mnie przeciągłe, ale bez słowa. Wziąłem rękopis w milczeniu. Jacques usiadł na kanapie i wciąż jeszcze nic nie mówił. Otworzyłem i zamknąłem szufladę biurka, na którym leżała zapisana lupkowa tabliczka w drewnianej ramce, czekająca na porządne wciągnięcie jej treści do pewnego rodzaju książki prowadzonej przeze mnie starannie, a mianowicie do dziennika okrętowego. Odwróciłem się od biurka. Ale nawet i wtedy

Jacques wcale się nie odezwał.

— No więc, co pan mi powie? — rzekłem wreszcie. — Czy warto kończyć? —
Moje pytanie wyrażało ściśle to, co myślałem.

— Bezwzględnie — odrzekł swym spokojnym, nieco zachrypłym głosem i z lekka zakaszłał.

— Czy pana to zajęło? — pytałem dalej prawie szeptem.

— I bardzo!

Nastało milczenie; przechylałem się wciąż instynktownie w takt gwałtownych chybotów statku, a Jacques wyciągnął się jak długi na kanapie. Zaslona u mego łóżka kołysała się tam i z powrotem jak punka, lampa u grodzi zataczała kręgi na kółkach, a od czasu do czasu drzwi kajuty zgrzytały lekko pod uderzeniami wiatru. Znajdowaliśmy się pod czterdziestym stopniem szerokości południowej, w pobliżu południka Greenwich — o ile pamiętam — w chwili gdy odbywał się ten spokojny obrządek wskrzeszenia Almayera i Niny. Wśród przeciągłego milczenia przyszło mi na myśl, że w tym opowiadaniu — tak jak się wówczas przedstawiało — było dużo retrospektywnej narracji. Czy akcja jest zrozumiała, pytałem siebie, jakby pisarz powieści już się był urodził w ciele marynarza. Lecz z pokładu doszedł mnie gwizdek oficera służbowego; nadstawiłem ucha, aby pochwycić rozkaz, który miał nastąpić po tym zwróceniu uwagi. Dosłyszałem słaby, rozkazujący okrzyk: „Brasuj reje!” „Aha! — pomyślałem sobie — zbliża się wiatr od zachodu.” Potem zwróciłem się do mego pierwszego czytelnika, który, niestety, miał żyć zbyt krótko, by mógł doczekać końca powieści.

— Niech mi pan pozwoli zadać jeszcze jedno pytanie: czy ta historia, tak jak została napisana, wydaje się panu zrozumiała?

Podniósł na mnie ciemne, łagodne oczy jak gdyby ze zdziwieniem:

— Tak! Najzupełniej.

Oto wszystko, co miałem usłyszeć z jego ust o zaletach *Szaleństwa Almayera*. Nie mówiliśmy z sobą już nigdy o tej książce. Nastal długi okres niepogody i wszystkie moje myśli skupiły się na służbie, a tymczasem biedny Jacques zaziębił się fatalnie i nie mógł opuszczać kajuty. Gdy przybyliśmy do Adelaidy, pierwszy czytelnik mej prozy wyruszył natychmiast w głąb łądu i umarł po krótkiej chorobie, czy to w Australii, czy też może wracając do kraju przez Kanał Sueski. Nie wiem na pewno, jak było właściwie, i chyba nigdy mi dokładnie tego nie mówiono, choć wypytywałem o Jacques'a wracających na statek pasażerów, którzy w czasie naszego postoju w przystani odbywali wędrowkę po lądzie, „zwiedzając kraj”, i spotykali Jacques'a tu i ówdzie. Wyruszyliśmy wreszcie z

powrotem i wciąż jeszcze ani jedna kreska nie przybyła do nagryzmołonych niedbale licznych kart, które biedny Jacques miał cierpliwość czytać, gdy cienie Wieczności już się gromadziły w jego życzliwych, spokojnych oczach.

Proste a rozstrzygające „bezwzględnie”, wypowiedziane przez Jacques’a, natchnęło mnie postanowieniem, które drzemało we mnie, czekając tylko na odpowiednią sposobność. Można powiedzieć, że jestem teraz zmuszamy, podświadomie zmuszony, do pisania tomu za tomem, jak w dawnych latach byłem zmuszony do wyruszania raz po raz na morze. Kartki muszą następować jedne za drugimi, jak w dawnych czasach mile ciągnęły się jedna za drugą, wciąż dalej, aż do wyznaczonego celu, który będąc samą Prawdą jest Jeden — dla wszystkich ludzi i dla wszystkich zajęć.

Nie wiem, który z tych dwóch nakazów wewnętrznych wydał mi się bardziej tajemniczy i bardziej nadzwyczajny. Lecz zanim zacząłem pisać, a także zanim stałem się marynarzem, musiałem czekać na odpowiednią sposobność. Pozwolę sobie wyznać, że nigdy nie byłem bohaterem z rodzaju tych, którzy dla zabawy popłynęliby w szafliku na morze; a jeśli wolno mi się chwalić konsekwentnym postępowaniem, dałem jego dowody także i w czasie pisarskiej kariery. Opowiadano mi, że niektórzy piszą w wagonie, i zapewne mogliby pisać siedząc ze skrzyżowanymi nogami na sznurze od bielizny; lecz muszę się zwierzyć, że mój sybarytyzm pozwala mi pisać tylko wtedy, gdy mam przynajmniej coś w rodzaju krzesła. *Szaleństwo Almayera* rozrastało się raczej wiersz za wierszem niż karta za kartą.

I stało się raz, że omal nie zgubiłem rękopisu — doprowadzonego wówczas do pierwszych słów dziewiątego rozdziału — na stacji Friedrichstrasse (znajdującej się, jak wiadomo, w Berlinie), jadąc do Polski, a ściślej mówiąc, na Ukrainę. Przesiadałem się wczesnym rankiem i w pośpiechu zostawiłem torbę podróżną w kolejowej restauracji. Zacny i sprytny *Kofferträger* ją wyratował. Niepokojąc się, nie myślałem jednak o rękopisie, ale o wszystkich innych rzeczach, które tam były.

W Warszawie, gdzie spędziłem dwa dni, wędrownie te kartki nie ujrzały wcale dziennego światła, tylko raz światło świec, gdy torba leżała otwarta na krześle. Przebierałem się wówczas z pośpiechem na obiad w pewnym sportowym klubie. Przyjaciel mego dzieciństwa (służył poprzednio w dyplomacji, a wówczas hodował pszenicę w dobrach ojcowskich — nie widzieliśmy się od lat przeszło dwudziestu) czekał na hotelowej kanapie, aby mnie zabrać do klubu.

— Póki się ubierasz, opowiedz mi coś o swoim życiu — zachęcał mnie uprzejmie.

Nie zdaje mi się, abym opowiedział mu dużo o sobie, ani wtedy, ani też później. Jedliśmy obiad w nielicznym, dobranym kółku, a rozmowa była niezmiernie ożywiona i toczyła się na wszystkie możliwe tematy, od łowów na grubego zwierza w Afryce aż do ostatniego poematu, który się ukazał w bardzo modernistycznym przeglądzie, wydawanym przez najmłodszych i popieranym przez wysokie sfery. Ale nie zawadziliśmy ani razu o *Szaleństwo Almayera* i na drugi dzień rano rękopis — nieodłączny mój towarzysz — tkwił w dalszym ciągu w ciemności, tocząc się wraz ze mną w południowo-wschodnim kierunku, ku guberni kijowskiej.

W owych czasach trzeba było jechać końmi osiem godzin, jeśli nie więcej, od stacji kolejowej aż do wiejskiego dworu, celu mojej podróży.

„Dear boy⁴ — (te słowa były zawsze napisane po angielsku) brzmiał ostatni list, wysłany z owego dworu, a odebrany przeze mnie w Londynie. — Każ się zawieźć do jedynej miejscowej gospody, zjedz obiad, jaki się da, a wieczorem mój zaufany służący, factotum i majordomus, pan W. S. (zaznaczam, że jest to szlachcic rodem) stawi się przed tobą i doniesie o przybyciu małych sani, które przywiozą cię tu nazajutrz. Posyłam przez niego moje najcieplejsze futro; razem z okryciami, które zapewne masz z sobą, zabezpieczy cię to od zziębnięcia w drodze.”

I rzeczywiście, w chwili gdy jadłem obiad, podany przez kelnera Żyda, w olbrzymim sypialnym pokoju o świeżo pomalowanej podłodze, pokoju podobnym do stodoly, drzwi się otworzyły i ukazał się pan W. S. (szlachcic rodem) w stroju podróżnym — długich butach, wysokiej czapce z baraniej skóry, kurtce ściśniętej skórzanym pasem. Był to człowiek mniej więcej trzydziestopięcioletni; jego szczerą, wąsata twarz miała wyraz zakłopotany. Podniosłem się z krzesła i powitałem go ‘po polsku z właściwym — mam nadzieję — odcieniem szacunku, którego wymagała jego szlachecka krew i stanowisko zaufanego sługi.

Twarz rozjaśniła mu się w sposób zdumiewający. Okazało się, że wbrew usilnym zapewnieniom mego wuja pocziwiec wątpił o możliwości naszego wzajemnego porozumienia. Wyobrażał sobie, iż przemowie do niego w jakimś cudzoziemskim języku. Podobno wsiadając już do sanek, aby jechać na moje spotkanie, wykrzyknął z niepokojem:

— No dobrze! Dobrze! Zabieram się i jadę, ale Bóg raczy wiedzieć, jak się .tam

⁴ Drogi chłopcze, (ang.)

porozumiemy z siostrzeńcem naszego pana.

Porozumieliśmy się bardzo dobrze od samego początku. Zaopiekował się mną, jakbym był jeszcze wyrostkiem. Miałem rozkoszne chłopięce uczucie, że wracam ze szkół do domu, gdy mnie opatulił nazajutrz rano w olbrzymie podróżne futro z niedźwiedzich skór i zasiadł opiekuńczo u mego boku. Sanki były malutkie i wyglądały bardzo nikło — prawie jak zabawka — przy czterech wielkich gniadoszach zaprzężonych w lejce. We trzech ze stangretem wypełnialiśmy sanki zupełnie. Wiózł nas młody chłopak o jasnoniebieskich oczach; wysoki kołnierz futrzanej liberii okalał jego wesołą twarz i sterczał równo z głową.

— No, Józefie — zwrócił się mój towarzysz do stangreta — jak myślisz, czy uda się nam zajechać do domu przed szóstą?

Józef odpowiedział, że na pewno się uda z Bożą pomocą, jeśli tylko nie będzie wysokich zasp na wielkiej przestrzeni między pewnymi wsiami, których nazwy zabrzmiały mi w uszach jak coś bardzo znanego. Okazało się, że Józef świetnie powozi, a przy tym ma instynkt do wynajdywania drogi wśród pól pokrytych śniegiem oraz wrodzony dar wydobycia z koni wszystkiego, co dać mogą.

— To syn tego Józefa, którego pan kapitan pewno pamięta. Tego, co to woził świętej pamięci babkę pana kapitana — zauważył W. S. zajęty utykaniem futra naokoło mych nóg.

Pamiętałem doskonale wiernego Józefa, który woził moją babkę. Jakże! Przecież to on dał mi lejce do ręki po raz pierwszy w moim życiu i pozwalał bawić się wielkim czterorzemiennym batem przed bramą stajni.

— Co się z nim stało? — zapytałem. — Pewnie już teraz nie służy?

— Służył u naszego pana — brzmiała odpowiedź. — Ale umarł na cholera przed dziesięciu laty, wtedy podczas tej wielkiej epidemii. A jednocześnie umarła jego żona, cały ich dom wymarł i został się ten jeden chłopiec.

Rękopis *Szaleństwa Almayera* spoczywał w torbie pod naszymi nogami.

Ujrzałem znów słońce zachodzące na równinach, jak Je widywałem podróżując w dzieciństwie. Zachodziło czyste i czerwone, zanurzając się w śniegi, widzialne jak na dłoni, rzekłbyś, zachodzące na morzu. Upłynęło już było dwadzieścia trzy lata, odkąd widziałem po raz ostatni, jak słońce nad tym krajem zachodzi; jechaliśmy wśród ciemności, która padła szybko na siną przestrzeń śniegu, aż wreszcie z pustki białej ziemi zlewającej się z gwiazdzistym niebem wyłoniły się czarne kształty, kępy drzew nad wioską wśród ukraińskiej równiny. Przesunęło się koło nas parę domków, niska ściana

bez końca i wreszcie ukazały się światła dworu, polyskując i migocąc przez zasłone drzew.

Tego samego wieczora wędrowny rękopis *Szaleństwa Almayera* został wypakowany i położony bez ostentacji na biurku w moim pokoju, w gościnnym pokoju, który — jak mi oświadczone niby to niedbałym tonem — czekał na mnie od jakich lat piętnastu. Rękopis nie przyciągnął uwagi pełnego tklivości człowieka, który krzątał się wokół syna swej ukochanej siostry.

— Niewiele tu będziesz miał czasu dla siebie, mój bracie — rzekł wuj, używając tego zwrotu na wzór naszych chłopów, co było u niego zawsze oznaką najlepszego humoru w chwilach serdecznego wzruszenia. — Będę zachodził do ciebie ciągle na pogawędki!

Mieliśmy właściwie cały dom do gawędy i odwiedzaliśmy się nawzajem bez końca. Nachodziłem wuja w jego gabinecie, gdzie najważniejszym sprzętem był olbrzymi srebrny kalamarz, ofiarowany mu w pięćdziesiątą rocznicę urodzin przez wszystkich jego ówczesnych pupilów. Był opiekunem wielu sierot z ziemiaństwa trzech południowych prowincji — począwszy od 1860 roku. Niektórzy jego pupile byli moimi szkolnymi kolegami i towarzyszymi zabaw, ale, o ile wiem, nikt spomiędzy tych wszystkich dziewcząt i chłopców nie napisał nigdy powieści. Paru było starszych ode mnie, i to znacznie. Jeden z nich — pamiętam, jak przyjechał w odwiedziny, kiedy byłem małym chłopcem — posadził mnie na grzbiecie konia pierwszy raz w moim życiu; czterokonny jego zaprzęg, mistrzowska konna jazda i zręczność we wszystkich sportach były przedmiotem moich najwcześniejszych zachwyty. Zdaje mi się, że pamiętam, jak moja matka — stojąc pod kolumnadą przed oknami jadalni — przyglądała się, gdy mnie wsadzono na kucyka; trzymał go może za uzdę ten sam Józef, który umarł na cholere, stajenny chłopiec oddany specjalnie na usługi mej babki. Pamiętam tego młodego mężczyznę w granatowej kurcie i fałdzistych kozackich spodniach, gdyż tak wyglądała liberia służby stajennej. Musiał to być rok 1864, a według innego systemu obliczeń działo się to z pewnością w roku, kiedy dozwolono mej matce opuścić miejsce wygnania, dokąd towarzyszyła memu ojcu, i udać się na południe celem odwiedzenia rodziny. Matka moja musiała także w swym czasie uzyskać pozwolenie, aby jechać na wygnanie razem z mężem; jednym z warunków, na których udzielono jej tej łaski, było zastrzeżenie, że władze będą się z nią obchodzić jak ze skazaną również na wygnanie. Ale w parę lat później, przez pamięć na mego najstarszego wuja, który służył w gwardii i umarł zostawiając w wielkim świecie Petersburga najlepszą pamięć i całe zastępy

przyjaciół, kilka wpływowych osób wystarczyło dla mojej matki o pozwolenie — zwane oficjalnie „Najwyższą Łaską” — na trzymiesięczny urlop z wygnania.

Jest to także rok, od którego począwszy pamiętam matkę z większą wyrazistością — już nie tylko jako czyjąś kochającą, cichą, opiekuńczą obecność, lecz jako istotę o szerokim czole i oczach wyrażających jak gdyby słodki nakaz; i pamiętam także wielki zjazd wszystkich krewnych z bliska i z daleka, siwe głowy przyjaciół rodziny, składających mej matce hołd szacunku i miłości w domu jej ulubionego brata, który w kilka lat później miał mi zastąpić oboje rodziców.

W owym czasie nie rozumiałem tragizmu tego wszystkiego, choć pamiętam, że doktorzy także nas odwiedzali. Po mojej matce nie było wcale znać choroby, lecz sądzę, że lekarze podpisali już byli na nią wyrok: tylko zmiana klimatu, tylko pobyt na południu mógł przywrócić opuszczające ją siły. Mnie owe czasy wydają się najszcześniejszym okresem życia. Była tam moja kuzynka, rozkoszne, żywe dziewczątko o kilka miesięcy młodsze ode mnie; jej życie — nad którym czuwano z miłością, jakby była księżniczką krwi — skończyło się z piętnastym jej rokiem. Były tam również inne dzieci — wiele z nich już nie żyje — a między nimi i takie, które zapomniałem nawet z imienia. Nad wszystkim wisiał gnębiący cień wielkiego rosyjskiego cesarstwa, cień mroczniejący jeszcze od świeżo zrodzonej nienawiści do Polaków, podsycanej przez moskiewską szkołę dziennikarzy po nieszczęsnym powstaniu 1863 roku.

Odeszliśmy bardzo daleko od rękopisu *Szaleństwa Almayera*, lecz publiczne wspomnienie tych kształtujących mnie wrażeń nie jest wybrykiem niespokojnego egotyzmu. Są to również ludzkie sprawy, odległe już w swej wymowie. Należy się, aby powieściopisarz zostawił swoim dzieciom coś więcej niż barwy i postacie własnej ciężko wypracowanej twórczości. Kiedy dzieci pisarza dorosną, to, co się wyda światu najbardziej zagadkową stroną ich natury, będzie właśnie ich nieświadomym odzewem na cichy głos tej nieubłaganej przeszłości, z której i dzieło wyobraźni pisarza, i indywidualność jego dzieci biorą odległy początek; a odzew ten pozostanie może na zawsze niejasny nawet dla tychże dzieci.

Tylko w ludzkiej wyobraźni znajduje każda prawda istotne i niezaprzeczone istnienie. Wyobraźnia, a nie inwencja, jest najwyższym mistrzem sztuki i życia. Pełne wyobraźni i wierne odtworzenie rzeczywistych wspomnień może służyć godnie temu duchowi pietyzmu dla wszystkich ludzkich spraw, duchowi dającemu sankcje zarówno pomysłom powieściopisarza, jak wzruszeniom człowieka rozpatrującego swą przeszłość.

II

Jak już wspomniałem, byłem zajęty rozpakowywaniem rzeczy po przyjeździe z Londynu na Ukrainę. Rękopis *Szaleństwa Almayera* — towarzysz mój od trzech lat lub więcej, liczący wówczas dziewiąty rozdział życia — został położony bez ostentacji na biurku stojącym między dwoma oknami. Nie przyszło mi na myśl, aby go schować do biurka, lecz ładny kształt mosiężnych rączek u szuflady tegoż biurka przyciągnął mój wzrok. Dwa kandelabry, każdy o czterech świecach, oświetlały wesolo pokój, który czekał przez tyle lat na wędrownego siostrzeńca. Okiennice były zamknięte.

O jakie pięćset metrów od miejsca, gdzie siedziałem, stała pierwsza z brzegu chata tej wsi, stanowiącej część dóbr mego dziada ze strony matki, jedyną część, która została w posiadaniu członka rodziny; a poza wsią, w czarnej nieskończoności zimowej nocy, leżały wielkie nieogrodzone pola — nie płaska, surowa równina, lecz dobrotliwy, chlebobajny kraj o niskich, zaokrąglonych pagórkach, teraz całych w bieli, z czarnymi plamami drzew gnieźdzących się w zagłębieniach. Droga, którą przyjechałem, biegła przez wieś i skręcała tuż za bramą zamykającą krótką aleję. Ktoś jechał po wgłębionym śnieżnym szlaku; żywy dźwięk dzwonek wkradał się stopniowo w ciszę pokoju jak dźwięczny szept.

Rozpakowywaniu kufrów przyglądał się służący, który przyszedł mi pomóc i przeważnie stał w drzwiach, uważny, lecz zbyteczny. Nie potrzebowałem go wcale, ale nie chciało mi się odprawić tego chłopca, młodszego ode mnie z pewnością więcej niż o dziesięć lat. Nie byłem ani w tej wsi, ani w tych okolicach od 1867 roku; a jednak dobroduszna, otwarta twarz wiejskiego wyrostka wydała mi się dziwnie znajoma. Bardzo możliwe, że był potomkiem, synem, a może i wnukiem służących, których przyjazne twarze widywałem we wczesnym dzieciństwie. Okazało się jednak, że ów chłopiec nie ma prawa wymagać ode mnie szacunku na tej podstawie. Pochodził z jakiejś sąsiedniej wsi i awansował świeżo na lokaja, wyuczony w dwóch czy trzech domach jako chłopiec kredensowy. Dowiedziałem się o tym nazajutrz od poczciwego W. Mogłem oszczędzić sobie tego pytania. Odkryłem wkrótce, że wszystkie twarze w domu i wszystkie twarze na wsi: poważne twarze gospodarzy o sumiastych wąsach, okryte puchem twarze młodych ludzi, twarzyczki jasnowłosych dzieci, piękne, opalone twarze i szerokie czola kobiet, które widywałem na progach chat — wszystkie były mi tak znajome, jakbym je znał od dzieciństwa i jakby moje dziecinne lata dopiero

co się skończyły.

Dzwonki podróznego zabrzmiały głośniejsze, po czym oddaliły się szybko i zgiełk psów szczekających we wsi uspokoił się wreszcie. Wuj, rozparty w rogu małej kanapki, palił w milczeniu fajkę o długim tureckim cybuchu.

— Jakie śliczne biurko stoi w moim pokoju — zauważyłem.

—. To jest właściwie twoja własność — rzekł z oczami utkwionymi we mnie z wyrazem zajęcia i uwagi, wyrazem, który nie opuszczał jego twarzy od chwili, gdy przybyłem.

— Przed czterdziestu laty twoja matka pisywała przy tym biurku. W naszym domu w Oratowie stało w małym saloniku, który za milczącym porozumieniem odstąpiliśmy paniom, to jest twojej matce i jej siostrze, zmarłej tak młodo. Ofiarował im obydwóm to biurko nasz stryj, Mikołaj Bobrowski, gdy twoja matka miała lat siedemnaście, a ciotka o dwa lata mniej. Było to najmiłsze, rozkoszne dziewczątko, ta twoja ciotka, znana ci pewnie tylko z imienia. Nie jaśniała wielką pięknnością ani inteligencją jak twoja matka. Ale była wszystkim droga przez swój zdrowy rozsądek, cudowną słodycz charakteru, wyjątkową łatwość i swobodę w codziennych stosunkach. Jej śmierć była dla nas wszystkich strasznym ciosem i ciężką stratą moralną. Gdyby ta dziewczyna nie była umarła, przyniosłaby największe błogosławieństwa domowi, w który weszłaby jako żona, matka i gospodyni. Stworzyłaby naokoło siebie atmosferę spokoju i zadowolenia, bo tylko ci, co kochają bez egoizmu, umieją tego dokazać. Twoja matka — bez porównania piękniejsza, wyróżniająca się niezwykłą dystynkcją i wyjątkowym intelektem — miała mniej łatwy charakter. Znacznie hojniej obdarzona przez naturę, spodziewała się też więcej od życia. W owych szczególnie ciężkich czasach niepokoiliśmy się o nią ogromnie. Zapadła na zdrowiu wskutek wstrząsu wywołanego śmiercią naszego ojca (była z nim sama w domu, gdy nagle umarł); szarpała ją wewnętrzna walka między miłością dla człowieka, którego miała w końcu poślubić, i świadomością, że nasz ojciec sprzeciwiał się stanowczo temu małżeństwu. Nie mogła się zdobyć na lekceważenie uwielbianej pamięci ojca i jego sądu, który zawsze szanowała i któremu wierzyła, a z drugiej strony czuła, że nie ma siły oprzeć się głębokiemu i szczeremu uczuciu; trudno się też było spodziewać, aby umiała zachować równowagę ducha. Skłócona wewnętrznie, nie mogła dać innym tego poczucia spokoju, którego w niej nie było. Dopiero później, gdy połączyła się wreszcie z człowiekiem swego wyboru, rozwinęła te niepospolite dary umysłu i serca, które nakazywały szacunek i podziw nawet naszym wrogom. Znosiła ze spokojem i hartem okrutne dopusty życia,

odbijającego wszystkie narodowe i społeczne nieszczęścia; stała się najwznioślejszym przykładem obowiązku jako żona, matka i patriotka, dzieląc wygnanie męża i wcielając wspaniale ideał polskiej kobiety.

Stryj Mikołaj nie był człowiekiem bardzo uczuciowym. Poza swym uwielbieniem dla Napoleona Wielkiego kochał prawdziwie, o ile mi się zdaje, tylko trzy osoby na świecie: swoją matkę, a waszą prababkę, którą widziałeś, ale pamiętać jej nie możesz; swego brata, naszego ojca, w którego domu mieszkał przez tyle lat; a z nas wszystkich bratanków i bratanic, naokoło niego wyrosłych, kochał tylko twoją matkę. Zdawało się, że nie umie dostrzec cichych, pociągających zalet najmłodszej bratanicy. Z całej rodziny ja odczułem najgłębiej ów nieoczekiwany cios śmierci, który spadł na naszą rodzinę w niespełna rok od chwili, kiedy zostałem jej głową. Była to straszliwa niespodzianka. Twoja ciotka wracała do domu pewnego zimowego wieczora; miała dotrzymywać mi towarzystwa w naszym pustym domu, gdzie musiałem stale mieszkać, aby administrować majątkiem i doglądać powikłanych interesów; obie siostry przebywały ze mną kolejno, zmieniając się co tydzień. Otóż, jak już wspomniałem, gdy twoja ciotka wracała sankami z domu pani Tekli Potockiej, gdzie nasza chora wówczas matka bawiła, aby być bliżej lekarza, stało się, że stangret zabłądził i u tknęli w zaspie. Ciotka twoja jechała sama ze stangretem i starym Walerym, osobistym służącym naszego nieboszczyka ojca. Obaj usiłowali wyciągnąć sanki ze śniegu, a ciotka, zniecierpliwiona zwłoką, wysiadła i poszła sama szukać drogi. Działo się to w roku 1851, o niecałe dziesięć mil od domu, gdzie teraz jesteśmy. Drogę prędko odnaleziono, ale śnieg zaczął znów gęsto padać i upłynęło jeszcze cztery godziny, zanim dojechali do dworu. Obaj mężczyźni zdjęli baranice i owinęli ciotkę we wszystkie derki, chcąc ją uchronić od zimna; nie zważali na jej protesty, rozkazy, a nawet usiłowania, aby zrzucić z siebie te okrycia, jak mi Walory później opowiadał. „Jakże bym mógł — tłumaczył jej — spotkać się z błogosławioną duszą mego świętej pamięci pana, gdybym panienki nie strzegł od złego, póki jest jeszcze choćby iskierka życia w mym ciele?” Gdy dotarli wreszcie do domu, biedny staruszek zdrętwiał z zimna i nie mógł słowa przemówić, a stangret był w niewiele lepszym stanie, choć miał jeszcze dość sił, aby dojechać do stajni. Robiłem twojej ciotce wyrzuty, że odważyła się w ogóle w taki czas wyruszyć; odpowiedziała na to w charakterystyczny dla siebie sposób: nie mogła znieść myśli, iż siedzę samotnie, smutny i opuszczony. Niepodobna zrozumieć, jakim sposobem pozwolono na jej wyjazd. Widocznie tak być musiało! Lekceważyła kaszel, którego dostała zaraz nazajutrz, lecz wkrótce rozwinęło się zapalenie płuc i w trzy tygodnie już jej nie było! Ona pierwsza

odeszła z młodego pokolenia powierzonego mej opiece. Pomyśl, jak kruche są wszystkie nasze nadzieje i lęki! Byłem po urodzeniu najdelikatniejszy z rodzeństwa. Przez szereg lat byłem tak delikatny, że rodzice mieli mało nadziei, abym się mógł uchować; a jednak przeżyłem pięciu braci i dwie siostry, a także wielu moich współczesnych; przeżyłem żonę, przeżyłem córkę, a ze wszystkich, którzy mieli choćby trochę pojęcia o tamtych dawnych czasach, ty jeden mi pozostałeś. Było mi przeznaczone złożyć w przedwczesnym grobie wiele uczciwych serc, wiele świetnych zapowiedzi, wiele nadziei tętniących życiem.

Wstał nagle, westchnął i odszedł, mówiąc: — Obiad będzie za pół godziny. — Słuchałem, nie ruszając się z miejsca, szybkich jego kroków, rozlegających się po wywoskowanej posadzce w sąsiednim pokoju, a potem w przedpokoju, obstawionym półkami pełnymi książek, gdzie się zatrzymał, aby umieścić cybuch w postumencie na fajki, po czym przeszedł do salonu (wszystkie te pokoje leżały jeden za drugim); kroki jego zamarły na puszystym dywanie. Ale usłyszałem jeszcze, jak zamykał drzwi od swego gabinetu. Miał wówczas sześćdziesiąt dwa lata i był przez ćwierć wieku najmądrzejszym, najbardziej stanowczym, najpobłażliwszym z opiekunów; otaczał mnie ojcowską opieką i przywiązaniem, dając mi moralne oparcie, zdawało mi się zawsze, że je czuję, choćbym był w najodleglejszych zakątkach ziemi.

Co się tyczy pana Mikołaja Bobrowskiego, podporucznika w 1808, porucznika armii napoleońskiej w 1815, a przez krótki czas *officier d'ordonnance* marszałka Marmonta, potem zaś kapitana drugiego pułku strzelców konnych w polskim wojsku — takim, jakie istniało aż do 1830 roku w okrojonym Królestwie ustanowionym przez Kongres Wiedeński — otóż co się tyczy pana Mikołaja muszę wyznać, że wizerunek jego odbił się najmniej wyraźnie w mojej pamięci ze wszystkich osób tej odległej przeszłości przekazanej mi przez tradycję, w drobnej części znanej mi osobiście, a wywołanej słowami człowieka, który przed chwilą mnie opuścił. Musiałem widzieć pana Mikołaja w 1864 roku, bo nie byłby opuścił sposobności, aby się zobaczyć z moją matką, którą — o czym z pewnością wiedział — miał widzieć po raz ostatni. Od mego najwcześniejszego dzieciństwa aż po dziś dzień, jeśli usiłuję wywołać jego obraz, coś w rodzaju mgły wznosi się przede mną, mgły, w której dostrzegam niejasno tylko głowę o białych, porządnie zaczesanych włosach (co jest wyjątkiem w rodzinie Bobrowskich, gdzie z reguły mężczyźni lysieją już przed trzydziestym rokiem życia, z czym im jest bardzo do twarzy) i cienki, orli nos pełen godności, rys najzupełniej zgodny z fizyczną tradycją tej rodziny. Ale nie z powodu tych szczytków znikomej śmiertelności wujeczny dziad Mikołaj żyje w

mej pamięci. Wiedziałem już od bardzo wczesnego dzieciństwa, że brat mego dziadka, Mikołaj Bobrowski, był kawalerem Legii Honorowej i że miał także polski krzyż za waleczność, *Virtuti Militari*. Świadomość tych chlubnych faktów wzbudzała we mnie szacunek pełen podziwu, a jednak uczucie to, jakkolwiek żywe, nie jest dla mnie miarą siły i znaczenia jego indywidualności. Góruje nad nim inne i powikłane wrażenie grozy, współczucia oraz wstrętu. Pan Mikołaj Bobrowski pozostał dla mnie na zawsze człowiekiem nieszczęsnym i godnym politowania (lecz bohaterskim), który zjadł ongi psa.

Upłynęło już dobrych pięćdziesiąt lat od chwili, gdy usłyszałem tę historię, a wrażenie moje jeszcze nie zbladło. Zdaje się, że była to pierwsza, powiedzmy, realistyczna opowieść, jaką słyszałem w życiu, ale mimo to nie zdaję sobie sprawy, dlaczego tak strasznie na mnie podziałała. Wiem oczywiście, jak wyglądają psy po naszych wsiach, a jednak... Nie! Nawet i dziś zapytuję siebie, wspominając swe dzieciinne wrażenia zgrozy i współczucia, czy mam prawo odsłonić przed zimnym i wybrednym światem ten straszny epizod z historii mojej rodziny. Pytam siebie, czy mam prawo, tym bardziej że ród Bobrowskich znany był zawsze szacunkiem, blisko i daleko, z subtelności swych upodobań w zakresie jedzenia i picia. Lecz koniec końców, wzięwszy pod uwagę, iż gastronomiczne poniżenie, które dotknęło dzielnego młodego oficera, obarcza właściwie Wielkiego Napoleona, sądzę, że byłoby przesadną literacką dyskrecją, gdybym je pokrył milczeniem. Niech się prawda tutaj objawi. Odpowiedzialność za to spada na człowieka z wyspy Świętej Heleny, który poprowadził rosyjską kampanię z tak oplakaną lekkomyślnością.

W czasie pamiętnego odwrotu spod Moskwy pan Mikołaj Bobrowski, w towarzystwie dwóch kolegów oficerów — o których moralności i wrodzonym wykwincie upodobań nic nie wiem — ukradł psa na skraju wsi i następnie go pożarł. O ile pamiętam, użył jako broni kawaleryjskiego pałasza, a wynik owej myśliwskiej przygody był kwestią życia i śmierci, i to bardziej niż spotkanie z tygrysem. Oddział kozaków nocował w tej wiosce, zagubionej w głębi litewskiego boru. Trzej myśliwi śledzili z ukrycia, jak kozacy rozgaszczali się wygodnie między chatami, nim wczesny zimowy mrok zapadł o czwartej. Śledzili ich ze wstrętem i może z rozpaczą. Późno w noc nierozważne podszepty głodu zapanowały nad zasadami przezorności. Czolgając się po śniegu dopelzli do ogrodzenia z suchych gałęzi, które zwykle otacza wsie w tej części Litwy. Bóg raczy wiedzieć, co spodziewali się zdobyć i w jaki sposób, i czy warto było tak się narażać. Jednak kozackie oddziały, wędrujące przeważnie bez oficerów, znane

były z tego, że nie zachowywały prawie żadnych ostrożności. A przy tym wieś leżała daleko od linii francuskiego odwrotu i kozacy nie mogli podejrzewać, iż maruderzy z Wielkiej Armii znajdują się w pobliżu. Owi trzej oficerowie oddalili się wśród zawiei od głównej kolumny i przez kilka dni błądzili po lesie, co dostatecznie tłumaczy okropne położenie, w jakim się znaleźli. Mieli zamiar przyciągnąć uwagę chłopów w jednej z chat położonych najbliżej płotu, lecz gdy już byli gotowi rzucić się w samą paszczę lwa, że się tak wyrażę, pies (to bardzo dziwne, że się tam znalazł tylko jeden), stworzenie w danych okolicznościach groźne jak lew, zaczął ujadać z drugiej strony płotu...

W tym miejscu opowiadania, które słyszałem wiele razy (na własne żądanie) z ust bratowej kapitana Mikołaja Bobrowskiego, mojej babki, drżałem zawsze z podniecenia.

Pies szczekał. I gdyby był na tym poprzestał, trzej oficerowie Wielkiej Armii napoleońskiej zginęliby zaszczytnie na ostrzach pik kozackich lub może, umknąwszy pościgowi, umarliby przyzwoicie z głodu. Lecz nim zdolali pomyśleć o ucieczce, ów fatalny i obrzydliwy pies, uniesiony przesadnym zapalem, wyskoczył przez szparę w płocie. Wyskoczył — i rozstał się z tym światem. Podobno jego łeb został odcięty od ciała jednym uderzeniem. I podobno gdy później, wśród posępnej samotności borów pokrytych śniegiem, maruderzy rozpalili ogień w zacisznej kotlinie, okazało się, że stan łupu jest wybitnie niezadowolający. Pies nie był chudy — przeciwnie, wydawał się chorobliwie obrzękły; na sierści jego widniały nagie plamy o nieprzyjemnym wyglądzie. Nie dla futra zabito go jednak. Był duży... został zjedzony... Reszta jest milczeniem.

Milczeniem, podczas którego mały chłopczyk wzdryga się i mówi stanowczo:

— Nie mógłbym jeść tego psa.

A babka odpowiada z uśmiechem:

— Może dlatego, że nie wiesz, co to znaczy być głodnym.

Dowiedziałem się czegoś w tej materii później. Nie byłem jednak nigdy zmuszony do jedzenia psiego mięsa. Karmiłem się mięsem symbolicznego zwierzęcia, które w języku płochych Gallów zwie się *la vache enragee*⁵, żywiłem się starym solonym mięsem, znam smak rekina, trepangu, węża, niemożliwych do opisania potraw z rzeczy nieokreślonych — lecz nie jadłem psa z litewskiej wsi. Pragnę, aby mnie zrozumiano dokładnie; to nie ja, tylko brat mego dziadka, Mikołaj, polski szlachcic osiadły na wsi. Chevalier de la Legion d'Honneur itp., itp., w zaraniu swej młodości jadł litewskiego psa.

Wolałbym, aby tego nie był popełnił. Dziecinny wstręt do jego postępku

⁵ Manger de la vache enragee — żyć w niedostatku, (fr.)

prześladuje w idiotyczny sposób osiwiałego człowieka. Nic na to poradzić nie mogę. Lecz jeśli dziad Mikołaj był naprawdę do tego zmuszony, nie zapominajmy, że zjadł tego psa będąc w czynnej służbie, stawiając mężnie czoło nieprzyjacielowi podczas największej wojskowej klęski nowożytnej historii i niejako dla dobra ojczyzny. Zjadł go oczywiście, aby zaspokoić głód, ale także, aby nasycić nieugaszone patriotyczne pragnienie, podżegane potężną wiarą, która żyje po dziś dzień; zjadł go w pościgu za wielką iluzją, wznieconą przez wielkiego męża na kształt fałszywej pochodni, aby sprowadzić na manowce wysiłek męznego narodu.

Pro patria!

Oglądany w tym świetle posiłek ów wyda się nam smaczny i przyzwoity.

I oglądane w tym samym świetle moje własne pożywienie — *de la vache enragée* — wydaje mi się niedorzecznym i dziwacznym sposobem dogadzania sobie samemu; bo dlaczegoż ja — syn kraju, który ludzie tacy jak mój dziad i jego koledzy orali pługami i zraszali swą krwią — puściłem się na szerokie morza w pogoni za fantastycznymi potrawami z solonego mięsa i twardych sucharów? Przy najzyczliwszym rozpatrywaniu tej kwestii wydaje mi się ona nierozwiązalna. Niestety! Jestem przekonany, że istnieją ludzie o nieskazitelnej prawości, którzy gotowi są wyszeptać z pogardą słowo: dezercja. Tak oto smak niewinnych przygód może się stać gorzki dla podniebienia. Oceniając ludzkie postęпки, należy uwzględnić to, co jest niewytłumaczalne na tej ziemi, gdzie żadne wyjaśnienie nie bywa ostateczne. Nigdy nie powinno się rzucać na wiatr oskarżenia o niewierność. Pozory tego kruchego życia są zwodne, jak wszystko, co podlega sądowi naszych niedoskonałych zmysłów. Wewnętrzny głos może pozostać lojalny w swych tajnych podszeptach. Wierność dla pewnej tradycji może przetrwać wśród wydarzeń życia zupełnie od pnia oderwanego, a jednak nie sprzeniewierzyć się drodze wykreślonej przez niewytłumaczalny popęd.

Za długo by mi przyszło wyjaśniać ścisły związek przeciwieństw w ludzkiej naturze, związek, który nawet miłości nadaje niekiedy rozpaczliwy pozór zdrady. A może nie istnieje tu żadne wyjaśnienie. Wyrozumiałość, jak ktoś powiedział, jest najinteligentniejszą z cnót. Pozwalam sobie uważać tę cnotę za jedną z najrzadziej spotykanych, jeśli nie najrzadszą ze wszystkich. Nie chcę przez to powiedzieć, aby wszyscy ludzie byli ograniczeni — lub choćby przeważna ich część. Nic podobnego. Golibroda i ksiądz, poparci przez opinię całej wsi, sprawiedliwie potępili postępowanie pomysłowego *hidalgo*, który, wyruszając ze swej rodzinnej miejscowości, rozbił głowę mulnikowi, zadał śmierć stadu niewinnych owiec i doznał bardzo żalonych przeżyć w

pewnej stajni. Niech Bóg uchowa, aby jaki niegodny prostak uszedł zasłużonej nagany, czepiając się strzemięcia wzniosłego *caballero*. Fantazja jego była bardzo szlachetna, pozbawiona doszczętnie egoizmu i zdolna wzbudzić tylko zazdrość podlejszych śmiertelników. Ale można rozmaicie się zapatrywać na czar tej postaci, egzaltowanej i niebezpiecznej. Donkiszot także miał swoje słabości. Naczytawszy się tylu romansów pragnął naiwnie uciec — duszą i ciałem — od niezdolnej rzeczywistości życia. Chciał spotkać się oko w oko z walecznym olbrzymem Brandabarbaranem, władcą Arabii, którego zbroja zrobiona była ze skóry smoka, a tarcza przywiązana do ramienia — bramą ufortyfikowanego miasta. O miła i naturalna słabości! O błogosławiona prostoto łagodnego serca nie znającego podstęp! Kto by nie uległ tak kojącej pokusie? A jednak był to pewien sposób dogadzania sobie samemu i pomysły *hidalgo* z La Manchy nie był dobrym obywatelem. Książę i golibroda mieli słuszość, że potępił go surowo. Nie posuwając się tak daleko jak stary król Ludwik Filip, który mawiał na wygnaniu: „Lud nie myli się nigdy” — można przyznać, że musi być pewna słuszość w zgodnym zdaniu całej wioski. Szalony! Ten, który spędził na pobożnych rozmyślaniach przepisana rytuałem rycerską wartę u studni przy oberży i ukląkł ze czcią o świcie, aby być pasowanym na rycerza przez oberżystę, tłustego, przebiegłego łotra — jest bardzo bliski doskonałości. Jedzie na koniu, z głową w aureoli, patron wszystkich żywotów popsutych lub zbawionych przez potężną łaskę wyobraźni. Ale dobrym obywatelem nie był.

Może właśnie to miał oznaczać okrzyk mego nauczyciela, okrzyk, którego nigdy nie zapomniałem.

Działo się to w roku pańskim 1873, w tym samym roku, kiedy zażyłem rozkosznych wakacji po raz ostatni. Przeżywałem nieraz i później długie okresy bez czynności, dość na swój sposób wesołe i nie pozbawione dla mnie pożytku, ale rok przede mną wspomniany był rokiem mych ostatnich szkolnych wakacji. Są także i inne przyczyny, dla których ów rok pamiętam, ale za długo by mi przyszło mówić, gdybym je chciał tu przytaczać. Nie mają przy tym nic wspólnego z tamtymi wakacjami. Natomiast wiąże się z nimi podróż, którą odbyłem, zanim usłyszałem ów okrzyk; zwiedziliśmy wówczas Wiedeń, górny Dunaj, Monachium, wodospady na Renie, Jezioro Konstancjańskie — była to doprawdy pamiętna podróż wakacyjna.

Wędrowaliśmy z wolna w górę doliną rzeki Reuss. Ta rozkoszna wycieczka przypominała raczej spacer niż włóczęgę. Wysiedliśmy w Fluellen z parowca krążącego po Jeziorze Lucerneńskim i pod wieczór drugiego dnia, gdy zmierzch przyłapał nas w czasie powolnej wędrówki, znaleźliśmy się za Hospenthal. Ale nie wówczas

usłyszałem ową uwagę; wśród cienia głębokiego wąwozu byliśmy dość daleko od ludzkich siedzib i myśli nasze zaprzętała nie tyle etyka postępowania, co prostszy dylemat, jak znaleźć schronienie i posiłek. Zdawało się, że nic podobnego nie ma w pobliżu, i myśleliśmy już o zawróceniu z drogi, gdy nagle natknęliśmy się za zakrętem na budynek wyglądający upiornie w półmroku.

Prowadzono wówczas roboty przy tunelu Św. Gotarda i wspaniałe to podziemne przedsięwzięcie przyczyniło się bezpośrednio do tego, że ów nieoczekiwany budynek stał tam samotnie u stóp góry. Długi, choć wcale nie obszerny, niski, zbudowany z desek, bez żadnych ozdób, przypominał barak; białe okienne ramy znajdowały się na jednej płaszczyźnie z żółtą ścianą pospolitego frontu. A jednak był to hotel; miał nawet jakąś nazwę, którą zapomniałem. Lecz przy skromnych jego drzwiach nie stał wygalonowany portier. Nieładna, krzepka służąca odpowiedziała na nasze pytania, po czym ukazało się dwoje właścicieli hotelu, mężczyzna i kobieta. Nie spodziewano się widać podróżnych i może wcale ich nie pożądanego w tej dziwacznej gospodzie, której surowy styl przypominał dom, wznoszący się na kadłubie arki Noego, zabawki posiadanej przez wszystkie dzieci europejskie. Tylko że dach owej gospody nie poruszał się na zawiasach i nie nakrywał wnętrza pełnego aż po brzegi zwierząt wyciosanych niezgrabnie z drzewa i pomalowanych. Nawet żywych zwierząt zwanych turystami nigdzie się nie dostrzegano. Dano nam coś do jedzenia w długim, wąskim pokoju, u końca długiego, wąskiego stołu; spojrzałem nań zmęczonym sennym wzrokiem i wydało mi się, że ten stół się przechylił jak ustawiona na pniu huśtawka, ponieważ na drugim końcu nie było nikogo, kto by stanowił przeciwagę dla dwóch postaci pokrytych kurzem i uznojonych w wędrówce. Potem pośpieszyliśmy na górę, aby się położyć w pokoju pachnącym sosnowymi deskami, zasnąłem mocno, ledwie dotknąwszy głową poduszki.

Nazajutrz rano mój nauczyciel (był to student Krakowskiego Uniwersytetu) obudził mnie wcześniej i rzekł, podczas gdyśmy się ubierali: „Zdaje się, że jest dużo gości w tym hotelu. Słyszałem odgłosy rozmów aż do jedenastej.” Bardzo mnie to zdziwiło; nie słyszałem żadnego hałasu, bo zasnąłem jak kamień.

Zeszliśmy do długiej, wąskiej jadalni o długim, wąskim stole z dwoma rzędami talerzy. Przy jednym z okien bez firanek stał wysoki, (kościsty człowiek; miał obfitą czarną brodę i łysą głowę ozdobioną kępką czarnych włosów nad każdym uchem. Popatrzył na nas znad gazety, którą czytał; zdawało się, że jest szczerze naszym najściem zdziwiony. Wkrótce weszło jeszcze więcej mężczyzn. Żaden z nich nie wyglądał na turystę. Ani jedna kobieta się nie zjawiała. Miałem wrażenie, że ci ludzie znają się dość

dobrze, ale nie mogę powiedzieć, aby byli bardzo rozmowni. Łysy człowiek zasiadł z powagą na pierwszym miejscu. Wszystko to wyglądało na rodzinne zebranie. Dowiedzieliśmy się niebawem od jednej z krzepkich służących w narodowym stroju, że hotel ten jest właściwie pensjonatem dla angielskich inżynierów zajętych przy budowie tunelu Św. Gotarda. Mogłem się nasłuchiwać do syta dźwięków angielskiej mowy, choć ludzie ci nie byli zbyt rozmowni, uważając widać, że nie należy tracić wielu słów na pustą uprzejmość.

Było to pierwsze moje zetknięcie z brytyjskim odłamem ludzkości, poza klasą turystów widywaną w hotelach Zurichu i Lucerny — klasą, która w pracującym świecie właściwie nie istnieje. Wiem teraz, że łysy mężczyzna mówił z silnym szkockim akcentem. Spotykałem później wielu ludzi z jego narodu, tak na lądzie, jak i na morzu. Na przykład drugi mechanik z parowca „Mavis”⁶ wyglądał jak jego bliźniak. Nie mogę się opędzić myśli, że był nim naprawdę, choć mechanik utrzymywał dla osobistych powodów, że nie miał nigdy brata bliźniaka. W każdym razie ten rozważny, łysy Szkot o kruczej brodzie wydał się mym chłopięcym oczom istotą bardzo romantyczną i tajemniczą.

Wymknęliśmy się nie zwracając niczyjej uwagi. Droga wytknięta przez nas na mapie prowadziła przez przełęcz Furka Pass ku lodowcowi Rodanu, po czym mieliśmy zejść po stoku doliny Häsli. Słońce już zachodziło, gdyśmy się znaleźli na przełęczy, i wkrótce miałem usłyszeć okrzyk, o którym wspomniałem.

Usiedliśmy na brzegu drogi, aby prowadzić dalej dyskusję rozpoczętą jakie pół mili wstecz. Jestem pewien, że to była dyskusja, bo pamiętam doskonale argumenty mego nauczyciela, siedziałem z oczami wbitymi uparcie w ziemię, nie umiając mu odpowiedzieć. Usłyszawszy jakiś ruch na drodze, podniosłem oczy i zobaczyłem mego niezapomnianego Anglika. Wiele osób znanych mi w późniejszych latach, ludzi, z którymi byłem w zażyłych stosunkach, kolegów ze statku, pamiętam mniej dobrze. Szedł szybko w kierunku wschodnim (w towarzystwie posępnego przewodnika Szwajcara) i wyglądał niby podróżnik nieustraszony i pełen zapału. Miał na sobie krótkie spodnie i skarpetki pod sznurowanymi butami (dla przyczyn zdrowotnych lub moralnych, oczywiście wyssanych z palca); jego łydki, wystawione na widok publiczny i na ożywcze wysokogórskie powietrze, wyglądały jak marmur i olśniewały ciepłym tonem młodej kości słoniowej. Szedł na czele niewielkiej karawany. Blask zapamiętałego, wielkiego

⁶ Statek angielski, na którym Conrad opuścił Marsylię w 1878 jako oficer praktykant; popłynęli na Morze Czarne, a stamtąd do Anglii, gdzie Conrad znalazł się po raz pierwszy w maju tegoż roku.

zadowolenia z ludzi i górskiego krajobrazu rozjaśniał jego pociągłą, bardzo czerwoną twarz, krótkie, srebrzyste baki, oczy pełne naiwnej żarliwości i tryumfu. Przechodząc rzucił spojrzenie życzliwe a ciekawe i błysnął przyjaźnie dużymi, zdrowymi, lśniącymi zębami ku mężczyźnie i chłopcu siedzącym na brzegu drogi niby wędrowcy okryci pyłem, ze skromnym plecakiem u stóp. Białe łydki Anglika błyskały olśniewająco, nieokrzesany przewodnik o kwaśnym wyrazie twarzy kroczył jak niechętny niedźwiedź u jego boku; mała karawana, złożona z trzech mulów stąpających gęsiego, sunęła pod wodzą tego porywającego entuzjasty. Dwie panie przejechały na mulach jedna za drugą, lecz widziałem tylko ich nieruchome, jednakowe plecy i długie końce błękitnych welonów, które zwisały nisko z identycznych kapeluszy. Były to z pewnością jego córki. Na samym końcu stąpił pracowity muł o obwisłych uszach, objuczony bagażem i prowadzony przez wybladłego, niezgrabnego woźnicę. Nauczyciel mój urwał, popatrzył na karawanę z lekkim uśmiechem i zaczął znów poważnie dowodzić.

Mówię wam, że to był rok pamiętny! Takiego Anglika nie spotyka się dwa razy w życiu. Może był — według mistycznego porządku zwykłych wydarzeń — ambasadorem mej przyszłości, wysłanym, aby przeważyć szalę w chwili krytycznej — na alpejskiej przełęczy, wśród szczytów berneńskiego Oberlandu, świadków niemych i uroczystych? Jego spojrzenie, uśmiech, żarliwy i śmieszny zapal sunącej naprzód postaci pomogły mi dźwignąć się na duchu. Należy stwierdzić, że właśnie w owym dniu, wśród ożywczego powietrza tej wyniosłości, poczułem się doszczętnie zmiażdżony. Był to rok, w którym pierwszy raz wypowiedziałem głośno, że pragnę zostać marynarzem. Z początku oświadczenie to pozostało 'niedostrzeżone, jak owe dźwięki rozlegające się poza skalą, do której nie są dostrojone ludzkie uszy. Zdawało się, że w ogóle nic nie rzekłem. Próbowałem później różnych intonacji i udawało mi się niekiedy wywołać chwilowe zainteresowanie pełne zdziwienia, coś na kształt pytania: „Cóż to za dziwny hałas?” A później mówiono: „Słyszałeś, co ten chłopiec powiedział? To wybryk wprost niesłychany!” Niebawem fala zgorzonego zdumienia (nie byłoby większe, gdybym oświadczył, że zamierzam wstąpić do Kartuzów) wypłynęła z akademickiego miasta Krakowa docierając do kilku prowincji. Rozlała się płytko, lecz daleko. Wzniciła mnóstwo wyrzutów, oburzenia, współczującego zdumienia, gorzkiej ironii, zwykłych drwin. Ledwie mogłem zipnąć pod jej ciężarem i oczywiście nie znajdowałem słów na odpowiedź. Ludzie byli ciekawi, co też pan Tadeusz Bobrowski pocnie ze swym nieznośnym siostrzeńcem, i spodziewali się dobrotliwie, że przemówi mi skutecznie do rozumu.

A tymczasem mój wuj przyjechał aż z Ukrainy, aby się ze mną rozmówić; chciał rozpatrzeć moją sprawę sam, bez uprzedzeń, bezstronnie i sprawiedliwie, stając na gruncie mądrości i uczucia. O ile to było możliwe dla chłopca, którego umiejętność wypowiedzenia się jest jeszcze niewyrobiona, zwierzyłem mu się z tajnych myśli, a on pozwolił mi w zamian spojrzeć w swoją duszę i serce; ujrzałem wtedy po raz pierwszy niewyczerpany, szlachetny skarb jasnego rozumu i gorącego uczucia, z którego miałem czerpać przez całe życie z miłością i zaufaniem i który nie zawiódł mnie nigdy. Po kilku gruntownych rozmowach wuj doszedł do przekonania, że nie życzy sobie, abym mu później wyrzucił, iż przez stanowczy opór zmarnował mi życie. Ale polecił mi nie śpieszyć się i dobrze wszystko rozważyć. Trzeba pomyśleć nie tylko o sobie, lecz także i o innych; rozpatrzeć z jednej strony nakaz swych uczuć i swego sumienia, a z drugiej szczerą swego zamiaru.

— Pomyśl dobrze nad tym, jak to będzie wyglądało na dalszą metę — upomniał mnie w końcu ze szczególną serdecznością. — A tymczasem staraj się zdać jak najlepiej doroczne egzaminy.

Rok szkolny dobiegł końca. Egzaminy wypadły dość pomyślnie, a było to dla mnie z pewnych przyczyn zadanie trudniejsze niż dla innych chłopców. Mogłem więc z czystym sumieniem rozpocząć te wakacje niby długą wizytę *pour prendre conge*⁷ złożoną lądowi starej Europy, którą miałem widywać tak rzadko przez następnych lat dwadzieścia cztery. Jednak nie to stanowiło jawny cel tej wycieczki. Sądzę, że ułożono ją raczej, aby mnie rozerwać i zwrócić moje myśli w inną stronę. Przez kilka miesięcy nie mówiło się wcale o tym, że mam zostać marynarzem. Ale moje przywiązanie do młodego nauczyciela i wpływ, jaki na mnie wywierał, były tak dobrze znane, iż zapewne powierzono mu poufną misję, aby wybił mi z głowy romantyczne szaleństwo. Ten plan był świetnie obmyślony, ponieważ ani mój nauczyciel, ani ja nigdyśmy w życiu morza nie widzieli. Miało to nastąpić niebawem w Wenecji, na wybrzeżu Lido. Tymczasem nauczyciel mój wziął tak bardzo swą misję do serca, że poczułem się zmiażdżony jego argumentami, zanim jeszcze dotarliśmy do Zurichu. Przekonywał mnie i w kolei, i w czasie jazdy parowcem po jeziorach, zatruł mi nawet obowiązkowy wschód słońca na Rigi — słowo daję! O przywiązaniu nauczyciela do niegodnego ucznia niepodobna było wątpić. Dowiódł go już wcześniej podczas dwóch lat nieustannej i trudnej pieczy. Nie mogłem go nienawidzić. Ale powolutku kruszył mój opór, a gdy zaczął dowodzić na przełęczy Furka Pass, był może bliżej celu, niżesmy obaj myśleli. Przysłuchiwałem mu

⁷ pożegnalną (fr.)

się w rozpaczliwym milczeniu, czując, jak upragnione, niedościgłe widmo morza, o którym śniłem, wymyka się z bezsilnego uchwytu mej woli.

Zapalony stary Anglik nas minął, a nauczyciel mój w dalszym ciągu dowodził. Jakiejże nagrody dla ambicji, honoru lub też sumienia mógłbym się spodziewać u końca swych dni po takim życiu? Pytanie, na które nie ma odpowiedzi. Ale już się nie czułem zmiażdżony. Nasze oczy spotkały się i prawdziwe wzruszenie odmalowało się i w jego wzroku, i w moim. Spór nagle się skończył. Nauczyciel mój wziął do ręki plecak i dźwignął się na nogi.

— Jesteś niepoprawnym, beznadziejnym Donkiszotem! Ni mniej, m więcej.

Byłem zdziwiony. Miałem wówczas dopiero lat piętnaście i nie wiedziałem, co on chce właściwie powiedzieć. Ale pochlebiali mi niejasno, że imię nieśmiertelnego rycerza padło w związku z mym szaleństwem — jak niektórzy określali mój zamiar, mówiąc mi to w oczy. Niestety! Nie uważam, abym miał wówczas z czego być dumny. Nie było we mnie materiału, z którego powstają opiekunowie opuszczonych dziewczyc, prostujący ścieżki tego świata, a mój nauczyciel mógł o tym wiedzieć najlepiej. Toteż wyższy był w swym oburzeniu od golibrody i księdza, gdy cisnął mi jako wyrzut czczone imię.

Szedłem za nim przez całych pięć minut; wreszcie stanął, ale się nie obejrzał. Cienie odległych szczytów wydłużyły się nad Furka Pass. Kiedy się z nim zrównałem, zwrócił się do mnie i — mając jak na dłoni szczyt Finsteraar Horn, z jego orszakiem olbrzymich braci, wznoszących potworne głowy na tle wspaniałego nieba — położył mi serdecznie rękę na ramieniu. — No! Dostyc. Nie będzie już o tym mowy. I rzeczywiście nie było już między nami mowy o moim tajemniczym powołaniu. I w ogóle nigdzie i z nikim nie było już o tym mowy. Zaczęliśmy schodzić z Furka Pass, rozmawiając wesoło. W jedenaście lat później co do miesiąca, stałem na Tower Hill, na schodach doku Św. Katarzyny, jako kapitan brytyjskiej marynarki handlowej. Ale człowiek, który na przełęczu Furka Pass położył mi rękę na ramieniu, już nie żył.

W roku naszej podróży zdobył doktorat na wydziale filozoficznym i dopiero wtedy ujawniło się prawdziwe jego powołanie. Poszedł za nim, wstępując od razu na czteroletni kurs wydziału medycznego. Nadszedł dzień, kiedy na pokładzie statku zakotwiczonego w Kalkucie otworzyłem list, donoszący mi o kresie życia godnego zazdrości. Nauczyciel mój wyrobił był sobie praktykę w którymś z mało znanych galicyjskich miasteczek. List opisywał, jak wszyscy tamtejsi osieroceni biedacy, zarówno chrześcijanie, jak Żydzi, odprowadzili do grobu całą gromadą trumnę zacnego doktora, szlochając i lamentując.

Jakże krótkie jego życie i jaka jasna jego wizja! Nie mógł sobie wymarzyć większej nagrody dla swej ambicji, swego honoru i swego sumienia, gdy na przełęczy Furka Pass kazał mi głęboko się zastanowić nad kresem świtającego mi dopiero życia.

III

Pożarcie nieszczęsnego litewskiego psa w posępnym borze przez mego wujecznego dziada, Mikołaja Bobrowskiego, oraz przez dwa inne zgłodniałe żołnierskie straszdyła uosabiało dla mej dziecinnej wyobraźni całą grozę odwrotu spod Moskwy i niemoralność ambicji zdobywcy. Niezmierny wstręt do tego przykrego epizodu zabarwił pojęcie, jakie mam o charakterze i czynach Napoleona Wielkiego. Nie potrzebuję mówić, że to pojęcie jest niekorzystne. Wielki wódz zasługuje na naganę, ponieważ doprowadził prostodusznego polskiego szlachcica do zjedzenia psa, obudziwszy w nim złudne nadzieje, że jego naród odzyska niepodległość. Przeznaczeniem tego łatwowernego narodu było cierpieć głodowe męki przez sto lat z górą, żywiąc się fałszywymi nadziejami i — powiedzmy — psim mięsem. Doprawdy, jeśli się nad tym zastanowić, jest to dieta szczególnie trująca. Można wybaczyć niejaką dumę z narodowego organizmu, który wytrzymał długoletnie pożywienie tego rodzaju.

Ale dość tych uogólnień. Wracając do poszczególnego wypadku, pan Mikołaj Bobrowski zwierzył się swojej bratowej (a mojej babce), z właściwą sobie mizantropijną lakonicznością, że po tej kolacji w lesie znalazł się „o włos od śmierci”. Nic w tym dziwnego. Natomiast dziwię się, że ktoś w ogóle słyszał ową historię, bowiem dziad mój wujeczny Mikołaj różnił się tym od ogółu wojaków z czasu Napoleona (a może i wszystkich czasów), że nie lubił mówić o swych kampaniach, które się zaczęły pod Friedlandem, a skończyły gdzieś w sąsiedztwie Bar-le-Duc. Dla wielkiego cesarza miał uwielbienie bezgraniczne pod każdym względem, lecz nigdy o nim nie wspominał. Jak religia u wierzącego człowieka było to uczucie zanadto głębokie, aby je roztaczać przed ludźmi małej wiary. Poza tym zdawało się zawsze, że pan Mikołaj nie zna ani jednej żołnierskiej anegdoty, jakby nigdy w życiu żołnierza nie widział. Był dumny ze swych odznaczeń, zdobytych przed dwudziestym piątym rokiem życia, lecz nie chciał nosić w klapie orderowych wstążeczek, jak to się do dziś dnia praktykuje w Europie, i nawet niechętnie przypinał sobie ordery przy uroczystych okazjach; rzekłbyś, krył się z nimi w obawie, aby go nie posądzono o pyszałkowatość. „Wystarcza, że je mam”, mrucał pod nosem. W ciągu trzydziestu lat widziano odznaczenia na jego piersi tylko dwa razy — przy okazji pomyślnego ślubu w rodzinie i na pogrzebie starego przyjaciela. Ze ślub zaszczycony w ten sposób nie był ślubem mej matki, o tym dowiedziałem się już zbyt późno, aby czuć żal do pana Mikołaja Bobrowskiego, który zrehabilitował się przy

sposobności moich urodzin; napisał długi list z powinszowaniem i wypowiedział tam następujące proroctwo: „Dożyje on lepszych czasów.” Nawet w jego zgorzkniałym sercu żyła nadzieja. Ale nie był dobrym prorokiem.

Miał w sobie dziwne sprzeczności. Mieszkał przez długi czas u swego brata, w domu pełnym dzieci, ożywienia, gwaru licznych gości, którzy przyjeżdżali i wyjeżdżali bez przerwy, a jednak zachował zamiłowanie do samotności i ciszy. Uważany za skrytego i upartego we wszystkich swych zamierzeniach, był w istocie ofiarą niezmiernie przykrego braku decyzji w sprawach prywatnych. Pod jego milczącym, flegmatycznym obejściem kryła się skłonność do krótkotrwałych napadów zapamiętałego gniewu. Nie miał chyba narracyjnych zdolności, lecz opowiadał jak gdyby z posępnym zadowoleniem, że był ostatnim człowiekiem, który przejechał konno przez most na Elsterze po bitwie pod Lipskiem. Aby nikt nie wywiódł z tego faktu jakichś wniosków pochlebnych dla jego męstwa, raczył wyjaśniać, jak się to stało. Podobno wkrótce po rozpoczęciu odwrotu został wysłany z powrotem do miasta, gdzie oddziały państw zjednoczonych dosłownie wycinały w pień kilka dywizji armii francuskiej (a wśród nich polski korpus księcia Józefa Poniatowskiego), stłoczonych beznadziejnie na ulicach. Gdy pytano pana Mikołaja, jak to wyglądało, mrucał w odpowiedzi jedno słowo: „Jatki.” Wręczyszy rozkaz księciu, ruszył natychmiast z powrotem, aby zdać sprawę ze swej misji zwierzchnikowi, który go wysłał. Tymczasem nieprzyjaciel zdążył otoczyć miasto; ostrzeliwano pana Mikołaja z domów, a bezładna banda austriackich dragonów i pruskich huzarów ścigała go aż do samej rzeki. Złożono minę pod most już wczesnym rankiem; pan Mikołaj twierdził, iż widok jeźdźców, pędzących ze wszystkich stron za nim w pościgu, zaniepokoił oficera dowodzącego saperami i sprawił, że podpalono przedwcześnie lonty. Pan Mikołaj nie ujechał i dwustu metrów po drugiej stronie rzeki, gdy usłyszał huk fatalnych wybuchów. Tu kończyła się zwięzła opowieść na słowie „dureń”, wypowiedzianym z głębokim przekonaniem. Świadczyło to o oburzeniu pana Mikołaja z powodu utraty tylu tysięcy ludzi. Lecz gdy mówił o swej jedynej ranie, jego flegmatyczna twarz rozjaśniała się czymś podobnym do zadowolenia. Czytelnicy rozumieją, że miał do tego niejake przyczyny — pan Mikołaj był ranny w piętę. „Jak jego cesarska mość sam cesarz Napoleon” — przypominał słuchaczom niby to obojętnie. Nie ma kwestii, że owa obojętność była fałszywa, jeśli się zważy, do jakiej niezwyklej kategorii należała ta rana. Sądzę, że w całej historii wojen jest tylko trzech wojowników, znanych z tego, że byli ranni w piętę: Achilles, Napoleon — zaiste półbogi — a do nich rodzinny pietyzm niegodnego potomka dołącza imię i nazwisko zwykłego śmiertelnika,

Mikołaja Bobrowskiego.

Podczas Stu Dni pan Mikołaj bawił u naszego dalekiego krewnego, właściciela niewielkiej posiadłości w Galicji. Jak się tam dostał poprzez całą szerokość zbrojnej Europy i po jakich przygodach, tego, sędzę, nigdy się już nie dowiemy. Wszystkie papiery pana Mikołaja zostały zniszczone na krótko przed jego śmiercią; lecz jeśli był między nimi, jak twierdził, krótki opis jego życia, jestem pewien, że nie zajmował więcej niż, powiedzmy, pół znormalizowanego arkusza. Tak się złożyło, że nasz krewny, u którego pan Mikołaj gościł, był austriackim oficerem i wystąpił z wojska po bitwie pod Austerlitz. Odwrotnie niż pan Mikołaj, który ukrywał swoje ordery, tamten lubił się chwalić zaszczytną swoją dymisją, gdzie stwierdzano, iż jest *unschreckbar* (nieustraszony) wobec nieprzyjaciela. Zetknięcie się tych dwóch ludzi zapowiadało się jak najgorzej, lecz rodzinna tradycja głosi, że żyło im się razem bardzo dobrze w wiejskim, ustroniu.

Gdy pytano pana Mikołaja, czy podczas Stu Dni nie miał pokusy, aby się dostać do Francji i wstąpić do szeregów ukochanego cesarza, mruczał pod nosem: „Ani pieniędzy, ani konia. Na piechotę za daleko.”

Upadek Napoleona i zniweczenie nadziei narodu wpłynęły ujemnie na charakter pana Mikołaja. Odsuwał ze wstrętem myśl o powrocie w rodzinne okolice. Ale wchodziła tu w grę i inna przyczyna. Pan Mikołaj i jego brat — ojciec mej matki — stracili ojca będąc małymi dziećmi. Matka ich, młoda jeszcze i bardzo zamożna wdowa, wyszła za mąż po raz drugi za człowieka o wielkim uroku i miłym usposobieniu, ale bez grosza. Okazał się ojczymem czułym i troskliwym, lecz na nieszczęście, choć kierował wychowaniem chłopców i wpływał mądrymi radami na ukształtowanie ich charakterów, zrobił wszystko, co mógł, aby zawładnąć majątkiem, sprzedając ziemię, kupując ją na własne imię i umieszczając kapitały w ten sposób, aby zatrzeć ślady, do kogo istotnie należą. Widać praktyki tego rodzaju mogą się udać człowiekowi, który ma dość czasu, aby ołśniewać swą żonę, i dość odwagi dla wyzywania czczych grózb opinii. Chwila krytyczna nadeszła, gdy starszy z chłopców osiągnął pełnoletność w 1811 roku i zażądał rachunków oraz przynajmniej części swego dziedzictwa, chcąc zacząć niezależne życie. W owej to chwili ojczym oświadczył spokojnie i stanowczo, że nie ma żadnych rachunków do zdania, a pasierb żadnej ojcowizny. Cały majątek jest własnością jego, ojczyma. Wykazał przy tym wiele dobroduszości w stosunku do młodzieńca, nie umiejącego zrozumieć, jak interesy właściwie stoją, lecz oczywiście uważał za konieczne podtrzymać niezachwianie swe stanowisko. Starzy przyjaciele krzatali się gorliwie,

pośrednicy zgłaszali się na ochotnika, podróżując po okropnych drogach z najodleglejszych zakątków trzech prowincji, a marszałek szlachty (*ex officio* opiekun wszystkich sierot ze szlacheckich rodzin) zwołał zebranie ziemian, aby „zbadać po przyjacielsku, jak powstało nieporozumienie między X a jego pasierbami, i przedsięwziąć odpowiednie kroki dla usunięcia tegoż nieporozumienia”. Deputacja zebrana w tym celu udała się do pana X, który przyjął ją doskonałymi winami, lecz odmówił kategorycznie wysłuchania jakichkolwiek napomnień. Na propozycje polubownego sądu roześmiał się po prostu; a jednak cała prowincja musiała zdawać sobie sprawę, że gdy pan X przed laty czternastu żenił się z wdową, cały jego widzialny majątek (pominąwszy towarzyskie zalety) składał się z szykownego czterokonnego zaprzęgu oraz stangreta i lokaja, z którymi jeździł w odwiedziny od domu do domu; co się zaś tyczy posiadanych przezeń funduszów, o istnieniu ich świadczyła tylko punktualność, z jaką uiszczal skromne przegrane w karty. Lecz magiczna potęga uporczywych i nieustannych zapewnień sprawiła, że gdzieniegdzie znaleźli się ludzie przebąkujący, iż z pewnością „coś w tym wszystkim musi być”. Jednak gdy wypadły imieniny pana X (które były zawsze obchodzone przez wielkie trzydniowe polowanie), z mnóstwa zaproszonych gości zjawili się tylko dwóch dalekich sąsiadów, ludzi bez znaczenia; jeden — skończony osioł, a drugi — bardzo uczciwy i pobożny, lecz tak namiętny myśliwy, że — według jego własnych słów — nie byłby w stanie odmówić, nawet gdyby go sam diabeł zaprosił. X zniósł ten przejaw publicznej opinii z pogodą nieskazitelnego sumienia. Nie dał się zgnębić. Lecz musiał to być człowiek o głębokich uczuciach, bo gdy jego żona stanęła otwarcie po stronie dzieci, utracił swój wspaniały spokój, oświadczył, że ma złamane serce, i wypędził ją z domu, zapominając w swym bólu dać jej czas do spakowania kufrów.

Wynikł stąd proces — arcydzieło wstrętnej przebiegłości — który przy pomocy wszystkich legalnych wybiegów ciągnął się przez wiele lat. Była to również sposobność do wielu przejawów życzliwości i współczucia. Wszystkie sąsiednie domy otworzyły się na oścież dla przyjęcia bezdomnych. Nie zabrakło ani prawnej, ani też materialnej pomocy przy dalszym prowadzeniu procesu. X ze swej strony ronił publicznie lzy nad niewdzięcznością pasierbów i zaślepieniem małżonki, lecz ponieważ rozwijał jednocześnie wielką zręczność w sztuce usuwania dokumentów (podejrzewano go nawet o spalenie wielu rodzinnych papierów o historycznym znaczeniu), skandaliczny ten proces trzeba było zakończyć kompromisem, aby uniknąć czegoś gorszego. Zaspokojono ostatecznie żądania pana X odstępując mu z obszaru spornych majątków dwie wsie,

których nazwami nie chcę zaprzętać swych czytelników. Po tym kulawym i niedołącznym zakończeniu procesu ani żona, ani pasierbowie nie mieli nic do powiedzenia człowiekowi, który obdarzył świat tak udanym przykładem samopomocy, opartej na sile charakteru, determinacji i pracowitości; moja prababka zaś, której zdrowie było zupełnie zrujnowane, umarła parę lat później w Karlsbadzie. Umocniony prawnie dekretem w posiadaniu swego łupu, X odzyskał zwykłą pogodę i mieszkał jak przedtem w sąsiedztwie wśród pozornego spokoju ducha, opływając w wygody. Jego wielkie polowania miały znów dość duże powodzenie. Nie przestawał nigdy oświadczać ludziom, że nie ma najmniejszego żalu za to, co się stało, i głosił swą niezmienną miłość do żony i pasierbów. Wprawdzie — mówił — chcieli go obdrzeć ze skóry u schyłku jego dni, a gdy usiłował bronić się od grabieży, co każdy zrobiłby na jego miejscu, porzucili go i oddali na pastwę samotnej starości — jednakże miłość jego przetrwała mimo tych ciężkich ciosów. Może było i trochę prawdy w tych zapewnieniach. Bardzo prędko wystąpił z propozycjami przyjaźni do swego najstarszego pasierba, ojca mej matki; gdy zostały kategorycznie odrzucone, powtarzał je raz po raz z charakterystycznym uporem. Wytrwał całymi latami w usiłowaniach, aby doprowadzić do zgody, obiecując memu dziadkowi, że uczyni go swym spadkobiercą, jeśli tylko dziadek nawiąże z nim stosunki i zechce odwiedzić go od czasu do czasu (było to dość bliskie sąsiedztwo jak na tamte okolice, około czterdziestu mil), a choćby tylko pokazać się na wielkim polowaniu w dniu imienin. Mój dziadek był wielkim miłośnikiem wszelkich sportów. W jego charakterze nie było ani krzty zawziętości czy gniewu. Wychowany w liberalnym duchu przez benedyktynów, którzy prowadzili jedyną wówczas w południowych prowincjach szkołę stojącą na pewnym poziomie, wczytywał się w pisarzy osiemnastego wieku. Chrześcijańskie miłosierdzie łączyło się w nim z filozoficzną wyrozumiałością dla braków ludzkiej natury. Lecz wspomnienie młodocianych lat pełnych nieszczęścia i troski, młodości obdartej ze wszystkich szlachetnych złudzeń przez cynizm plugawego procesu nie pozwalało mu przebaczyć. Nie uległ nigdy ponętom wielkich łowów; a tymczasem X — który wyczekiwał na pojednanie aż do ostatka i trzymał przy łóżku testament gotowy do podpisu — umarł, nie położywszy na nim swego nazwiska. Majątek, zdobyty w ten sposób i powiększony przez mądrą i staranną administrację, przypadł dalekim krewnym, których X nigdy nie widział i którzy nie nosili nawet jego nazwiska.

Tymczasem błogosławieństwo powszechnego pokoju zstąpiło na Europę. Pan Mikołaj Bobrowski, pożegnał wszy się ze swym gościnnym krewniakiem, owym

austriackim oficerem, opuścił Galicję; nie udał się w rodzinne strony, gdzie ohydny proces wciąż jeszcze się ciągnął, lecz pojechał wprost do Warszawy i wstąpił do wojska w świeżo ukonstytuowanym Królestwie Polskim pod berłem Aleksandra I, wszechrosyjskiego autokraty.

Królestwo to, stworzone przez Kongres Wiedeński jako zadośćuczynienie dla narodu za jego utraconą niepodległość, obejmowało tylko środkowe prowincje polskiego dziedzictwa. Brat cesarza, wielki książę Konstanty (Pawłowicz), namiestnik Królestwa Kongresowego i jego wódz naczelny, ożeniony morganatycznie z Polką, do której był namiętnie przywiązany, rozciągał to przywiązanie — kapryśne i dzikie — na tych, których nazywał „swymi Polakami”. Cerę miał bladą, twarz tatarską o małych, dzikich oczkach; chodził z zaciśniętymi pięściami, pochylony naprzód, rzucając podejrzliwe spojrzenia spod olbrzymiego stosowanego kapelusza. Inteligencja jego była ograniczona, a nawet i poczytalność wątpliwa. Dziedziczne obciążenie wyrażało się w jego wypadku nie przez mistyczne skłonności jak u dwóch braci, Aleksandra i Mikołaja (u każdego w inny sposób, bo jeden był mistycznym liberałem, a drugi mistycznym autokratą), ale przez nieposkromiony temperament, który zwykle wybuchał wstrętnymi przekleństwami podczas parad wojskowych. Wielki książę Konstanty był namiętym militarystą i świetnym kierownikiem musztry. Obchodził się z polskim wojskiem, jak popsute dziecko obchodzi się z ulubioną zabawką, z tą tylko różnicą, że w nocy nie brał jej z sobą do łóżka. Była na to za duża. Ale bawił się nią dzień w dzień od rana do wieczora, rozkoszując się różnaitością pięknych mundurów i nieustanną zabawą w musztrę. Ta dziecinna namiętność — nie do wojny, lecz do samego militaryzmu — osiągnęła pożądaný skutek. Polskie wojsko pod względem ekwipunku, uzbrojenia i sprawności na polu bitwy — jak ją wówczas rozumiano — stało się pod koniec 1830 roku pierwszorzędnym narzędziem taktycznym. Polscy chłopci (nie byli to chłopci pańszczyźniani) służyli w szeregach jako zaciężni, a oficerowie należeli głównie do drobnej szlachty. Pan Mikołaj uzyskał z łatwością stopień porucznika ze względu na swe zasługi podczas kampanii napoleońskich, lecz awanse w polskiej armii były rzadkie, ponieważ stanowiła oddzielną jednostkę i nie brała udziału w wojnach rosyjskiego cesarstwa z Persją czy Turcją. Pierwsza kampania polskiego wojska, przeciwko samej Rosji, była zarazem ostatnią. W 1830 roku, w chwili wybuchu powstania, pan Mikołaj Bobrowski był najstarszym kapitanem w swym pułku. Na jakiś czas przedtem został mianowany szefem oddziału remontów, znajdującego się poza Królestwem w jednej z naszych południowych prowincji, skąd pochodziły prawie wszystkie konie polskiej

kawalerii. Dziad mój odetchnął powietrzem kresów, swym ojczystym powietrzem, po raz pierwszy od czasu, gdy wyruszył z domu w wieku lat osiemnastu, aby rozpocząć wojskowe życie pod Friedlandem. Nielaskawy los czyhał na niego wśród otoczenia jego dzieciństwa. Przy pierwszej wieści o powstaniu w Warszawie cały oddział remontów, oficerowie, weterynarze, nawet szeregowcy zostali natychmiast aresztowani i odstawieni za Dniepr do najbliższego miasta w Rosji właściwej. Stamtąd wywieziono ich do różnych odległych części cesarstwa. Przy tej sposobności biedny pan Mikołaj przeniknął znacznie dalej w głąb Rosji niż w czasie inwazji napoleońskiej, a przy tym ze znacznie mniejszą ochotą. Astrachań był miejscem jego przeznaczenia. Pozostał tam przez trzy lata, przy czym pozwolono mu mieszkać w mieście, musiał jednak meldować się co dzień o dwunastej w południe u komendanta placu, który zatrzymywał go często na fajkę i pogawędkę. Trudno sobie wyrobić właściwe pojęcie o tym, jak wyglądała pogawędka z panem Mikołajem Bobrowskim. Jego milczenie musiało kryć wiele tłumionej wściekłości, gdyż komendant udzielał mu nowin z teatru wojny, nowin bardzo złych dla Polaków, co było do przewidzenia. Pan Mikołaj przyjmował je z pozorną flegmą, mimo to jednak Rosjanin okazywał gorące współczucie swemu więźniowi.

— Jestem sam żołnierzem i rozumiem doskonale, co pan czuje. Pan chciałby oczywiście być w ogniu walki. Lubię pana, słowo honoru! Gdyby nie wojskowa przysięga, puściłbym pana na własną odpowiedzialność. I cóż to dla nas za różnica, o jednego Polaka mniej czy więcej?

Innym znów razem pytał z prostotą:

— Niechże pan mi powie, Mikołaju Stefanowiczu (mojemu pradziadkowi było Stefan na imię i komendant używał tego rosyjskiego uprzejmego zwrotu) — niech mi pan powie, dlaczego wy, Polacy, zawsze szukacie guza? I czegoż innego możecie się spodziewać rzucając się na Rosję? Zdobywał się także na filozoficzne uwagi.

— Niechże pan teraz spojrzy na waszego Napoleona. Człowiek wielki. Nie ma dwóch zdań, że był wielkim człowiekiem, póki dawał w skórę tym Niemcom i Austriakom, i wszystkim tamtym narodom. Ale nie! Musiał poleźć do Rosji szukać guza; i co z tego wynikło? Tak jak mnie pan widzi, ta moja szabla obijała się o paryskie bruki.

Wróciwszy do Polski pan Mikołaj — jeśli udało się go namówić, aby opowiadał o swym wygnaniu — opisywał owego oficera jako „zacności człowieka, ale durnia”. Odrzucił propozycję wstąpienia do armii rosyjskiej i został zwolniony, przy czym wyznaczono mu tylko połowę emerytury należnej jego randze. Jego bratanek (a mój wuj i opiekun) opowiadał mi, że pierwszym trwałym wrażeniem, które odniósł mając cztery

lata, było radosne podniecenie w domu jego rodziców w dniu, kiedy pan Mikołaj wrócił z rosyjskiego wygnania.

Każda generacja ma swoje wspomnienia. Pierwsze wspomnienia pana Mikołaja Bobrowskiego kształtowały się zapewne pod wpływem zajęć wywołanych przez ostatni rozbiór Polski, a żył dość długo, aby przecierpieć ostatnie zbrojne powstanie 1863 roku — wydarzenie, które wywarło wpływ na całą moją generację i zabarwiło najwcześniejsze moje wrażenia. Pan Mikołaj, z natury odludek, pełen nieśmiałości wobec najprostszycy życiowych zagadnień, przez jakieś lat siedemnaście znajdował przytułek u swego brata, który zmarł po roku 1850. Wówczas pan Mikołaj musiał się zdobyć na odwagę i zadecydować o swej przyszłości. Wahał się długo i dręczył, wreszcie namówiono go, aby wziął w dzierżawę około tysiąca pięciuset akrów, wydzielonych z dóbr przyjaciela mieszkającego w sąsiedztwie. Warunki dzierżawy były bardzo korzystne, ale sądzę, że najbardziej pociągało mego dziada odludne położenie wsi i skromny, lecz wygodny i dobrze zachowany dwór. Mieszkał tam spokojnie około dziesięciu lat, widując bardzo mało osób i nie biorąc żadnego udziału w publicznym życiu prowincji, takim, jakie się mogło rozwijać pod arbitralną, biurokratyczną tyranią. Charakter i patriotyzm pana Mikołaja były ponad wszelkim podejrzeniem, lecz organizatorzy powstania omijali skrupulatnie jego dom w swych częstych podróżach po prowincji. Panowało ogólne przekonanie, że spokój ostatnich lat starca nie powinien być naruszony. Nawet człowiek tak mu bliski jak mój dziadek ze strony ojca — towarzysz broni dziadka Mikołaja z czasu moskiewskiej kampanii napoleońskiej, a później kolega w polskim wojsku — nie odwiedzał swego dawnego kompana, gdy wybuch powstania był bliski. Dwaj synowie mego dziadka i jedyna jego córka brali bardzo czynny udział w pracy insurekcyjnej; on sam zaś należał do tego typu polskiego szlachcica, którego ideał pracy patriotycznej streszczał się w słowach: „siąść na koń i precz ich wygonić”. Ale nawet i on był zdania, że „kochanego Mikołaja niepokoić nie trzeba”. Lecz wszystkie te ostrożności i względy ze strony przyjaciół — niezależnie od tego, czy byli spiskowcami, czy nie — nie zabezpieczyły mego dziada przed nieszczęściami złowieszczygo roku.

W niecałe dwie doby po wybuchu buntu w tej części kraju, wywiadowczy szwadron kozaków przejechał przez wieś i wtargnął do dworu. Prawie cały oddział pozostał w szyku między dworem a stajniami, tylko kilku kozaków zsiadło z koni, przeszukując różne zabudowania. Dowódca szwadronu podszedł w towarzystwie dwóch ludzi do frontowych drzwi dworu. Wszystkie okiennice z tej strony były zamknięte. Oficer rzekł służącemu, który go przyjął, iż chce się widzieć z panem. Odpowiedź

brzmiała, że pana nie ma w domu, co było prawdą.

Opowiadam dalej według relacji służącego, którą zdawał później przyjaciółom i krewnym pana Mikołaja, a którą mi powtórzono.

Usłyszawszy to kozacki oficer, stojący w przedsionku, wszedł do domu. — A gdzie pan pojechał?

— Nasz pan pojechał przedwczoraj do Żytomierza (gubernialne miasto oddalone mniej więcej o trzydzieści mil).

— Tylko dwa konie są w stajniach. Gdzie reszta?

— Nasz pan podróżuje zawsze własnymi końmi (co miało znaczyć, że nie jeździ pocztowymi). Nie będzie go w domu z tydzień lub więcej. Powiedział mi, że ma do załatwienia jakieś sprawy w sądzie.

Podczas gdy służący to mówił, oficer rozglądał się po sieni. Naprzeciw niego były drzwi, a także po prawej i lewej ręce. Oficer zdecydował się wejść do pokoju po lewej stronie i rozkazał otworzyć okiennice. Był to gabinet pana Mikołaja, z paru wysokimi szafami bibliotecznymi, obrazami na ścianach i tak dalej.

Oprócz wielkiego stołu pośrodku, pełnego książek i papierów, było tam małe biurczko o kilku szufladach, stojące między drzwiami a oknem w oświetleniu dogodnym dla pracy; przy tym biurku właśnie mój dziadek siadywał, czytając lub pisząc. Służący otworzył okiennice i zdumiał się, ujrawszy, że cała męska ludność wsi stłoczyła się przed domem, depcząc klomby. Było tam i kilka kobiet. Ucieszył się na widok miejscowego popa (proboszcza greckiego obrządku), który szedł aleją. Pocziwiec tak się śpieszył, iż zakasał sutannę powyżej butów.

Oficer przyglądał się grzbietom książek w szafach bibliecznych: Potem przysiadł na brzegu środkowego stołu i zauważył lekkim tonem:

— A więc twój pan nie zabrał ciebie do miasta. — Jestem tu kamerdynerem; nasz pan zostawia zawsze dom na mojej opiece. Z naszym panem pojechał młody, silny mężczyzna. Gdyby, co nie daj Boże, zdarzył się po drodze jaki wypadek, ten chłop przydałby się daleko bardziej ode mnie.

Spojrząwszy przez okno zobaczył, że proboszcz rozprawia o czymś gwałtownie w samym środku tłumu, który jak gdyby się poddawał jego wpływowi. Jednak trzech czy czterech ludzi rozmawiało u drzwi z kozakami.

— A czy przypadkiem twój pan nie pojechał do buntowników, co? — spytał oficer.

— Nasz pan jest na to o wiele za stary. Ma już dobrze po siedemdziesiątkę, a przy

tym coraz bardziej traci siły. Od kilku lat już nie siedział na koniu, chodzić dużo także nie może.

Oficer siedział wciąż, kiwając nogą, bardzo spokojny i obojętny. Tymczasem chłopom, którzy rozmawiali z kozakami u drzwi wejściowych, pozwolono wejść do sieni. Jeszcze paru innych ludzi oddzieliło się od tłumu i weszło za nimi. Było ich wszystkich siedmiu, a między nimi kowal, dawny żołnierz. Służący zwrócił się z szacunkiem do oficera:

— Może wasza miłość zechce powiedzieć ludziom, żeby wrócili do swoich domów. Co im przychodzi do głowy, że się tak pchają do dworu? Do czego to podobne, żeby się tak zachowywać podczas nieobecności naszego pana? Ja tu przecież odpowiadam za wszystko.

Oficer zaśmiał się tylko z lekka i zapytał po chwili:

— Czy macie tu broń we dworze?

— Tak. Mamy. Kilka sztuk starej broni.

— Przynieś to wszystko i połóż tu na stole.

Służący usiłował znów się odwołać do opieki oficera.

— Może wasza miłość powie tym ludziom...

Lecz oficer popatrzył na niego bez słowa w taki sposób, że służący zamilkł od razu i pobiegł po chłopca kredensowego, aby mu pomógł zebrać broń. Tymczasem oficer przechadzał się z wolna po pokojach i przyglądał się bacznie wszystkiemu, niczego jednak nie dotykając. Gdy przechodził przez sień, stojący tam chłopcy cofnęli się przed nim i zdjęli czapki. Nie odezwał się do nich ani słowem. Kiedy wrócił do gabinetu, wszystka broń znajdująca się w domu leżała na stole. Była tam para wielkich pistoletów olstrowych z czasów Napoleona, dwie szable kawaleryjskie, jedna typu francuskiego, a druga polskiego, wreszcie parę strzelb myśliwskich.

Oficer otworzył okno, wyrzucił po kolei pistolety, szable i strzelby, a szeregowcy przybiegli je podnieść. Chłopi w sieni zachęteni zachowaniem oficera, wkradli się za nim do gabinetu. Nie okazał najlżejszym znakiem, że zdaje sobie sprawę z ich obecności, i uważał widać, że jego misja jest skończona, bo wyszedł z dworu wielkimi krokami, nie mówiąc ani słowa. Natychmiast po jego odejściu chłopcy w gabinecie włożyli czapki i zaczęli się jeden do drugiego uśmiechać.

Kozacy odjechali i z folwarcznego podwórza ruszyli prosto w pole. Proboszcz wciąż coś chłopom przekładał, oddalając się z wolna aleją, a jego pełna zapалу wymowa odciągała milczący tłum coraz dalej od domu. Należy oddać sprawiedliwość

proboszczom greckiego kościoła, że będąc zupełnie obcymi w tym kraju (sprowadzano ich zawsze z głębi Rosji), po większej części używali wpływu, jaki mieli na swoich parafian, dla sprawy pokoju i humanitaryzmu. Wierni duchowi swego powołania, usiłowali łagodzić namiętności podburzonego chłopstwa, przeciwstawiając się ze wszystkich sił — w miarę możności — rabunkom' i gwałtom. A postępowali tak wbrew wyraźnym życzeniom władz. Na niektórych zemściło się później to nieposłuszeństwo, gdyż przeniesiono ich na daleką północ lub też wysłano do syberyjskich parafii.

Służący pragnął pozbyć się jak najprędzej chłopów, którzy się dostali do dworu. Kto widział — pytał ich — tak się zachowywać w domu człowieka, który jest tylko dzierżawcą i już od lat okazuje mieszkańcom wsi tyle dobroci i względności? Przecież dopiero co zgodził się oddać dwie łąki na użytek wiejskich stad. Służący przypominał także, z jakim poświęceniem pan Mikołaj Bobrowski pielęgnował chorych w czasie cholery. Wszystko to było najprawdziwszą prawdą i poskutkowało o tyle, że ludzie zaczęli się drapać po głowach; wyglądali na niezdecydowanych. Mówca wskazał wówczas ku oknu, wołając:

— Patrzcie! oto cała wasza gromada odchodzi— spokojnie, i wy także, durnie jedne, idźcie lepiej za nimi i pomódlcie się do Boga, żeby wam przebaczył złe myśli.

Wezwanie to nie było szczęśliwym pomysłem. Chłopi zaczęli się tłoczyć niezgrabnie do okna, chcąc się przekonać, czy służący mówi prawdę, i w trakcie tego przewrócili małe biurko. Gdy padało, zadźwięczały w nim monety.

— Oho, tam są w środku pieniądze! — zawołał kowal.

W mig rozbito wierzch delikatnego mebla; w szufladzie leżało osiemdziesiąt półimperiałów. Złote monety były wówczas w Rosji rzadkością; na ich widok chłopci stracili głowę.

— Tu w domu musi być więcej pieniędzy — dobierzemy się do nich! — krzyknął kowal, były żołnierz. — Teraz jest wojna!

Inni byli już u okna, zwołując na pomoc gromadę. Proboszcz, porzucony nagle przy bramie, wznosił ręce ku niebu i odszedł spiesźnie, aby nie widzieć tego, co miało nastąpić.

W poszukiwaniu pieniędzy sielska zgraja potrzaskała wszystko w domu, popruła nożami, porozbijiała siekierą, tak że — jak opowiadał służący — nie zostało się i dwóch kawałków drzewa trzymających się razem. Potłukli kilka pięknych luster, wszystkie okna, a porcelanę i szkło co do sztuki. Książki i papiery wyrzucili na łąkę i podpalili cały stos chyba wyłącznie dla przyjemności. Jedna jedyna rzecz pozostała nietknięta: mały

krucyfiks z kości słoniowej, który wisiał na ścianie w zdemolowanym pokoju nad bezładnym stosem strzępów, potrzaskanego mahoni i desek rozbitych na drzazgi; stos ten był przedtem łóżkiem pana Mikołaja Bobrowskiego. Dostrzegłszy, że służący wymyka się z metalową lakierowaną kasetką, chłopci wyrwali mu ją, a ponieważ stawiał opór, wyrzucili go przez okno jadalni. Dom był parterowy, lecz wzniesiony wysoko nad ziemią, i służący tak się potłukł padając, że leżał ogłuszony na miejscu, aż wreszcie kucharz i chłopiec stajenny odważyli się wyjść o zmierzchu ze swych kryjówek i podnieśli go. Gromada opuściła już była wówczas dwór, zabierając z sobą kasetkę w przekonaniu, że pełno w niej papierowych pieniędzy. Rozbili ją dość daleko od domu, na środku pola. Znaleźli dokumenty wypisane na pergaminie oraz dwa krzyże: Legię Honorową i Virtuti Militari. Na widok tych przedmiotów, które, jak wyjaśnił kowal, były honorowymi odznakami udzielanymi tylko przez cara, ogarnął chłopów paniczny strach przed tym, co uczynili. Rzucili wszystko razem do rowu i rozpierzchli się szybko.

Gdy pan Mikołaj dowiedział się o tej stracie, zdrowie jego zepsuło się doszczętnie. Zdawało się, że samo złupienie domu nie bardzo go obchodzi. Gdy leżał jeszcze w łóżku po wstrząsie, jakiego doznał, znaleziono oba krzyże i zwrócono mu je. Przyśpieszyło to trochę jego powolny powrót do zdrowia; natomiast metalowe pudełko i pergaminy nie znalazły się nigdy, choć szukano ich po wszystkich rowach wokół. Pan Mikołaj nie mógł przeboleć utraty patentu Legii Honorowej; umiał na pamięć co do słowa wstęp sławiący jego wojenne czyny i po tym ciężkim ciosie zgadzał się niekiedy recytować ów wstęp, przy czym lzy stawały mu w oczach. Widać słowa dokumentu nie schodziły mu z myśli podczas ostatnich dwóch lat życia, do tego stopnia, że nieraz sam je sobie powtarzał. Potwierdza to spostrzeżenie starego sługi, który dzielił się nim często z bliższymi znajomymi swego pana: „Aż mnie serce boli, kiedy słyszę, jak nasz pan chodzi nocą po pokoju tam i z powrotem i modli się głośno po francusku.”

Chyba w przeszło rok po tym zajściu zobaczyłem pana Mikołaja Bobrowskiego, a właściwie mówiąc, on mnie zobaczył po raz ostatni. Było to — jak już wspomniałem — w czasie, gdy moja matka dostawszy trzymiesięczny urlop z wygnania spędzała go w domu brata; przyjaciele i krewni zjeżdżali się z daleka i z bliska, aby jej złożyć uszanowanie. Trudno byłoby zrozumieć, gdyby pan Mikołaj Bobrowski do nich nie należał. Malutka, kilkumiesięczna dziewczynka, którą wziął na ręce w dzień swego powrotu do domu po latach wojny i wygnania, stwierdzała teraz swą wiarę w wybawienie narodu, cierpiąc z kolei wygnanie. Nie wiem, czy pan Mikołaj był obecny przy naszym wyjeździe. Wspomniałem już, że dla mnie jest przede wszystkim

człowiekiem, który w młodości jadł pieczeń z psa w głębi ponurego sosnowego boru o gałęziach pokrytych śniegiem. Nie mogę go sobie przypomnieć w żadnej ze scen, które pamiętam. Orli nos, gładkie białe włosy, przelotna, nieuchwytna wizja chudej, cienkiej, sztywnej postaci w ubraniu zapiętym po wojskowemu aż po szyję — oto wszystko, co pozostało na ziemi z pana Mikołaja Bobrowskiego; tylko nikły cień ścigany pamięcią jego wnuka — chyba ostatniego z żyjących ludzkich stworzeń, które spotkał w ciągu swego milczącego żywota.

Lecz przypominam sobie dobrze dzień naszego powrotu na wygnanie. Wydłużona, dziwaczna, odrapana karetka pocztowa z czwórką koni, stojąca przed długim frontem dworu o ośmiu kolumnach, rozmieszczonych po cztery z dwóch stron szerokich schodów. Na stopniach gromadki służących, kilkoro krewnych, paru przyjaciół z najbliższego sąsiedztwa; głucha cisza, na wszystkich twarzach wyraz poważnego skupienia; babka, cała w czerni, z wyrazem stoicyzmu w oczach, wuj prowadzący moją matkę pod rękę do karetki, gdzie mnie już umieszczono; u szczytu schodów moja kuzyneczka w kraciastej szkockiej sukience, w której przeważał kolor czerwony, otoczona jak mała księżniczka przez opiekujące się nią kobiety: główną *gouvernante*, naszą kochaną, grubą Franczeskę (która była przez trzydzieści lat w rodzinie Bobrowskich); dawną niańkę, a wówczas przychodnią służącą, chłopkę o pięknej twarzy pełnej współczucia; zacną, brzydką nauczycielkę, Mile Durand, o czarnych brwiach, stykających się nad krótkim, grubym nosem i cerze podobnej do jasnobrunatnego papieru. Ze wszystkich oczu zwróconych ku pojazdowi tylko jej dobroduszne oczy ronily łzy i tylko jej szlochający głos przerwał milczenie zwróconą do mnie prośbą: „*N’oublie pas ton français, mon cheri!*”⁸ W ciągu trzech ‘miesięcy, po (prostu bawiąc się z nami, nauczyła mnie nie tylko mówić po francusku, ale i czytać. Świetny był z niej towarzysz zabaw. W oddali, na połowie drogi ku wielkiej bramie, lekki, otwarty powozik, zaprzężony z rosyjska w trzy konie, stał tuż przy trawniku; siedział w nim okręgowy szef policji w płaskiej czapce z czerwonym lampasem i daszkiem nasuniętym na oczy.

Dziwnym się wydaje, że się tam znalazł, aby pilnować tak skrupulatnie naszego wyjazdu. Nie chcę lekceważyć słusznych obaw imperialistów całego świata, lecz pozwolę sobie na uwagę, że kobieta skazana na śmierć przez lekarzy i chłopczyk niespełna sześćioletni nie mogli być uznani za niebezpiecznych dla największego z mocarstw, choćby święta odpowiedzialność ciążyła na tym mocarstwie. I zdaje mi się, że ów zacny

⁸ Nie zapomnij francuskiego, kochanie, (fr.)

człowiek podzielał to zdanie.

Dowiedziałem się później, dlaczego się tam znajdował. Sam tego wcale nie pamiętam, ale podobno mniej więcej miesiąc wcześniej matka moja czuła się tak źle, iż nie można było wiedzieć, czy wydobrzeje na tyle, aby w oznaczonym czasie wyruszyć z powrotem. W tej niepewności podano prośbę do generał-gubernatora w Moskwie, aby pozwolił przedłużyć o dwa tygodnie jej pobyt w domu brata. Nie było na to żadnej odpowiedzi, lecz pewnego dnia o zmierzchu podjechał do dworu okręgowy szef policji i powiedział służącemu, który wybiegł na jego spotkanie, że chce porozmawiać z panem natychmiast w cztery oczy. Służący, bardzo tym przejęty (myślał, że wyniknie stąd aresztowanie), „ledwie żywy ze strachu”, jak potem sam opowiadał, przeprowadził szefa policji ukradkiem przez wielki salon, gdzie było ciemno (nie co dzień zapalano tam światło), przy czym obaj szli na palcach, aby nie przyciągnąć uwagi pań — i powiódł go przez oranżerię do apartamentów wuja.

Bez żadnych wstępów policmajster wcisnął wujowi jakiś papier do ręki.

— Proszę. Niech pan to przeczyta. Nie powinienem panu pokazywać tego papieru. To źle z mojej strony. Ale nie mogę ani jeść, ani spać z taką sprawą na karku.

Naczelnik policji, rodem z głębi Rosji, służył już od lat w tym okręgu.

Mój wuj rozłożył i przeczytał dokument. Był to służbowy rozkaz z kancelarii generał-gubernatora, dotyczący podanej prośby i nakazujący szefowi policji, aby nie zważał na żadne perswazje i wyjaśnienia w kwestii choroby mej matki, czy to ze strony doktorów, czy kogokolwiek innego, „a gdyby nie opuściła domu brata — brzmiał dalej dokument — rano tego samego dnia, który jest wyszczególniony w odnośnym pozwoleniu, ma pan ją wysłać natychmiast pod eskortą prosto (podkreślone) do szpitala więziennego w Kijowie, gdzie będą ją leczyć stosownie do jej choroby”.

— Na miłość Boską, panie Bobrowski, niech pan dopilnuje, aby pańska siostra punktualnie tego dnia odjechała. Niechże pan mnie nie naraża na takie postępowanie wobec kobiety, która w dodatku należy do pańskiej rodziny. Po prostu nie mogę znieść tej myśli.

Załamał dosłownie ręce. Mój wuj spojrział na niego milcząc.

— Dziękuję panu za ostrzeżenie. Zapewniam pana, że nawet jeśli moja siostra będzie umierająca, wyniesiemy ją do powozu.

— Tak, bo naprawdę cóż to za różnica jechać do Kijowa czy do męża z powrotem? Gdyż musiałaby wyjechać, żywa czy martwa. I niech pan sobie zapamięta, panie Bobrowski, że oznaczonego dnia muszę tu być na miejscu, nie dlatego, abym

wątpił o pana obietnicy, ale dlatego, że muszę. Nie mogę tego nie zrobić. Obowiązek. Swoją drogą, mój zawód to teraz po prostu psia służba, od czasu jak niektórzy z was Polaków upierają się przy buncie, a wszyscy za to cierpieć musicie.

Oto przyczyna, dla której siedział tam naczelnik policji w otwartym powozie stojącym między domem a wielką bramą. Żałuję, że nie potrafię wymienić jego nazwiska, które wywołałoby pogardę wszystkich tych, co wierzą w święte prawa zdobywców — nazwiska tego stróża carskiej potęgi, godnego nagany za swą uczuciowość. Natomiast mogę podać nazwisko generał—gubernatora, który podpisał rozkaz i dodał na marginesie własnoręczną notatkę: „Wypełnić wszystko co do joty.” Ten pan nazywał się Bezak. Wysoki dygnitarz, energiczny urzędnik, był przez jakiś czas bóstwem rosyjskiej prasy patriotycznej. Każda generacja ma swoje wspomnienia.

IV

Nie należy przypuszczać, iż zapomniałem o *Szaleństwie Almayera* opisując wspomnienia, które ogarnęły mnie przez te pół godziny między wyjściem mego wuja, a spotkaniem się z nim przy obiedzie. Zwierzyłem się już, że moja pierwsza powieść została poczęta w lenistwie — podczas urlopu — i, jak sądzę, dałem do zrozumienia, iż wciąż odkładałem jej pisanie. Lecz nigdy nie schodziła mi z myśli, nawet gdy nadzieja ukończenia jej była bardzo nikła. Wiele rzeczy stawało mi na przeszkodzie: codzienne obowiązki, nowe wrażenia, stare wspominki. Ta powieść nie była wynikiem potrzeby — sławetnej potrzeby wypowiedzenia się, którą artyści odkrywają w sobie, szukając motywów swej twórczości. Potrzeba, która mną powodowała, była ukryta i niejasna, była objawem utajonym i niezrozumiałym. A może jakiś beczynny, płochy czarodziej (w Londynie z pewnością są czarodzieje) rzucił na mnie urok przez okno swego gabinetu, gdy zwiedzałem labirynt ulic na wschód i zachód od mego domu, podczas samotnych przechadzek bez mapy ani kompasu. Nim się wziąłem do tej powieści, nie pisałem, nic prócz listów, a i tych niewiele. Nigdy w życiu nie notowałem żadnych wypadków, wrażeń czy anegdot. Pomysł uplanowanej książki był mi najzupełniej obcy, gdy zasiadłem do pisania; ambitne marzenie, aby się stać autorem, nie pojawiło się nigdy wśród urojonych, pełnych wdzięku istnień, w które chętnie się wcielamy wśród ciszy i bezruchu marzeń, a jednak jest jasne jak słońce, że z chwilą gdy napisałem pierwszą stronę *Szaleństwa Almayera* (zawierała około dwustu słów i ten stosunek słów do stronicy pozostał niezmienny przez piętnaście lat mego literackiego życia), z chwilą gdy w prostocie ducha napisałem tę stronę ze zdumiewającym brakiem jakichkolwiek przeczuc, kości były rzucone. Nikt nie przekroczył Rubikonu z większą nieświadomością, bez wzywania bogów, bez lęku przed ludźmi.

Tego ranka wstałem od śniadania, odsunąwszy krzesło, i zadzwoniłem gwałtownie, a może powinienem rzec: stanowczo, a może powinienem rzec: z zapalem — nie umiem powiedzieć. Ale był to najwyraźniej szczególny dzwonek, pospolity dźwięk, w którym czuło się coś niezwykłego, jak dzwonek na podniesienie kurtyny przed rozpoczęciem nowego aktu. Nie dzwoniłem prawie nigdy. Siadywałem długo przy śniadaniu i rzadko kiedy chciało mi się zadzwonić, aby sprzątnięto ze stołu; ale owego ranka wstałem od razu dla jakiejś przyczyny, którą kryje zasadnicza tajemniczość tego wydarzenia. A jednak nie śpieszyłem się wcale. Pociągnąłem niedbale za sznurek i

podczas gdy słaby dźwięk dzwonka rozlegał się gdzieś głęboko w suterenie, zacząłem jak zwykle napychać fajkę, po czym rozejrzałem się za zapalkami wzrokiem wprawdzie roztargnionym, lecz nie zdradzającym (gotów jestem na to przysiąc) żadnych oznak szaleństwa. Byłem tak dalece spokojny, że spostrzegłem po dłuższym czasie pudełko z zapalkami na gzymsie kominka, tuż pod moim nosem. Wszystko to odbywało się zupełnie jak co dzień. Nim zdołałem rzucić zapalkę, córka mej gospodyni, dziewczyna o spokojnej, bladej twarzy, pojawiła się we drzwiach i spojrzała na mnie pytająco. Od niejakiego czasu na dzwonki moje ukazywała się zawsze córka gospodyni. Wspominam z dumą o tym drobnym fakcie, ponieważ dowodzi to, że w ciągu trzydziestu czy czterdziestu dni mego pobytu w pensjonacie wywarłem korzystne wrażenie. Od dwóch tygodni z górą oszczędzano mi nieprzyjemnego widoku domowej niewolnicy. Pokojówki na Bessborough Gardens zmieniały się często, ale — wysokie czy niskie, blondynki czy brunetki — były zawsze nieporządnie ubrane i dziwnie rozczochrane, jakby (trawestując czarodziejską bajkę) kotka z popielnika przeobraziła się w służącą. Chwaliłem sobie bardzo ten przywilej korzystania z usług córki mej gospodyni. Była schludna, lecz anemiczna.

— Może pani sprzątnąć to zaraz ze stołu? — zapytałem przerywanym głosem, gdyż jednocześnie usiłowałem rozpalić fajkę. Przyznaję, że żądanie moje było niezwykle. Wstając od śniadania, siadywałem zazwyczaj z książką u okna i wszystko mi było jedno, kiedy się sprzątnie ze stołu. Ale czytelnik jest w błędzie, jeśli przypuszcza, że się niecierpliwiłem. Pamiętam, iż byłem zupełnie spokojny. W gruncie rzeczy nie wiedziałem, że chcę pisać lub zamierzam pisać, lub że w ogóle mam coś do napisania. Nie, nie byłem niecierpliwy. Wałęsałem się między kominkiem a oknem, nie zdając sobie nawet sprawy, iż czekam na sprzątnięcie ze stołu. Było więcej niż prawdopodobne, że zanim córka gospodyni skończy sprzątać, wezmę książkę i zasiądę do czytania na cały ranek w nastroju miłego rozleniwienia. Twierdzą to z całą stanowczością, choć zapomniałem, jakie książki leżały wtedy na stole. W każdym razie nie były to dzieła wielkich mistrzów, w których można znaleźć tajemnicę jasnej myśli i dokładnego wysłowienia się.

Już od szóstego roku życia byłem zapalonym miłośnikiem książek, co nie jest może dziwne u dziecka, które nauczyło się czytać nie wiedząc kiedy. Jako dziesięcioletni chłopczyk znałem wiele książek Wiktora Hugo i innych romantyków. Czytałem po polsku i po francusku dzieła historyczne, podróże, powieści; znałem Gil Błasa i Don Kiszota w skróconych wydaniach; będąc małym chłopcem czytałem polskich i

francuskich poetów — ale nie umiem powiedzieć, co czytałem w wilię owego dnia, gdy sam pisać zacząłem. Zdaje mi się, że powieść, może jedną z powieści Antoniego Trollope'a. To bardzo prawdopodobne. Moja znajomość z tym autorem była wówczas świeża. Jest to jeden z angielskich powieściopisarzy, których czytałem pierwszy raz po angielsku. Z pisarzami o europejskiej sławie, z Dickensem, z Walter Scottem, z Thackerayem było inaczej. W świat angielskiej literatury pięknej wprowadził mnie po raz pierwszy Nicholas Nickleby. To nadzwyczajne, jak świetnie pani Nickleby umiała pleść trzy po trzy po polsku, jak ponury Raif umiał szaleć z wściekłości w polskim języku. Co się tyczy rodziny Crummlesów i rodziny uczonego Squeersa, wyrażali się tak swobodnie, jakby język polski był ich ojczystą mową. Musiało to być świetne tłumaczenie. Czytałem je prawdopodobnie około 1870 roku. Ale chyba jednak się mylę. Nie ta książka wprowadziła mnie po raz pierwszy do angielskiej literatury. Pierwszą moją znajomością z tego zakresu byli Dwaj panowie z Werony, i to w rękopiśmiennym przekładzie mego ojca. Działo się to w czasie naszego wygnania w Rosji, prawdopodobnie w niespełna rok po śmierci mej matki, bo pamiętam, że byłem w ciężkiej żałobie — miałem czarną bluzę z białymi wypustkami. Zamieszkiwaliśmy we dwóch mały domek na krańcach Czernihowa — w zupełnym 'odosobnieniu. Owego popołudnia, zamiast pójść się bawić na wielkim podwórzu (korzystaliśmy z niego wspólnie z naszym gospodarzem), pozostałem w pokoju, gdzie mój ojciec zwykle pisywał. Nie mam pojęcia, co ośmieliło mnie do wdrapania się na jego krzesło, dość że w parę godzin później zastał mnie tam klęczącego z łokciami na stole i głową wspartą na rękach nad rękopisem złożonym z luźnych kartek. Bardzo byłem zmieszany i spodziewałem się bury. Ojciec stał w drzwiach i patrzył na mnie zdziwiony, ale po chwili milczenia rzekł tylko:

— Przeczytaj głośno tę stronę.

Kartka leżąca przede mną nie była na szczęście pokreślona i pełna poprawek, a przy tym pismo ojca było niezmiernie czytelne. Kiedy dobrnąłem do końca, ojciec skinął głową, a ja się wymknąłem, szczęśliwy, że mnie ominęły wymówki za ten poryw zuchwalstwa. Staralem się później odgadnąć przyczynę ojcowskiej łagodności; wyobrażam sobie, że — wcale o tym nie wiedząc — zasłużyłem w oczach ojca na prawo do poufalszych stosunków z jego biurkiem. Miesiąc, a może tylko tydzień przedtem, gdy ojciec mój leżał w łóżku nie bardzo dobrze się czując, przeczytałem mu głośno od początku do końca — ku zupełnemu jego zadowoleniu — korektę przekładu Pracowników morza Wiktora Hugo. Sądzę, że stąd pochodziła pobłażliwość mego ojca.

Wówczas to zetknąłem się po raz pierwszy z morzem w literaturze. Nie pamiętam wcale, kiedy, jak i gdzie nauczyłem się czytać, lecz nie zapomnę chyba nigdy ćwiczeń w sztuce głośnego czytania. Mój biedny ojciec, który czytał sam bardzo pięknie, był nauczycielem niezmiernie wymagającym. Wspominam z dumą, że mając lat osiem musiałem dość dobrze przeczytać tę stronę Dwóch panów z Werony. Następnym razem spotkałem się z nimi w jednotomowym wydaniu dzieł dramatycznych Williama Szekspira za pięć szylingów: czytałem je w Falmouth w wolnych chwilach, przy hałaśliwym akompaniamencie robotników, wbijających młotkami pakuły do szwów okrętowego kadłuba w suchym doku. Weszliśmy wówczas do portu, o mało co nie utonawszy, z załogą odmawiającą posłuszeństwa po miesiącu ciężkich zmagania z burzami północnego Atlantyku. Książki są istotną częścią życia; moje szekspirowskie wspomnienia łączą się z pierwszym rokiem naszego sieroctwa — ostatnim, który spędziłem z ojcem na wygnaniu (odesłał mnie do Polski, do mego wuja, z chwilą gdy potrafił zdobyć się na rozstanie) i z rokiem ciężkich burz, w którym byłem najbliżej śmierci na morzu, najpierw przez wodę, a potem przez ogień.

Pamiętam te wszystkie rzeczy, ale nie pamiętam, co czytałem w wilię dnia, kiedy się zaczęło moje literackie życie. Może jedną z politycznych powieści Trollope'a — tak mi się coś zdaje. I przypominam sobie także, jakiego to rodzaju był dzień — jesienny, o powietrzu mieniącym się jak opał, zasnuty na wpół przejrzystą mgłą, a jednak pełen jasności, z ognistymi plamami i błyskami czerwonego światła na dachach i oknach przeciwległych domów; bezlistne drzewa skweru wyglądały jak rysunki tuszem na arkuszu bibułki. Był to jeden z tych londyńskich dni, które mają tajemniczy jakiś powab, słodycz pełną czar. Gra opalowych mgieł powtarzała się często na Bessborough Gardens z powodu bliskości rzeki.

Nie wiem, dlaczego upamiętniła mi się tak wyraźnie właśnie owego dnia — chyba z tego powodu, że stałem długi czas, patrząc przez okno, choć córka gospodyni już uniosła swój łup złożony z filizanek i talerzyków. Słyszałem, jak postawiła tacę na ziemi w korytarzu i zamknęła nareszcie drzwi, a jednak stałem wciąż tyłem do pokoju i paliłem. Jasne jak słońce, że nie śpieszyło mi się dać nurka w pisarski żywot, jeśli można określić tę pierwszą próbę jako danie nurka. Całym jestestwem byłem pogrążony w rozleniwieniu właściwym marynarzowi oddalonemu od morza, tej widowni nie kończącej się nigdy pracy i bezustannego obowiązku. Nic nie dorównuje owemu rozleniwieniu, kiedy marynarz podda mu się całkowicie, rozkoszując się poczuciem zupełnej nieodpowiedzialności. Pewno nie myślałem wówczas o niczym, ale jest to tylko

wrażenie, w które trudno mi dziś uwierzyć z tej odległości czasu. Lecz jestem przekonany, że ani mi się śniło pisanie powieści, choć możliwe jest i prawdopodobne, iż myślałem o człowieku nazwiskiem Almayer.

Zobaczyłem go po raz pierwszy mniej więcej cztery lata przedtem z mostka parowca, przycumowanego do koślawego małego pomostu na borneańskiej rzece, w odległości około czterdziestu mil od jej ujścia. Działo się to bardzo wczesnym rankiem; lekka mgła opalizowała jak na Bessborough Gardens, ale bez ognistych błysków londyńskiego słońca, przeglądającego się w dachach i rurach od kominów; zanosilo się na to, że mgła się przemieni niebawem w welniste opary. Prócz małego czółenka na rzece jak okiem sięgnąć nie było nic widać. Wyszedłem dopiero co, ziewając, ze swej kajuty. Serang, wraz z malajską załogą, oglądał uważnie łańcuchy do ładowania i próbował wind; głosy majtków dochodziły stłumione z dołu, z pokładu, ruchy ich były powolne. Ten tropikalny świt przejmował chłodem. Podoficer, Malaj, który wszedł na mostek, aby wyjąć coś ze skrzyni, drżał wyraźnie. Lasy w górę i w dół rzeki, a także i na przeciwległym brzegu, wyglądały czarno i mokro; wilgoć kapiała z osprzętu na mocno naciągnięty płócienny dach; ziewnałem, otrząsając się z zimna, i właśnie w środku, tego ziewnięcia spostrzegłem Almayera. Szedł przez wypaloną trawę, mglista postać na tle mglistej bryły domu o wysokim dachu z trawy, niskiego domu z mat, bambusów i liści palmowych.

Wszedł na pomost. Miał na sobie tylko szerokie spodnie z kretonu (w ogromne żółte kwiaty na przykrym, błękitnym tle) i cienką bawelnianą koszulę z krótkimi rękawami. Ręce, gołe do łokcia, skrzyżował na piersiach. Czarna czupryna wyglądała, jakby jej nie strzygł od dawna; jedno wijące się pasmo spadało na czoło. Słyszałem o nim w Singapurze; słyszałem o nim wczesnym rankiem i późno w nocy; słyszałem o nim przy śniadaniu i obiedzie; słyszałem o nim w miejscowości zwanej Pulo Laut od pewnego Metysa, który podawał się za dyrektora kopalni węgla; słowa jego brzmiały bardzo kulturalnie i postępowo, póki mi nie oświadczył, że trzeba było zaprzestać prac w owej kopalni, ponieważ jest nawiedzana przez szczególnie okrutne duchy. Słyszałem o Almayerze w miejscowości zwanej Dongola, na wyspie Celebes, gdzie radza tego mało znanego portu (nie można tam zapuścić kotwicy bliżej niż o piętnaście sążni od brzegu, co jest bardzo niewygodne) zjawił się po przyjacielsku na pokładzie w towarzystwie dwóch tylko dworzan i pił flaszką za flaszką sodową wodę na tylnym lubu świetlnym z mym zacnym przyjacielem i dowódcą, kapitanem Craigiem. A przynajmniej słyszałem nazwisko Almayera wymówione wyraźnie kilka razy w czasie długiej rozmowy

prowadzonej po malajsku. O tak, słyszałem je zupełnie wyraźnie — Almayer, Almayer — kapitan Craig uśmiechał się na to, a tłusty, ciemny radża śmiał się głośno. Zapewniam was, że się nieczęsto spotyka, aby malajski radża śmiał się na cały głos. I słyszałem także nazwisko Almayera wśród naszych pasażerów (przeważnie wędrownych kupców o solidnej reputacji), którzy siedzieli roztasowani po całym pokładzie — każdy obłożony zawiniątkami i skrzynkami — na matach, poduszkach, kołdrach i polanach drzewa, rozmawiając o sprawach archipelagu. Słowo daję, nawet o północy słyszałem kiedyś nazwisko Almayera wymruczane po cichu, gdy wszedł z mostka na rufę, aby spojrzeć na patentowany log wydzwanający swoje ćwierci mili wśród wielkiej ciszy morza. Nie chcę przez to powiedzieć, że nasi pasażerowie mówili przez sen o Almayerze, lecz nie ulega wątpliwości, że co najmniej dwaj, którzy spać nie mogli i usiłowali odstraszyć bezsenność ucinając sobie szeptem gawędkę o tej godzinie duchów — że ci dwaj mówili tak lub owak o Almayerze. Na tym statku niepodobna było doprawdy pozbyć się Almayera na dobre; dla niego był przeznaczony przywiązany na dziobie malutki kucyk, który machał ogonem, zamiatając nim wnętrze kambuza ku wielkiemu stroskaniu naszego kucharza, Chińczyka. Bóg raczy wiedzieć, na co kucyk był mu potrzebny, ponieważ z całą pewnością Almayer jeździć na nim nie mógł; ale to maluje tego człowieka, jego ambicje, dążenia do wspaniałości; sprowadził sobie kuca, gdy tymczasem w całej osadzie, której dzień w dzień groził bezsilną pięścią, była tylko jedna ścieżka dostępna dla konnej jazdy, długa co najwyżej na trzysta metrów i otoczona setkami kwadratowych mil dziewiczego lasu. Ale kto wie? Sprowadzenie tego kuczka z Bali było może częścią jakiegoś głębokiego planu, jakiejś dyplomatycznej kombinacji czy intrygi rokującej najlepsze nadzieje. Z Almayerem nie można było nic wiedzieć. Kierował się w swoim postępowaniu przyczynami głęboko ukrytymi, niewiarogodnymi przypuszczeniami i to sprawiało, że jego logika była nieprzenikniona dla ludzi rozsądnych. O tym wszystkim dowiedziałem się później. Lecz owego ranka, widząc postać w pidżamie, poruszającą się wśród mgły, powiedziałem sobie: „Aha, to on.”

Podszedł bardzo blisko do statku i podniósł znużoną twarz, okrągłą i płaską, z czarnym lokiem spadającym na czoło, o ociężałym, zgryzionym spojrzeniu.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry.

Popatrzył na mnie uważnie; byłem nowym przybyszem, gdyż zastąpiłem właśnie pierwszego oficera, do którego Almayer już się przyzwyczaił; sądzę, że ta nowość — jak w ogóle wszystkie wydarzenia — natchnęła go głęboką nieufnością.

— Nie spodziewałem się was przed wieczorem — zauważył podejrzliwie.

Nie wiem, jakie mógł mieć przyczyny do zmartwienia, ale wyglądał na zmartwionego. Zadałem sobie trud, aby mu wyjaśnić, że ponieważ odszukaliśmy przed samym zmierzchem boję u ujścia rzeki, kapitan Craig mógł przy sprzyjającym prądzie przebyć lawicę i nic nam nie przeszkadzało popłynąć dalej nocą.

— Kapitan Craig zna tę rzekę jak własną kieszeń — oświadczyłem z przekonaniem, usiłując nawiązać rozmowę.

— Lepiej — rzekł Almayer.

Oparłszy się o poręcz mostka, patrzyłem na Almayera, który spoglądał w dół na pomost, pogrążony w markotnych myślach. Poruszył z lekka nogami, obutymi w słomiane chodaki o grubych podeszwach. Ranna mgła bardzo zgęstniała. Wszystko naokoło nas ociekało wodą; żurawie ładunkowe, poręcze, każdziutka lina na statku — jakby cały wszechświat dostał napadu płaczu. Almayer podniósł znów głowę i zapytał ledwie do słyszalnie, tonem człowieka przyzwyczajonego do poniewierki i złego losu:

— Chyba nie macie tam na pokładzie czegoś w rodzaju kucyka?

Odpowiedziałem prawie szeptem, dostosowując swoje informacje do minorowego tonu jego słów, że owszem, mamy coś w rodzaju kucyka, i napomknąłem — możliwie najogólniej — iż wściekle nam przeszkadza i bardzo mi pilno odstawić go na brzeg, nim się zabiorę do oddawania ładunku. Almayer popatrzył na mnie dłuższą chwilę niedowierzająco i melancholijnie, jakby nie było bezpiecznie wierzyć moim słowom. Ten wzruszający brak wiary w pomyślny wynik jakiegokolwiek interesu wzruszył mnie głęboko. Dodałem:

— Zdaje się, że zniósł podróż doskonale. To ładny kucyk.

Ale niepodobna było Almayera pocieszyć; odchrząknął za całą odpowiedź i patrzył znów na swoje nogi. Usiłowałem nawiązać z nim kontakt w inny sposób.

— Czy pan się nie boi — rzekłem — dostać zapalenia płuc albo bronchitu spacerując w jednej koszuli wśród takiej mokrej mgły?

Nie udało mi się go ulagodzić zainteresowaniem dla jego zdrowia.

— Nie ma strachu — zabrzmiała posępna odpowiedź, jakby chciał dać do zrozumienia, że nawet ta droga ucieczki od nielaskawego losu jest dla niego zamknięta. — Ja właśnie przyszedłem... — mruknął po chwili.

— No więc, ponieważ pan przyszedł, odstawię natychmiast na ląd pańskiego kuca i będzie go pan mógł zabrać do domu. On mi tu zawadza. — Almayer wydawał się niepewny. Natarłem na niego znowu: — Po prostu podniosę go windą i postawię tuż

przed panem na pomoście. Stokroć wolę załatwić się z tym przed otwarciem luków. To małe licho jeszcze mi skoczy do ładowni albo zrobi jakiego innego psikusa.

— A jest postronek? — zapytał Almayer.

— Tak, naturalnie że jest postronek. — I nie czekając dłużej, wychyliłem się za poręcz mostka. — Serangu, proszę odstawić na pomost kuca tuana Almayera.

Kucharz zamknął spieszenie drzwi od kambuza i w chwilę potem wielka kotłowanina zaczęła się na pokładzie. Kucyk wierzgał z niesłychaną energią, majtkowie uskakiwali z drogi, serang wydawał liczne rozkazy skrzekliwym głosem. Nagle kucyk skoczył na przedni luk. Jego małe kopytka wytupywały z piekielnym hałasem; wierzgał i stawał dęba. Zwichrzona grzywa na szyi i czole nadawała mu wygląd zdumiewającej dzikości; rozdymał nozdrza, klaki piany plamiły jego drobną, szeroką pierś, oczy mu się iskrzyły. Mierzył niespełna metr wysokości; był dziki, straszny, gniewny, wojowniczy; rżał wyraźnie: ha, ha! Wściekał się i tupał — a szesnastu krzepkich marynarzy stało wokół niego jak zakłopotane niańki naokoło rozpieszczonego, złościącego się dzieciaka. Siekł bez przerwy ogonem, wyginał ładną szyję; był po prostu rozkoszny, był czarująco niegrzeczny. Nie dostrzegano się w nim ani śladu narowistości, dzikiego szczerzenia zębów lub kładzenia uszu po sobie. Przeciwnie: stroszył je z komiczną zadzierzystością. Był na wskroś niemoralny i pełen wdzięku; dałbym mu z rozkoszą chleba, cukru, marchwi. Ale życie jest rzeczą poważną, a poczucie obowiązku jedynym bezpiecznym przewodnikiem. Tedy opancerzyłem się w hart i z wyniosłego stanowiska na mostku rozkazałem ludziom, aby rzucili się razem na kuca.

Stary serang wydał dziwny, nieartykułowany okrzyk i rzucił się pierwszy. Był to doskonały podoficer, znający dobrze swój fach; palił umiarkowanie opium. Reszta ludzi ruszyła jednocześnie z miejsca i przytłoczyła kucyka. Zawisli u jego uszu, grzywy, ogona; leżeli kupą na jego grzbiecie, siedemnastu ludzi. Cieśla okrętowy chwycił hak od łańcucha ładunkowego i wlaź na sam wierzch stosu. Był to także bardzo dzielny podoficer, tylko że się jąkał. Czyście kiedy słyszeli jak poważny, jasnożółty, chudy, smętny Chińczyk jąka się w chińsko—angielskim żargonie? To jest doprawdy bardzo niesamowite. On był osiemnasty z kolei. Kuca wcale nie było widać, ale z chwiania i falowania całego stosu poznawało się, że na dnie jest coś żywego.

Almayer zawołał drżącym głosem, stojąc na pomoście.

— O, mój Boże!

Z miejsca, gdzie stał, nie mógł widzieć, co się dzieje na pokładzie, chyba tylko wierzchołki głów, ale słyszał szamotanie się i potężne, głuche łaskoty, jakbyśmy

demolowali statek. Spojrzałem na Almayera:

— Co pan powiedział?

— Niech pan nie da mu połamać wg! — błagał żałośnie.

— Ależ nic podobnego! Już wszystko w porządku. Obezwładnili go.

Tymczasem przyczepiono łańcuch od ładunku do szerokiej płóciennej pętli, która opasywała kucyka. Majtkowie odskoczyli jednocześnie w różne strony, wpadając jeden na drugiego, a zacny serang rzucił się do windy i odkręcił parę.

— Wolno! — krzyknąłem w wielkim strachu, aby zwierzę nie zostało porwane aż do szczytu żurawia. Na pomoście Almayer zadreptał niespokojnie w swych słomianych chodakach. Zgrzyt windy ustał i wśród naprężonej ciszy kucyk zaczął sunąć nad pokładem.

Jakiż był wiotki. Z chwilą gdy się poczuł w powietrzu, wszystkie jego mięśnie odprężyły się w zadziwiający sposób. Cztery kopytka zetknęły się, potracając jedno o drugie, głowa zwisała bezsilnie, ogon zwieszał się w zupełnym bezruchu. Przypominał mi jota w jotę wzruszające jagniątko, które wisi u naszyjnika orderu Złotego Runa. Nie wyobrażałem sobie, aby jakiegokolwiek zwierzę, żywe czy umarłe, końskiego rodzaju mogło się stać tak wiotkie. Zwichrzona grzywa zwisała jedną masą jak kłęb włosów, zaczepne uszka obwisły, lecz gdy sunął, kołysząc się z wolna, wzdłuż frontu mostka, zauważyłem chytry błysk w jego sennym, na wpół przymkniętym oku. Godny zaufania podoficer kierował czujnie żurawiem z niepokojem w oczach i ustami rozwartymi w szerokim uśmiechu. Czuwałem nad tym wszystkim z wielkim zajęciem.

— Tak! Dosyć.

Żuraw stanął. Majtkowie ustawili się rzędem przy barierze. Lina od płóciennej pętli wisiała przed Almayerem prostopadle i nieruchomo jak sznur dzwonka. Nastal zupełny spokój. Zaproponowałem przyjaźnie, żeby Almayer ujął linę i uważał na to, co robi. Wyciągnął rękę ruchem wyzywająco niedbałym i pełnym wyższości.

— Uwaga! Na dół!

Almayer pociągnął ku sobie linę w sposób dość sprytny, lecz z chwilą gdy kopyta kucyka dotknęły pomostu, poddał się nagle najlekkomyślniejszemu optymizmowi. Natychmiast, bez zastanowienia i prawie nie rzuciwszy okiem, zdjął pętlę z haka; łańcuch ciepnał kuca po zadzie i uderzył o burtę z głośnym, zgrzytliwym chrzęstem. Musiałem widać zmrużyć oczy na chwilę. Coś uszło mojej uwagi, bo zaraz potem zobaczyłem, że Almayer leży na wznak na pomoście. Był sam

Oniemiałem ze zdziwienia, a tymczasem Almayer dźwigał się na nogi powoli i z

trudem. Majtkowie przy poręczy rozdziawili gęby. Mgła płynąca z lekkim powiewem zgęstniała, zakrywając brzeg doszczętnie.

— Jakim sposobem, u licha, pozwolił mu pan uciec? — spytałem ze zgorzaniem.

Almayer popatrzył na bolącą dłoń prawej ręki, ale nie odpowiedział na pytanie.

— Jak pan myśli, gdzie on mógł pobiec? — zawołałem. — Czy w tej mgle są gdzie jakie płoty? A czy może się dostać do lasu? Co teraz począć? Almayer wzruszył ramionami.

— Moi ludzie są tam gdzieś z pewnością. Złapią go prędzej czy później.

— Prędzej czy później! Bardzo pięknie, ale co będzie z moją płócienną pętlą? Poleciał z nią, a ja jej potrzebuję zaraz, natychmiast, żeby wylądować dwie krowy z Celebesu.

Już począwszy od Dongoli mieliśmy na pokładzie razem z kucykiem parę sztuk ładnego, drobnego bydła rasy wyspiarskiej. Przywiązane po przeciwnej stronie na dziobie, zamiatały ogonami drugie drzwi od kambuza. Ale te krowy nie były przeznaczone dla Almayera, tylko dla Abdulli bin Selima, jego wroga. Almayer odnosił się do mych żądań z zupełnym lekceważeniem.

— Na pańskim miejscu starałbym się zbadać, dokąd on uciekł — nalegałem. — Może pan zwoła swych ludzi, czy jak tam? Jeszcze się przewróci i pokaleczy. Przecież może nawet złamać nogę.

Lecz Almayer pogrążył się w abstrakcyjnych rozmyślaniach i zdawało się, że już mu na kucu nie zależy. Zdumiony tą nagłą obojętnością, wysłałem na własną rękę wszystkich swych ludzi w pogoń za kucem, a właściwie za płócienną pętlą, którą miał na sobie. Cała załoga parowca z wyjątkiem palaczy i mechaników przebiegła obok zamyślonego Almayera i znikła mi z oczu. Biała mgła polknęła ich wszystkich i znów zapadła głęboka cisza, która rozciągała się, rzekłbyś, całe mile w górę rzeki. Almayer, wciąż milcząc, zaczął się wspinać na burtę, a ja zszedłem z mostka, aby się z nim spotkać na rufie.

— Czy nie zechciałby pan powiedzieć kapitanowi, że pragnę z nim koniecznie pomówić? — zapytał cichym głosem, błędząc oczami po pokładzie.

— I owszem. Pójdę go poszukać.

Kapitan Craig, wielki i barczysty, stał w swojej kajucie, której drzwi były otwarte na oścież; wrócił przed chwilą z łazienki i cesał dwiema dużymi szczotkami gęste, wilgotne, siwe włosy koloru stali.

— Pan Almayer mówił mi, że chce się koniecznie z panem widzieć, panie

kapitanie.

Mówiąc to uśmiechnąłem się — nie wiem dlaczego; chyba dlatego, że niepodobna było wspomnieć o Almayerze bez czegoś w rodzaju uśmiechu, który niekoniecznie musiał być wesóły. Kapitan Craig zwrócił do mnie głowę i uśmiechnął się dość bezbarwnie.

— Kuc mu uciekł, co?

— Tak, panie kapitanie. Uciekł.

— A gdzie on jest?

— Bóg raczy wiedzieć.

— Ale nie, ja mówię o Almayerze. Niech tu przyjdzie.

Kajuta kapitana wychodziła na pokład pod mostkiem; wystarczyło mi kiwnąć z progu na Almayera, który stał ze spuszczonej oczami na rufie, w tym samym miejscu, gdzie go zostawiłem. Zbliżył się powoli z posępnym wyrazem twarzy, podał kapitanowi rękę i natychmiast zapytał, czy może zamknąć drzwi.

— Opowiem panu ładną historię — tyle usłyszałem. Niezmierna gorycz przebijała z tych słów. Odszedłem naturalnie od drzwi. Na razie nie miałem załogi na statku; tylko cieśla, Chińczyk, z płóciennym workiem zawieszonym na szyi i młotkiem w rękę, wałęsał się po pustym pokładzie; wybijał kliny z luk i rzucał je sumiennie do worka. Nie mając nic do roboty, przyłączyłem się do naszych dwóch mechaników, stojących u drzwi maszynowni. Zbliżała się pora śniadania.

— Rano bo rano przyszedł, co? — oświadczył drugi mechanik i uśmiechnął się obojętnie. Był to wstrzemięźliwy człowiek o dobrym, trawieniu i spokojnym, rozsądnym stosunku do życia nawet na głodno.

— Tak — rzekłem. — Zamknęli się ze starym. Ma do niego jakiś bardzo ważny interes.

— Będzie go zanudzał bez końca — zauważył główny mechanik.

Uśmiechnął się dość kwaśno. Chorował na żołądek i rano głód mu bardzo dokuczał. Drugi mechanik uśmiechnął się od ucha do ucha i dwie prostopadłe fałdy zarysowały się na jego wygolonych policzkach. Ja uśmiechnąłem się także, ale nie mogę powiedzieć, abym się czuł ubawiony. Nie widziałem nic zabawnego w tym człowieku, którego nazwiska nie można było wymienić bez uśmiechu na całym Archipelagu Malajskim. Owego rana jadł z nami śniadanie milcząc i patrząc przeważnie w swą filiżankę. Zawiadomiłem go, że moi ludzie znaleźli kuca, brykającego we mgle tuż obok studni głębokości ośmiu stóp, gdzie Almayer trzymał zwykle swój zapas gumy. Pokrywa

studni była zdjeta, nikogo w pobliżu i cała moja załoga ledwie że nie zleciała na łeb na szyję do tej przeklętej dziury. Jurumudi Itam, najlepszy z naszych podoficerów, biegły w delikatnym szyciu (naprawiał flagi i przyszywał nam guziki do ubrań), został paskudnie kopnięty w ramię. Zdawało się, że zarówno wyrzuty sumienia, jak i uczucie wdzięczności obce są charakterowi Almayera.

Wymamrotał:

— Pan mówi o tamtym piracie?

— Jakim znów piracie? Ten człowiek jest od jedenastu lat na statku — rzekłem z oburzeniem.

— Bo on tak wygląda — mruknął Almayer za całe usprawiedliwienie.

Słońce pochłonęło mgłę. Z miejsca, gdzie siedzieliśmy, pod płóciennym dachem na rufie widać było w oddali kuca, przywiązanego przed domem Almayera do jednego ze słupów werandy. Milczeliśmy przez dłuższy czas. Nagle Almayer, robiąc najwidoczniej aluzję do rozmowy w kajucie kapitana, wykrzyknął niespokojnie:

— Doprawdy, nie mam pojęcia co teraz począć!

Kapitan Craig podniósł tylko brwi patrząc na niego i wstał z krzesła. Rozproszyliśmy się wszyscy do swych obowiązków, lecz Almayer, tak jak był ubrany w spodnie z kretonu i cienką bawełnianą koszulę, pozostał na pokładzie; wałęsał się przy schodni, jakby się nie mógł zdecydować, czy pójść do domu, czy zostać z nami na dobre. Nasi Chińczycy rzucali na niego w przejściu ukośne spojrzenia; młody Ah Sing, nasz starszy steward, najprzystojniejszy i najsympatyczniejszy z Chińczyków, pochwycił mój wzrok i kiwnął głową znacząco ku szerokim plecóm Almayera. Podeszedłem raz do niego w ciągu tego poranka.

— Jakże to, panie Almayer — rzekłem swobodnie — pan jeszcze nie zaczął czytać swoich listów.

Przywieźliśmy mu pocztę i odkąd wstaliśmy od stołu, trzymał w ręku paczkę listów. Spojrzał na nie w chwili, gdy mówiał; wyglądało na to, że otworzy palce i wszystkie listy spadną za burtę. Zdaje się, iż miał pokusę to zrobić. Nie zapomnę nigdy tego człowieka bojącego się swoich listów.

— Dawno pan już wyjechał z Europy? — zapytał.

— Nie bardzo dawno. Niecałe osiem miesięcy — odrzekłem. — Musiałem opuścić statek w Samarangu, bo byłem ranny w plecy i przez kilka tygodni leczyłem się w szpitalu w Singapurze.

Almayer westchnął.

— Handel fatalnie tu idzie.

— Doprawdy!

— Beznadziejnie!... Widzi pan te gęsi?

Ręką, w której trzymał listy, pokazał mi coś, co wyglądało na ruchomą plamę śniegu pełznącą przez odległą część dziedzińca. Znikła za krzakami.

— Jedyne gęsi na wschodnim wybrzeżu — powiadomił mnie niedbale, bez najmniejszej iskierki wiary, nadziei lub dumy. Potem oświadczył z tym samym brakiem ożywienia, że ma zamiar wybrać tłustego ptaka i posłać go nam na statek najpóźniej jutro.

Słyszałem już o tych hojnych gestach. Almayer ofiarowywał gęś, jakby to było coś na kształt orderu, nadawanego tylko wypróbowanym przyjaciółom domu. Wyobrażałem sobie, że ta ceremonia odbywa się z większą pompą. Był to niewątpliwie dar szczególny o licznych i rzadkich zaletach. Z jedyne go stada na całym wschodnim wybrzeżu! Almayer nie wyzyskał ani trochę owej uroczystej chwili. Ten człowiek nie umiał chwycić nasuwających mu się sposobności. Mimo to zacząłem mu wylewnie dziękować.

— Widzi pan — przerwał mi nagle bardzo dziwnym tonem — najgorsze z wszystkiego w tym kraju jest to, że człowiek nie może zrozumieć... — Głos jego przeszedł w powolny szept. — A kiedy się ma bardzo rozległe interesy... bardzo ważne interesy... — kończył po cichu — w górze rzeki...

Spojrzelśmy na siebie. Zdziwiłem się, gdy Almayer drgnął nagle i wykrzywił się w sposób bardzo dziwaczny.

— No, muszę już iść — wybuchnął z pośpiechem. —

Do widzenia.

W chwili gdy wstępował na kładkę, zatrzymał się jednak i wymamrotał, abym wieczorem przyszedł z kapitanem na obiad, które to zaproszenie przyjąłem. Sądzę, że nie miałem innego wyboru.

Lubię tych zacnych ludzi, którzy rozpowiadają o wolnej woli, „przynajmniej w zakresie kwestii praktycznych”. Wolna, tak? W kwestiach praktycznych! Bzdury! Jakim sposobem mogłem odrzucić zaproszenie na obiad do tego człowieka? Nie odmówiłem, bo po prostu odmówić nie mogłem. Ciekawość, naturalna chęć pewnej odmiany w jedzeniu, zwykła uprzejmość, rozmowy o Almayerze i uśmiechy z ostatnich dwudziestu dni — każda okoliczność mego życia w owej chwili i na owym miejscu skłaniała mnie nieodparcie do przyjęcia tego zaproszenia; a przede wszystkim zaważyła tu nieświadomość — nieświadomość, powtarzam, fatalny brak wszelkiego przeczucia,

które by mogło się przeciwstawić tym imperatywom. Odmowa byłaby wyglądała na perwersję i wariactwo. Tylko zgryźliwy dureń mógł odmówić. Lecz gdybym nie był poznał dość dobrze Almayera, prawie na pewno nie wydrukowałbym nigdy ani linijki.

Przyjąłem wówczas to zaproszenie — i po dziś dzień pokutuję za swój rozsądek. Właściciel jedyne go stada gęsi na wschodnim wybrzeżu jest odpowiedzialny za jakieś czternaście tomów, jak dotąd. Ilość gęsi, które powołał do życia wśród nie sprzyjających warunków klimatycznych, przekracza znacznie tę liczbę. Z całą pewnością liczba tomów nie dopędzi nigdy liczby gęsi — lecz moje ambicje nie biegają ściśle w tym kierunku i bez względu na męczarnie, jakie trud pisania mi zadał, myślałem zawsze z życzliwością o Almayerze.

Ciekaw jestem, jak byłby do mnie się odnosił, gdyby mógł przewidzieć przyszłość? Tego nie dowiemy się już na tym świecie. Lecz jeśli spotkam, go kiedy na Polach Elizejskich — a wyobrażam go sobie tylko jako eskortowanego z daleka przez stado gęsi (ptaków poświęconych Jupiterowi) — i jeśli zwróci się do mnie wśród ciszy tej beznamietnej krainy, która nie jest ani światłem, ani ciemnością, ani dźwiękiem, ani milczeniem, krainy falującej nieustannie rozkołysaną mgłą, nieuchwytnym mnóstwem rojących się duchów — sądzę, że wiem, co mu odpowiedzieć.

Rzeknę, wysłuchawszy uprzejmie jego monotonnych, umiarkowanych wyrzutów, które oczywiście nie powinny zamącić ani na chwilę uroczystej wieczności milczenia — rzeknę coś w tym rodzaju:

„Prawdą jest, że na ziemi użyłem twego imienia dla własnych celów. Ale to bardzo małe przestępstwo. Czymże jest nazwa, o Cieniu? Jeśli tkwią w tobie jeszcze dawne ziemskie słabości i czujesz się pokrzywdzony (był to zwykły ton twego ziemskiego głosu), wówczas, zaklinam cię, pomów natychmiast z naszym wzniosłym kolegą— Cieniem, który w przelotnym ziemskim życiu — jako poeta — rozpamiętywał woń róży.⁹ On cię pocieszy. Zjawiłeś się przede mną ogolony z wszelkiego szacunku przez dziwne ludzkie uśmiechy i lekceważącą gadaninę wszystkich wędrownych kupców — na wyspach. Twoje nazwisko było na lasce wiejących wiatrów i, rzekłbyś, unosiło się nagie na wodach równika. Otuliłem je w królewski płaszcz zwrotników i usiłowałem przelać w jego pustkę najgłębszy ból ojcostwa — czego ode mnie nie żądałeś — ale pamiętaj, że

⁹ Autor ma tu na myśli Szekspira i słynny ustęp z *Romeo i Julii* (akt II, scena 2):

Czymże jest nazwa? To, co zowiem różą,

Pod inną nazwą równie by pachniało!

Przekład J. Paszkowskiego.

cały trud i wszystkie wysiłki spadły na mnie. Wspomnienie o tobie prześladowało mnie w ziemskim życiu. Zważ, że to było wielkie zuchwalstwo. Żalileś się zawsze, iż jesteś stracony dla świata; zapamiętaj więc, że gdybym nie uwierzył w ciebie tak silnie, gdybym ci nie pozwolił nawiedzać mych pokoi na Bessborough Gardens, byłbyś stokroć bardziej zapomniany. Sądzisz, że nie umiałem spojrzeć na ciebie z większą bezstronnością i prostotą, że nie dostrzegłem wyraźniej cudowności, która — jak twierdzisz — towarzyszyła twym losom na tym drobniutkim błyszczącym pyłku, gdzie leżą groby nas obu — pyłku ledwie widzialnym daleko, daleko pod nami. Masz słuszość! Ale zastanów się tylko, o żałośliwy Cieniu! Przecież to jest nie tyle moja wina, ile twój pech nieubłagany. Uwierzyłem w ciebie w jedyny sposób, na jaki było mnie stać. Zaslugiwałeś na coś więcej? Bardzo możliwe. Ale ty zawsze miałeś pecha. Nic ci nigdy nie dorównywało. Właśnie dlatego byłeś dla mnie taki rzeczywisty, że głosiłeś tę wyniosłą teorię z silnym przekonaniem i niezłomną wytrwałością.”

W takich oto mniej więcej słowach, przełożonych na język właściwy duchom, gotów jestem przebłagać Almayera w Elizejskim Przybytku Cieniów, ponieważ rozstaliśmy się przed wielu laty i nie sądzono nam już spotkać się na tym świecie.

W karierze najmniej literackiego z pisarzy — w tym sensie, że literackie ambicje nie zaprzętały nigdy jego wyobraźni — pojawienie się pierwszej książki jest zdarzeniem zupełnie niezrozumiałym. W mym własnym wypadku nie umiem tego powiązać z żadną umysłową czy psychologiczną przyczyną, którą by można wskazać i rozpatrzyć. Ponieważ największym z moich talentów jest zdolność do absolutnego lenistwa, nie mogę nawet twierdzić, że nuda pobudziła mnie do chwycenia za pióro. W każdym razie pióro miałem pod ręką i nic w tym dziwnego. Każdy posiada pióro (zimną stal naszych czasów) w oświeconym wieku marek i kart pocztowych. Przecież właśnie w owej epoce za pomocą pióra i pocztówek pan Gladstone rozslawił jedną czy dwie powieści. Więc ja też miałem pióro poniewierające się gdzieś po kątach — rzadko używane i niechętnie brane do ręki pióro marynarza przebywającego na lądzie. Była to obsadka ze stalówką szorstką od zaschłego atramentu po listach, które rzucałem ledwie zacząwszy je pisać, po odpowiedziach odkładanych w sposób niedopuszczalny, które się rozpoczyna z niezmierną niechęcią i odkłada nagle do jutra albo i przyszłego tygodnia! Zaniedbane, lekceważone pióro, ciśnięte przy najłżejszej okazji, a potem, pod naciskiem twardej konieczności, poszukiwane niedbale, bez zapалу, wśród skłopotania i dąsów, wyrażających się nieuprzejmymi słowami: „Gdzież się to, u diabła, podziało?” A właśnie, gdzie! Może leży już od paru dni za kanapą. Anemiczna córka mej gospodyni (jakby się Ollendorf wyraził), choć sama chwalebnie czysta, odnosiła się w pański, niedbały sposób do swych domowych obowiązków. Albo może pióro tkwi delikatnie na ostrzu obok nogi od stołu, a podjęte z ziemi ukaże rozwarty szeroko dziób, na nic już nieprzydatny, który by zniechęcił każdego człowieka o literackich instynktach. Ale nie mnie! „Nic nie szkodzi. To pióro wystarczy.”

O dni pełne prostoty! Gdyby mi kto wtedy powiedział, że całe oddane mi otoczenie — mające na ogół przesadne pojęcie o mych talentach i ważności mojej osoby — pogrąży się w lęku i niepokoju, ponieważ będę robił historie o to, że ktoś jakoby użył mego nietykalnego autorskiego pióra, nigdy bym nie raczył zareagować nawet pogardliwym uśmiechem niewiary. Są wymysły zbyt nieprawdopodobne, aby mogły zwrócić uwagę, zbyt szalone na pobłażliwe traktowanie, zbyt idiotyczne, aby je przyjąć uśmiechem. Gdyby ów zwiastun przyszłości był mym przyjacielem, zgrzyłbym się w głębi ducha. „Niestety! — pomyślałbym patrząc na niego z nieporuszoną twarzą — ten

biedak goni w piętę.”

Zgryzłbym się z całą pewnością; bo na tym świecie, gdzie dziennikarze czytają znaki na niebie, gdzie nawet wiatr, który, gdzie chce, wieje, czyni to według proroczych zarządzeń stacji meteorologicznej, lecz gdzie tajników ludzkich serc przeniknąć nie można ani prośbą, ani groźbą — na tym świecie było stokroć bardziej prawdopodobne, aby w najrozsądniejszym z mych przyjaciół tkwił zarodek szaleństwa, niż abym ja stał się pisarzem powieści.

Śledzić ze zdumieniem zmiany zachodzące we własnej duszy to zaiste pasjonujące zajęcie na beczynne godziny. Zakres jest taki szeroki, niespodzianki takie urozmaicone, przedmiot taki bogaty w ciekawe, choć nie mające praktycznego zastosowania wskazówki co do działania ukrytych sił, że człowiek się tym łatwo nie nuży. Nie mówię tu o megalomanach, których męczy niepokój pod wieńcem bezgranicznej pychy, którzy doprawdy nie mogą zaznać spoczynku na tym świecie, a opuściwszy go, irytują się i dąsają na ograniczone możliwości ostatecznego przytułku, gdzie wszyscy ludzie muszą leżeć w mroku, zrównani z sobą. I nie myślę także o tych ambitnych duchach, które dążą stale do jakiegoś celu mającego ich wywyżżyć, duchach, którym brakuje czasu na oderwane, nieosobiste spojrzenie w głąb samych siebie.

A szkoda; godni są pożałowania. Te dwa rodzaje ludzi, obok znacznie liczniejszego odłamu nieszczęsnych istot pozbawionych doszczętnie wyobraźni, przed których pustym i nie widzącym wzrokiem (jak to powiedział wielki pisarz francuski) „cały wszechświat rozplywa się w czczą nicłość” — wszyscy oni nie dostrzegają może prawdziwego zadania człowieka, którego dzień krótki jest na tej ziemi, przybytku ścierających się przekonań. Etyczny pogląd na wszechświat wplątuje nas w końcu w mnóstwo okrutnych i bezsensownych sprzeczności, gdzie, rzekłbyś, przepadają ostatnie szczątki wiary, nadziei, miłosierdzia i nawet rozumu; toteż zaczynam wątpić, aby cel stworzonego świata mógł być w ogóle etyczny. Skłaniam się raczej do przekonania, że świat ma być tylko widowiskiem; widownią dla grozy, miłości, uwielbienia lub nienawiści, jeśli chcecie; lecz z tego punktu widzenia — i to wyłącznie z tego punktu — nigdy dla rozpaczy! Te wizje, rozkoszne lub dojmujące, są same przez się celem moralnym. Reszta jest naszą sprawą — śmiech, lzy, tkliwość, oburzenie, wyniosły spokój hartownego serca, oderwana ciekawość subtelnego umysłu — to nasza sprawa! A niestrudzona, bezinteresowna czujność na wszystkie przemiany żyjącego wszechświata, odbitego w naszej świadomości, jest chyba zadaniem wyznaczonym nam na tej ziemi. Zadaniem, w którym los każe brać udział może tylko naszemu sumieniu, obdarzonemu

głosem po to, aby świadczyło uczciwie o jawnym cudzie, o upiornej grozie, o nieskończonej namiętności i pogodzie bez granic, o najwyższym prawie i wiecznej tajemnicy wzniosłego widowiska.

Chi lo sà?¹⁰ Może tak jest naprawdę. Tego rodzaju wyobrażenie o świecie dopuszcza wszystkie religie — prócz tej wiary na opak, bezbożności, która jest maską i płaszczem jałowej rozpacz — wszystkie radości i wszystkie smutki, wszystkie piękne marzenia i wszystkie miłosierne nadzieje. Najwyższy cel polega na tym, aby zachować wierność dla wzruszeń zrodzonych z otchłani objętej gwiazdzistym firmamentem; nieskończoność gwiazd i przerażająca ich dalekość mogą wzbudzić w nas śmiech lub łzy (któż to w owym wierszu, mors czy też cieśla, „rozplakał się na widok takiej mnogości piasku?”), a na opancerzonym sercu nie wywrą żadnego wrażenia. Ten cytat z pięknego wiersza¹¹, który przyszedł mi na myśl, nasuwa mi uwagę, że jeśli uznamy wszechświat za widowisko, każde natchnienie będzie w nim miało racjonalny byt, wszyscy artyści znajdą pole dla siebie, a wśród nich poeta jako wieszcz par excellence. Nawet prozaik — który ma do spełnienia mniej szlachetne, znojniesze zadanie i powinien być człowiekiem o hartownym sercu — nawet on zasługuje także na miejsce, byle patrzył niezamąconym wzrokiem i był nieprzystępny dla śmiechu; niech inni płaczą lub się śmieją. Tak! Nawet on, twórca artystycznej prozy, która właściwie jest tylko prawdą, często wydobytą z głębokości i przyodzianą w barwną szatę malowniczych zdań — nawet on ma swoje miejsce wśród królów, demagogów, księży, szarlatanów, książąt, żyraf, ministrów, fabianistów, murarzy, apostołów, mrówek, uczonych, Kafrów, żołnierzy, marynarzy, słoni, prawników, dandysów, mikrobów i konstelacji wszechświata, którego zdumiewające widowisko jest samo w sobie celem moralnym.

Spostrzegam tutaj (nie chcę urazić nikogo), że czytelnik przybiera chytry wyraz twarzy, jak gdyby zauważył, że szydło wyszło z worka. Stwierdzam ze śmiałością właściwą powieściopisarzowi, iż w duszy czytelnika formuluje się wykrzyknik: „Tum go czekał! Ten człowiek mówi *pro domo*.”

Lecz nie leżało to, zaiste, w moim zamiarze! Kiedy dźwignąłem worek na plecy, nie zdawałem sobie sprawy, że tkwi w nim szydło. A zresztą — czemu nie? Na pięknych dziedzińcach Domu Sztuki tłoczy się wiele pokornej czeladzi. A czeladź, której wolno siadywać na progu, jest najwierniejsza z wszystkich. Ci, co się dostali do środka, skłonni

¹⁰ Kto wie? (wł.)

¹¹ Chodzi tu o wiersz *Mors i cieśla* z książki *Skroś zwierciadła* Lewisa Carolla, ulubionego autora angielskich dzieci. Owa książka jest dalszym ciągiem słynnej Alicji w krainie czarów tegoż autora.

są zbyt wiele myśleć o sobie. Podkreślam, że ostatnia obserwacja nie jest złośliwością podpadającą pod prawną definicję oszczerstwa. Jest to słuszna uwaga o sprawie, która obchodzi szeroki ogół. Ale mniejsza z tym. *Pro domo*. Niech i tak będzie. Mówię we własnym interesie — *tant que vous voudrez*¹². A jednak w gruncie rzeczy nie chodzi mi wcale o usprawiedliwienie swego życia. Podobny zamiar byłby nie tylko niepotrzebny i bezsensowny, lecz prawie niezrozumiały we wszechświecie pojętym tylko jako widowisko, gdzie taka przykra konieczność jest nie do pomyślenia. Wystarczy, gdy powiem (a mówię o tym dość obszernie na tych kartach): *J'ai vécu*. Istniałem, zagubiony wśród cudów i przerażeń mych czasów, jak Abbe Sieyes (on to wypowiedział po raz pierwszy przytoczone wyżej słowa), który potrafił istnieć wśród gwałtów, zbrodni i uniesień Rewolucji Francuskiej. *J'ai vécu*, jak zapewne i większość z nas istnieć potrafi, mijając się nieustannie o włos z różnymi postaciami zniszczenia, ocalając swe ciało — to jasne — a może i duszę, ale tu i ówdzie nie bez szkody dla subtelnej wrażliwości mego sumienia, tego dziedzictwa wieków, narodu, grupy, rodziny — dającego się urabiać i chłonącego barwę — dziedzictwa ukształtowanego przez słowa, spojrzenia, czyny, a nawet to, co się przemilcza i ukrywa przed nami w dzieciństwie; dziedzictwa zabarwionego całą gamą delikatnych odcieni i jaskrawych kolorów przez przekazane nam tradycje, wierzenia, przesady — nieodpowiedzialne, despotyczne, przekonywające, a często na wskroś romantyczne.

A często romantyczne!... Zależy mi jednak na tym, aby moje wspomnienia nie stały się wyznaniem — którą to formę literatury zdyskredytował Jan Jakub Rousseau wskutek niezmiernej sumienności, z jaką przystąpił do usprawiedliwienia swej egzystencji; bo że taki był jego cel, rzuca się w oczy każdemu bezstronnemu czytelnikowi. Ale zaznaczam: ten człowiek nie był powieściopisarzem. Był prostodusznym moralizatorem, co jasno wypływa z faktu, że jego rocznice są obchodzone rozgłośnie i uroczyście przez spadkobierców Rewolucji Francuskiej, która nie była wcale ruchem politycznym, lecz wielkim wybuchem moralności. Rousseau nie posiadał wyobraźni, o czym przekona się każdy, kto przeczyta — choćby pobieżnie — *Emila*. Nie był powieściopisarzem, którego zasadniczą cnotę stanowi dokładne poczucie granic, narzuconych grze wyobraźni przez współczesną twórcy rzeczywistość. Natchnienie przychodzi od ziemi, która ma przeszłość, historię, przyszłość — nie zaś od zimnych, niezmiennych niebios. Pisarz prozaik (bardziej jeszcze niż inni artyści) wypowiada się w swoim dziele. Jego sumienie, jego głębsze wycucie rzeczy, prawa i

12 jak chcecie (fr.)

bezprawia, określają jego postawę wobec świata. Zaiste, każdy, kto chwyta za pióro, aby pisać dla innych ludzi (z wyjątkiem moralizatorów, którzy na ogół nie mają innego sumienia prócz sumienia wypracowanego z trudem na użytek innych), może pisać tylko o sobie. Pan Anatol France, najwymowniejszy i najsprawiedliwszy spośród francuskich prozaików, twierdzi, iż ostatecznie musimy przyznać, że „jeśli nie starczy nam sił, aby milczeć, możemy mówić tylko o sobie”.

Uwaga ta, jeśli dobrze pamiętam, została wypowiedziana podczas polemiki z nieżyjącym już Ferdynandem Brunetiere, polemiki na temat zasad i praw krytyki literackiej. Jak się należało spodziewać po człowieku, któremu zawdzięczamy pamiętne powiedzenie: „Dobrym krytykiem jest ten, który opowiada o przygodach swej duszy wśród arcydzieł” — pan Anatol France utrzymywał, że nie ma dla krytyka ani praw, ani zasad. To bardzo możliwe. Prawa, zasady i hasła co dzień umierają i nikną. Może teraz już wszystkie pomarły i znikły. W dzisiejszych czasach ludzie z większą niż kiedykolwiek odwagą i beztruską niszczą kopce graniczne, jednocześnie zaś zdolne umysły biedzą się nad wymyślaniem nowych drogowskazów, które, jak się pocieszam, wkrótce zostaną znów umieszczone na dawnych miejscach. Ale ważnym jest dla pisarza przeświadczenie o nieśmiertelności krytyki literackiej, ponieważ człowiek (określany tak rozmaicie) to przede wszystkim zwierzę krytyczne, i póki wybitni ludzie uważać będą krytykę literacką za teren wzniosłych przygód, poty będzie ona przemawiać do nas całym urokiem i mądrością barwnie opowiedzianych przeżyć.

Szczególniej dla Anglików, bardziej niż dla wszystkich innych narodów na tej ziemi, zadanie — każde zadanie traktowane jako przygoda — ma urok romantyzmu. Ale na ogół krytycy przejawiają w małym stopniu zamilowanie do przygód. Ponoszą ryzyko, oczywiście — bez tego żyć przecież nie można. Powszedni chleb jest nam wydzielany (dość skąpo) ze szczyptą soli. Gdyby nie to, znudziłoby się nam pożywienie, o które się modlimy, a to by było nie tylko niewłaściwe, ale i bezbożne. Od wszelkiego rodzaju bezbożności niech nas Bóg uchwata! Panowanie nad sobą uważane za ideał — wypływające z poczucia tego, co wypada, a może z nieśmiałości czy ostrożności, czy po prostu ze zmęczenia — doprowadza do tego niektórych pisarzy zajmujących się krytyką, że tłumią awanturniczość swego zawodu; wówczas krytyka staje się po prostu sprawozdaniem, jakby opowieścią o podróży, gdzie tylko odległość i geologia nowego kraju winny być uwzględnione; natomiast przelotny widok dziwnych zwierząt, niebezpieczeństwa — na ziemi i wodzie — z których się wyszło cudem, cierpienia podróżnika (o tak, cierpienia także! nie wątpię o cierpieniach) troskliwie są pominięte;

nie ma wzmianki ani o cienistych zakątkach, ani o roślinach owocodajnych — tak iż całość wygląda tylko na popis zręczności wyćwiczonego pióra biegnącego przez pustkę. Okrutne widowisko — oplakana przygoda. „Życie — według nieśmiertelnych słów myśliciela sielskiego, że tak powiem, pochodzenia, myśliciela, którego imię stracone jest dla uwielbienia potomności — życie to nie tylko piwo i kręgle.” Ani też pisanie powieści. Naprawdę. *Je vous donne ma parole d'honneur*¹³, że... nie... jest. Nie tylko to. Podkreślam te słowa z naciskiem, ponieważ pamiętam, jak przed kilku laty córka generała...

Nagle objawienia dotyczące świeckiego świata musiały być niekiedy udziałem pustelników w celach, średniowiecznych mnichów zamkniętych w klasztorze, samotnych mędrców, ludzi nauki, reformatorów; objawienia ukazujące płytkość ludzkich sądów, rażącą dla dusz pogrążonych w gorzkim trudzie zdobycia świętości albo wiedzy, albo, powiedzmy, wstrzemięźliwości, albo sztuki — choćby tylko sztuki sypania dowcipami lub gry na flecie. I tak też zjawiała się u mnie owa córka generała — a raczej jedna z jego córek. Było ich trzy, tych panien przedzielonych równymi odstępami wieku; zawładnęły sąsiednim folwarkiem i trzymały go zgodnie pod okupacją, w rygorze mniej lub więcej wojskowym. Najstarsza walczyła z upadkiem manier u wiejskich dzieci i urzędowała frontowe ataki na wiejskie matki dla zdobycia łupu w postaci dygów. To wygląda na błahostkę, ale była to doprawdy walka dla idei. Druga harcowała po całej okolicy, wypuszczając się na zwiady; i ona to właśnie (ta, która nosiła wysokie kołnierzyki) dotarła z rekonesansem, aż do mego stołu. Przyszła właściwie w odwiedziny do mojej żony w przyływie łagodnej popołudniowej życzliwości, lecz ze zwykłą sobie wojskową energią wmaszerowała do mego pokoju, wymachując laską... ale nie, nie trzeba przesadzać. Nie jestem pisarzem humorystycznym. Tedy stwierdzam z całą powściągliwością, że trzymała w ręku laskę.

Żaden rów ani też mur nie otaczał mej siedziby. Okno było otwarte; drzwi także były otwarte na oścież dla tego najlepszego przyjaciela mej pracy, ciepłego, cichego słońca z szerokich pól otaczających mnie zewsząd, nieskończenie życzliwych. Ale jeśli mam powiedzieć prawdę, nie wiedziałem już od tygodni, czy słońce świeci nad ziemią i czy gwiazdy na wysokości poruszają się wciąż po wyznaczonych im szlakach. Właśnie wtedy byłem pogrążony już od szeregu dni w ostatnich rozdziałach powieści *Nostramo*, historii o wymyślonym (lecz prawdziwym) morskim pobrzeżu. Jest to powieść, o której ludzie wspominają wciąż jeszcze, i to z życzliwością; czasem zaopatrują ją w epitet:

13 Słowo honoru, (fr.)

„nieudana”, a czasem w epitet: „zdumiewająca”. Nie umiem się wypowiedzieć w kwestii owej sprzeczności. Tego rodzaju rozdźwięku usunąć nie można. Wiem tylko na pewno, że przez dwadzieścia miesięcy zaniedbywałem zwykle radości życia, przypadające w udziale najskromniejszym na tej ziemi, i jak ów prorok z zamierzchłych czasów „walczyłem z Panem” o swoje dzieło, o przylądki wybrzeża, o mrok Zatoki Spokojnej, o blask na śniegach, o chmury na niebie i o dech życia, który trzeba było tchnąć w postacie mężczyzn i kobiet z rasy romańskiej i anglosaskiej, w Żydów i nie-Żydów. Może wyrażam się zbyt dosadnie, ale trudno określić inaczej głębię i natężenie wysiłku, w który umysł i wola, i sumienie wprzęgnięte są bez reszty, godzina za godziną, dzień za dniem, w oderwaniu od świata, w odcięciu od wszystkiego, co czyni życie pociągającym i łagodnym; jako porównanie dla tego stanu ducha nasuwa mi się w świecie materii tylko jedno: nieskończony, mroczny wysiłek przy okrążaniu zimą Przylądka Horn w zachodnim kierunku. Gdyż to jest również mocowanie się ludzi z potęgą ich Stworzyciela, wśród zupełnego odcięcia od świata, od przyjemnych i kojących stron życia; samotna walka w poczuciu druzgocącej nierówności sił, walka, dla której jedynym celem jest uzyskanie na długości geograficznej. Ale pewnej długości geograficznej raz osiągniętej kwestionować nie można. Słońce i gwiazdy, i kształt naszej ziemi są świadkami tego, co się uzyskało; a tymczasem garść stronic, bez względu na to, jak wiele z siebie człowiek w nie włożył, jest w najlepszym razie tylko niepewną i sporną zdobyczą. Oto macie: z jednej strony: „nieudana” — z drugiej: „zdumiewająca”; można wybrać, co się podoba, a choćby i jedno, i drugie albo nic — tylko szelest i trzepot kartek opadających wśród nocy, niewyraźnych jak płatki śnieżnej zamieci, których przeznaczeniem jest stopnieć w blasku słońca.

— Dzień dobry panu.

Było to powitanie córki generała. Nie usłyszałem nic — żadnych kroków, żadnego szelestu. Poczulem tylko chwilę przedtem jakby zapowiedz grożącego niebezpieczeństwa, bliskość czyjejs złowróźbnej obecności — po prostu tylko ostrzeżenie, nic więcej; potem rozległ się dźwięk głosu i nastąpił straszliwy wstrząs jakby po upadku z wielkiej wysokości — upadku, powiedzmy, ze szczytu chmur, płynących nad polami w wolnym korowodzie, pędzonych leciuchnym zachodnim powiewem tego lipcowego popołudnia. Naturalnie przyszedłem do siebie bardzo prędko, a mówiąc innymi słowami, zerwałem się z krzesła, ogłuszony i oszołomiony; wyrwano mnie z jednego świata i ciśnięto w drugi; każdy nerw drgał we mnie z bólu, ale zachowałem się z wzorową uprzejmością.

— Ach! Dzień dobry pani. Niechże pani siada.

Takie były moje słowa. To okropne, lecz — mogę zapewnić — najzupelniej prawdziwe wspomnienie wymowniejsze jest od całego tomu wyznań a la Jean Jacques Rousseau. Proszę zauważyć! Nie zawyłem na jej widok ani na zacząłem przewracać mebli, ani się nie rzuciłem ,na ziemię kopiąc nogami, ani nie pozwoliłem sobie na jakiegokolwiek inne przejawy świadczące o przeraźliwym ogromie klęski. Cały świat Costaguany (jeśli pamiętacie, jest to teren mej opowieści z wybrzeża), mężczyźni, kobiety, przylądki, domy, góry, miasto, *campo* (nie było tam ani jednej cegły, kamienia czy ziarenka piasku, których bym nie umieścił, gdzie należało, własnymi rękoma); cała historia tego kraju, geografia, polityka, finanse; bogactwo kopalni srebra Charlesa Goulda i wspaniałość pysznego Capataza de Cargadores, którego imię, rzucone w noc (dr Monygham słyszał, jak przemknęło nad jego głową, krzyknięte przez Linde Viole) panowało nawet po jego śmierci nad ciemną zatoką, ukrywającą skarby zdobytych przez niego łupów i miłości — wszystko to zwałilo mi się z hukiem na głowę. Czulem, że nie zdołam nigdy pozbierać tych szczątków — i w tejże samej chwili powiedziałem:

— Niechże pani siada.

Morze jest potężnym lekarstwem. Zważcie, czego może dokazać tresura, choćby tylko na statku handlowym! Ten epizod może wam dać nowy pogląd na angielskich i szkockich marynarzy (beniaminków karykatury), którzy przyłożyli rękę do ostatecznego ukształtowania mego charakteru. Skromność przede wszystkim, ale sądzę, że moje zachowanie podczas tej katastrofy świadczy zaszczytnie o ich prostych środkach pedagogicznych. „Niechże pani siada.” To piękne; to bardzo piękne. Usiadła. Błądziła rozbawionym wzrokiem po całym pokoju. Kartki rękopisu leżały na stole i pod stołem, stos stroniec przepisanych na maszynie piętrzył się na krześle, pojedyncze arkusze rozproszyły się po odległych kątach; były tam karty żywe, karty pokreślone i poranione, martwe karty, które miałem spalić przy końcu dnia — nieład okrutnego pobojuwiska, długiej, długiej i rozpaczliwej walki. Jakże długiej! Sądzę, że kładłem się spać od czasu do czasu i tyleż razy wstawałem z łóżka. Tak, zdaje mi się, że spałem i jadłem posiłki, które przede mną stawiali, i w odpowiednich chwilach mówiłem z pewnym sensem do mego o toć” „nią. Ale nie czulem wcale równego biegu kuchennych spraw; ciche, czujne, niezmordowane przywiązanie czyniło moje życie łatwym i spokojnym. Wydało mi się naprawdę, że dniem i nocą siedziałem bez końca przy tym stole, otoczony nieładem rozpaczliwej walki. A wydało mi się tak wskutek niezmiernego znużenia, które poczulem dzięki temu niespodzianemu wtargnięciu; wskutek okropnego rozczarowania ducha,

który nagle zdał sobie sprawę z błahości olbrzymiego zamiaru; jednocześnie zaś doznałem tak silnego fizycznego wyczerpania, jakiego nie jest w stanie wywołać żadna praca fizyczna, choćby najcięższa. Nosilem worki pszenicy na plecach, zgięty prawie wpół pod belkami pokładu, od szóstej rano do szóstej wieczór (z półtoragodzinną przerwą na posiłki), więc powinienem coś o tym wiedzieć.

I kocham literaturę. Jestem wrażliwy na jej honor, dbam o godność i piękno literackiego zawodu. Byłem prawdopodobnie jedynym pisarzem, którego ta schludna osoba przyłapała w chwili, gdy się oddawał swej pracy; ogarnęła mnie rozpacz, bo nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy i jak się ubrałem po raz ostatni. Z pewnością wszystko było zasadniczo w porządku. Mój idom zawierał na szczęście parę szaroniebieskich, bacznych oczu, które nad tym czuwały. Ale doznałem wrażenia, że jestem brudny jak costaguański *lépero* po całodziennych walkach na ulicy, że jestem zmięty i rozczochrany od stóp do głów. I zdaje się, niestety, iż mrugałem idiotycznie oczami. Wszystko to przynosiło ujmę honorowi literatury i godności jej przedstawicieli. Widziałem zacną damę niewyraźnie poprzez pył mego świata w gruzach, a ona rozglądała się po pokoju, z lekka ubawiona. I uśmiechała się. Dlaczego, u licha, się uśmiechała? Rzekła niedbale:

— Boję się, że przeszkodziłam panu w pracy.

— Ależ nie.

Przyjęła to zaprzeczenie z zupełną dobrą wiarą. W mych słowach była ścisła prawda. Przeszkodziła — to mi się podoba! Obdarła mnie przynajmniej z dwudziestu istnień, z których każde było nieskończenie bardziej wzruszające niż jej własne, bo wzbierające namiętnością, oparte na przekonaniach, uwikłane

w wielkie sprawy wysnute z mego własnego ducha dla troskliwie obmyślanego celu.

Milczała przez chwilę, a potem rzekła, ogarniając ostatnim spojrzeniem cały nieład walki:

— I pan tak sobie tutaj siedzi, pisząc swoje... swoją

— Ja... co takiego? Ach tak! Siedzę tu przez cały dzień.

— To musi być po prostu rozkoszne.

Zważywszy na mój wiek, zdaje się, że zagrażała mi poważnie apopleksja; lecz zacna dama zostawiła swego psa przy wejściu, a pies mego synka, patrolujący pole przed domem, wyśledził go z daleka. Nadbiegł z szybkością armatniej kuli, a hałas walki, który uderzył nagle o nasze uszy, wystarczył aż nadto do odstraszenia apoplektycznego ataku.

Wybiegliśmy na dwór i rozdzieliliśmy walczne zwierzęta. Potem wskazałem córce generała miejsce, gdzie może zastać moją żonę — o tam, za rogiem domu, pod drzewami. Skinęła głową i odeszła ze swoim psem, zostawiając mnie przerażonego śmiercią i spustoszeniem, które lekkomyślnie wywołała, a w uszach brzmiało mi jeszcze wciąż okropne, lecz pouczające słowo: „rozkoszne”.

Mimo to odprowadziłem ją później, jak wypadło, do furtki wychodzącej na pole. Chciałem naturalnie być uprzejmy (czyż zagłada dwudziestu istnień z jakiejś tam powieści może być dostatecznym powodem do niegrzecznego obejścia się z damą?), ale głównie, według dobrego, zdrowego stylu Ollendorfa, chodziło mi o to, aby pies córki generała nie walczył znów (*encore*) z wiernym psem mego małego synka (*mon petit garçon*). Czy obawiałem się, aby pies córki generała nie zwyciężył (*vainquit*) psa mego dziecka? Nie, nie obawiałem się tego... Ale dość metody Ollendorfa. Choć bardzo odpowiednia i poniekąd nieunikniona, jeśli chodzi o ową damę, jest rażąco niestosowna w zestawieniu; z pochodzeniem, charakterem i dziejami naszego psa; albowiem ów pies był ofiarowany dziecku przez człowieka, dla którego słowa miały wręcz przeciwną wartość niż dla Ollendorfa. Ów człowiek, pełen samorodnego talentu, zdradzający w swych porywach naturę dziecka, najprostszy z impresjonistów słowa, używał swych wielkich darów — prostoty uczuć i trafnej ekspresji — z głęboką szczerością i silnym, choć może niezupełnie świadomym przekonaniem. Obawiam się, że sztuka tego pisarza nie zdobyła uznania, na jakie zasługiwała przez szczerość uczuć. Mówię o nieżyjącym już Stephenie Crane, autorze książki pt. *Czerwone godło odwagi*, dzieła wyobraźni, które miało swą krótką chwilę sławy w ostatnim dziesięcioleciu zeszłego wieku. Za tą powieścią pojawiły się inne książki. Nieliczne. Zabrakło Crane’owi czasu. Był to indywidualny i pełny talent, który spotkał się z niechętnym, nieco protekcjonalnym uznaniem szerokiego świata. Nie wiem, czy należy boleć nad przedwczesną śmiercią Stephena Crane’a jako człowieka, nie pisarza. Czulo się, że — jak jeden z ludzi w jego *Szalupie* — należy on do tych, którym los rzadko pozwala na bezpieczne przybicie do brzegu po znoejnej i uciążliwej przeprawie. Wyznaję, że zachowałem niewygasłe uczucie dla tej energicznej, szczupłej, delikatnej postaci, pełnej życia, a mimo to kruchej. Lubił mnie jeszcze przed naszym spotkaniem dzięki niektórym ustępom z mych książek i miło mi wspomnieć, że nie przestał mnie lubić, kiedyśmy się zetknęli. Oświadczał mi nieraz z wielką powagą i nawet pewną surowością, że „chłopiec powinien mieć psa”. Podejrzewam, że był zgorzony mym zaniedbaniem ojcowskich obowiązków. Koniec końców sam tego psa dostarczył. Wkrótce potem, gdy pewnego dnia bawił się z

dzieckiem na dywanie przez jakąś godzinę pochłonięty tym całą duszą, podniósł głowę i rzekł stanowczo: „Nauczę twego chłopca jeździć konno.” To nie było sądzone. Zabrakło mu na to czasu.

Ale jest pies — stary już teraz. Niski i szeroki, na pałakowatych nogach, o czarnej głowie, białym tułowiu i śmiesznej czarnej plamie koło ogona, wywołuje podczas spacerów wcale życzliwe uśmiechy. Groteskowy i pociągający, zachowuje się zazwyczaj potulnie, lecz wobec jednostek swego rodzaju ujawnia nagle temperament wręcz wojowniczy. Gdy leży w świetle kominka z podniesioną głową i nieruchomym, dalekim spojrzeniem zwróconym ku cieniom pokoju, osiąga niezwykłą szlachetność postawy w poczuciu nieskazitelnego życia. Wychował już jednego bobasa, a teraz, odprowadziwszy do szkoły swego pierwszego pupila, wychowuje drugiego z tym samym sumiennym, żarliwym oddaniem, lecz z większą przezornością i powagą, oznakami większej mądrości i dojrzałego doświadczenia, lecz także i reumatyzmu, niestety. Od porannej kąpieli aż do wieczornych ceremonii przy kołysce pilnujesz, stary przyjacielu, małego dwunożnego stworzonka, które przybrałeś, a podczas wykonywania twych obowiązków cały dom odnosi się do ciebie z nieskończonym szacunkiem i okazuje ci szczególne względy — zupełnie tak samo jak i mnie; tylko że ty bardziej na nie zasługujesz. Córka generała powiedziała ci, że to musi być „po prostu rozkoszne”.

Aha, właśnie, stara psino! Ta dama nie słyszała nigdy, jak skomlisz z dotkliwego bólu (to biedne lewe ucho) zachowując jednocześnie z niewiarogodnym opanowaniem zupełną, sztywną nieruchomość, aby nie przewrócić małego dwunożnego stworzonka. Nie widziała nigdy twego uśmiechu pełnego rezygnacji, kiedy dwunożne stworzonko, zapytane z powagą: „Co ty robisz dobremu pieskowi?”, odpowiada z szeroko rozwartymi, niewinnymi oczami: „Nic, mamusiu, ja go tylko Kocham!”

Córka generała nie wie o tajnych zadaniach, jakie sobie człowiek narzuca, dobry mój piesku; nie wie o bólu, który może czyhać nawet w nagrodzie płynącej z surowego panowania nad sobą. Ale przeżyliśmy razem wiele lat — i postarzeliliśmy się. A choć nasze dzieło jeszcze nie jest zupełnie skończone, możemy sobie pozwolić niekiedy na trochę rozpamiętywać przy kominku — rozpamiętywać o sztuce wychowania bobasków i o wielkiej rozkoszy pisania powieści, gdzie tyle istnień zjawia się i niknie kosztem jednego, które niepostrzeżenie wygasa.

VI

Kiedy się rozpatruje życie, które poza przygotowawczym okresem dzieciństwa i wczesnej młodości miało dwa odrębne okresy rozwoju, a nawet rozgrywało się na tle dwóch odrębnych żywiołów, takich jak ziemia i woda, nie można uniknąć pewnej naiwności. Czuję ją na tych stronach. Nie mówię tego, aby się usprawiedliwiać. W miarę jak lata płyną i liczba stron się zwiększa, utrwala się w człowieku przekonanie, że pisać można tylko dla przyjaciół. Więc po co narzucać im konieczność zapewnień (jak przyjaciołom przystoi), że usprawiedliwiać się nie potrzebuję, po co budzić w nich powątpiewanie o mojej delikatności? Pewne względy należą się przyjaciołom, których pociągnęło tu jakieś słowo, tam znów określenie, jakiś udany fragment, trafnie odczuty i umieszczony we właściwym miejscu, trochę prostoty lub też subtelności; pociągnęło ich ku mnie spośród wielkiego tłumu bliźnich, jak się wylawia rybę z morskiej głębin. Połów ryb (mówię tu o połowie na pełnym morzu) jest bezwzględnie kwestią szczęścia. Co się zaś tyczy mych nieprzyjaciół, mało mnie oni obchodzą.

Jest na przykład taki pan, który, mówiąc w przenośni, korzysta z każdej sposobności, aby mnie podeptać. Obraz ten jest mało wdzięczny, lecz odpowiada ściśle temu, co się zdarzyło — i to nie raz, ale wielokrotnie. Nie wiem dokładnie, jak dawno ów krytyk oddaje się swym sporadycznym ćwiczeniom, których sezon jest uzależniony od zwyczajów przyjętych w przemyśle wydawniczym. Ktoś zwrócił mi na niego uwagę (naturalnie pod postacią drukowanego artykułu) jakiś czas temu i od razu poczułem coś w rodzaju odpornej sympatii do tego krzepkiego człowieka. Nie szczędzi ani źdźbła mojej istoty: bowiem istotą pisarza jest jego dzieło, reszta to tylko czyzy cień bezkrytycznie kochany lub nienawidzony. Ani źdźbła! Lecz sentyment, do którego się przyznaję, nie jest afektowanym lub też przewrotnym kaprysem. Ma głębsze i, pozwolę sobie mniemać, bardziej szacowne źródło niż wybryk bezpodstawnej czułości. Sentyment ów jest o tyle usprawiedliwiony, że powstał (opornie) pod wpływem pewnej okoliczności, nawet kilku okoliczności. Na przykład ta krzepkość, która jest tak często oznaką moralnej równowagi. To przecież ważka okoliczność. Zapewne czuć się podeptanym to do przyjemności nie należy, ale za samą dokładność tej operacji — dowodzącą nie tylko starannego czytania, lecz prawdziwego wmyślenia się w dzieło, którego zalety i wady nie znajdują się na powierzchni — za samą tę dokładność można być wdzięcznym, bowiem przydarza się autorowi, że potępia jego dzieło wcale go nie przeczytawszy. To jest już

najgłupsza z przygód, jakie mogą spotkać pisarza puszczającego się na duchową wędrówkę wśród krytyki. Naturalnie, że z takiej przygody nic złego wypłynąć nie może, ale przyjemna nie jest. Taką samą przykrość się czuje, odkrywając karcianego oszusta wśród gromady uczciwych ludzi w przedziale trzeciej klasy. Jawny bezwstyd tego rodzaju postępowania, liczącego chytrze na ludzką głupotę i łatwowierność, cyniczna, bezczelna gadanina, którą jawnie się ludzi nabiera, zapewniając przy tym, że gra jest rzetelna, wszystko to przyprawia o mdłości z obrzydzenia. Uczciwa gwałtowność przeciętnego człowieka prowadzącego uczciwą grę — nawet jeśli chce nam dać po łbie — może się wydać rażąca, ale nie wykracza poza obręb przyzwoitości. Wyrządza człowiekowi szkodę, ale go nie obraża. Można czuć pewien szacunek dla uczciwości, choćby się jej skutki odczuwało dotkliwie na swej niegodnej skórze. Ale jest oczywiste, że nieprzyjaciela tego rodzaju nie osaczy się tłumaczeniem, nie udobrucha wymówkami. Gdybym usiłował wysunąć swą młodość jako usprawiedliwienie dla naiwności przebijającej z tych kart, ów krytyk odpowiedziałby zapewne: „bzdury”! i kropnąłby wściekle półtorej kolumny druku. A przecież pisarz nie jest starszy od pierwszej swej książki; niezależnie od błahych oznak starzenia się, które towarzyszą nam w tym doczesnym życiu, stoję tu w wieńcu krótkich piętnastu wiosen na czole.

Tedy zważywszy, że w tak młodym wieku pewna naiwność uczuć i wysłowienia się jest dopuszczalna, stwierdzam, iż w gruncie rzeczy mój poprzedni etap życia nie był dobrym przygotowaniem do literackiej kariery. Może nie należy tu użyć przymiotnika: literackiej. To słowo przywodzi na myśl poufne stosunki z literaturą, a także rodzaj umysłu i sposób czucia, do których nie śmiem rościć pretensji. Ja tylko kocham literaturę; ale ta miłość jeszcze nie pasuje na literata, tak jak miłość do morza nie wystarcza, aby być marynarzem. I bardzo jest możliwe, że kochani literaturę w ten sam sposób, w jaki literat kocha morze, na które spogląda z brzegu — ów teren wielkich wysiłków i wielkich czynów zmieniających oblicze świata, ów wielki, otwarty szlak wiodący do przeróżnych nie odkrytych krain.

Może powinienem raczej powiedzieć, że życie na morzu — a nie myślę tu o krótkiej próbie, tylko o całym szeregu lat, które składają się na porządny okres służby — że życie na morzu nie jest dobrym przygotowaniem do życia pisarza. Ale uchwaj mnie Boże od podejrzeń, iż się wypieram mych mistrzów z pokładu. Nie jestem zdolny do tego rodzaju odszczepieństwa. Wyznałem już swoją zbożną cześć dla ich cieni w trzech czy czterech opowieściach i kto jak kto, ale właśnie powieściopisarz musi być szczerzy względem samego siebie, jeśli dba o swoje zbawienie.

Chcę przez to po prostu powiedzieć, że szkoła morskiego życia nie przygotowuje należycie do znoszenia krytyki literackiej. Tylko to i nic więcej. Ale ten brak jest dość poważny. Jeśli wolno przekręcić, odwrócić, dostosować (i zepsuć) określenie dobrego krytyka przez pana Anatola France'a, to pozwolę sobie powiedzieć, że dobrym pisarzem jest ten, który patrzy bez wyraźnej radości lub przesadnego smutku na przygody swej duszy wśród krytyki. Nie mam bynajmniej zamiaru narzucać uważnemu czytelnikowi fałszywego mniemania, jakoby krytyka na morzu nie istniała. To byłoby nieuczciwe i nawet nieuprzejme. Na morzu wszystko można znaleźć, zależnie od tego, czego się szuka — walkę, spokój, romantyzm, najskrajniejszy naturalizm, ideały, nudę, wstręt, natchnienie — i wszelkie możliwe okazje, nie wyłączając okazji do ośmieszenia się, zupełnie jak w literackim zawodzie. Lecz na morzu krytyka jest nieco różna od literackiej. Tylko tyle ma ją wspólnego, że zazwyczaj i w jednym, i w drugim przypadku odpowiadać nie warto.

Tak, można znaleźć na morzu krytykę, a także i uznanie — powtarzam, wszystko można znaleźć na słonej wodzie — krytykę na ogół zaimprovizowaną i zawsze *viva voce* (co jest zewnętrznym, jawnym, odchyleniem od literackiej operacji tego rodzaju), pełną wskutek tego świeżości i siły, których często brakuje drukowanemu słowu. Uznanie zaś przychodzi na samym końcu, gdy krytyk i krytykowany mają się rozstać, i wyraża się inaczej. Na morzu uznanie czyichś skromnych talentów ma trwałość pisanego słowa, lecz rzadko urok różnorodności, a styl tego uznania jest formalny. Tutaj mistrz literacki bierze górę nad tamtym, choć właściwie on także w gruncie rzeczy może tylko powiedzieć — i nieraz mówi — w takich samych słowach: „Polecam usilnie.” Tylko że zwykle używa słowa „my”, ponieważ w pierwszej osobie liczby mnogiej tkwi jakiś okultystyczny przymiot, który czyni ją szczególnie odpowiednią dla oświadczeń krytyków i królów. Mam drobną garść tych marynarskich ocen podpisanych przez różnych kapitanów; żółkną powoli w lewej szufladzie biurka i szeleszczą pod mym dotknięciem pełnym szacunku, jak garść uschłych liści zerwanych z drzewa wiedzy na tkliwą pamiętkę. To dziwne! Zdawałoby się, że dla tych kilku kawałków papieru, które mają w nagłówku nazwę okrętu i są podpisane nazwiskami szkockich i angielskich kapitanów, że dla tych kilku świadectw stawiałem czoło oburzeniu, wykrzykom zdumienia, drwinom i wyrzutom, które ciężko było znieść piętnastoletniemu chłopcu; że dla nich właśnie oskarżano mnie o brak patriotyzmu, o brak rozsądku, a także o brak serca; że dla nich przechodziłem męki, walcząc z samym sobą i wylewając niemało ukrytych łez — że dla nich utraciłem piękności Furka Pass i zostałem nazwany „niepoprawnym Donkiszotem”

w aluzji do szaleństwa tego rycerza, szaleństwa zrodzonego z literatury. Dla tego łupu! Tych szeleszczących kartek papieru jest wszystkiego około tuzina. W ich nikłym, widmowym szeleście żyją wspomnienia dwudziestu lat, głosy prostych ludzi, których już nie ma, potężny głos wieczystych wiatrów i szept tajemniczego czaru, szmer wielkiego morza, który przeniknął w głąb łądu aż do mojej kołyski, aż do mych nieświadomych uszu, niby owo wyznanie mahometańskiej wiary, które ojciec muzułmanin szepce na ucho swemu nowo narodzonemu synowi, czyniąc go prawowiernym wyznawcą nieledwie z jego pierwszym oddechem. Nie wiem, czy byłem dobrym marynarzem, ale byłem bardzo wierny swemu zawodowi. I ostatecznie mam tę garść świadectw z różnych okrętów na dowód, że wszystkie te lata nie były tylko snem. Oto są, zwięzłe, jednostajne w wyrazie, ale równie dla mnie wyraziste jak najbardziej natchniona karta literatury. Toteż, uważacie, nazwano mnie romantykiem. Cóż, nic na to poradzić nie mogę. Ale, ale! Coś mi się majaczy, że nazwano mnie też realistą. A ponieważ można uzasadnić i ten zarzut, trzeba się więc do niego dostosować za wszelką cenę, choćby dla różnaitości. Mając to na względzie, zwierzę się wam nieśmiało i tylko dlatego, iż nie ma koło mnie nikogo, kto mógłby dojrzeć mój rumieniec w świetle lampy, że te wyraziste kartki z oceną mych marynarskich kwalifikacji zawierają jedna w drugą słowa: „absolutnie trzeźwy”.

Zdaje się, że dosłyszałem uprzejme mruknięcie: „Ależ to doprawdy bardzo pochlebne!” No więc tak, to jest pochlebne — dziękuję. Zaświadczenie, że się jest trzeźwym, pochlebia przynajmniej w tym samym stopniu co zaświadczenie, że się jest romantykiem, choć te świadectwa mojej trzeźwości nie pomogłyby mi do objęcia posady sekretarza Stowarzyszenia Abstynentów lub posady oficjalnego trubadura jakiejś wielkopańako–demokratycznej instytucji, w rodzaju np. rady hrabstwa Londynu. Powyższą prozaiczną uwagę zapisuję tu jedynie po to, aby dowieść zasadniczej trzeźwości mego sądu o sprawach tego świata. Zależy mi na tym stwierdzeniu, ponieważ przed paru laty, gdy jedna z mych nowel ukazała się we frankfurckim przekładzie, pewien krytyk paryski — jestem prawie pewien, że to był pan Gustave Kami w „Gil Blasie” — poświęcił mi krótką notatkę i streścił swoje wrażenie o autorze w słowach „*un puissant rêveur*”¹⁴. Niech i tak będzie! Któżby się sprzeczał ze słowami życzliwego czytelnika? Ale może nie jestem takim już bezwzględny marzycielem. Pozwolę sobie stwierdzić, że ani na morzu, ani na lądzie nie straciłem nigdy poczucia odpowiedzialności. Są różne rodzaje upojenia. Nawet wśród najbardziej kuszących

14 wielki marzyciel (fr.)

marzeń nie opuszczała mnie nigdy ta wewnętrzna trzeźwość, ten uczuciowy ascetyzm, w którym jedynie można wyrazić bez wstydu nagi kształt prawdy, takiej, jaką się rozumie, takiej, jaką się czuje. Prawda, wydobyta na jaw przez wino, może brzmieć tylko ckliwie i nieprzystojnie. Usiłowałem być trzeźwym pracownikiem przez całe życie — przez oba moje życia. Postępowałem tak oczywiście w zgodzie z własnymi skłonnościami, mając wrodzony wstręt do utraty pełnej władzy nad sobą, ale także i z artystycznego przekonania. Lecz tyle wilczych dołów czyha z obu stron właściwej ścieżki, że uszedłszy kawał drogi, czuję się nieco poturbowany i znużony, jak podróżnik w średnich latach po uciążliwym całodziennym marszu, i pytam się siebie, czy zawsze, zawsze byłem wierny tej trzeźwości, w której jest siła i prawda, i spokój.

Co się tyczy mej trzeźwości na morzu, została stwierdzona przez własnoręczne podpisy kilku godnych zaufania kapitanów dość znanych swego czasu. Zdaje mi się, że słyszę uprzejmy szept: „To się przecież samo przez się rozumie.” A tymczasem nie. To się wcale samo przez się nie rozumie. Dla tego wzniosłego akademickiego ciała, jakim, jest wydział marynarki przy Ministerstwie Handlu i Przemysłu, nic się „samo przez się nie rozumie”, gdy chodzi o wydawanie dyplomów. Według praw tego wydziału, zawartych w pierwszym statucie marynarki handlowej, słowo TRZEŹWY musi figurować w świadectwie, gdyż inaczej nie pomogą całe wory, tony, góry najbardziej entuzjastycznych pochwał. Drzwi egzaminacyjnego pokoju pozostaną zamknięte mimo lez i błagań. Największy fanatyk spośród zwolenników abstynencji nie mógłby być bardziej bezlitosny i nieubłagany niż wydział marynarki przy Ministerstwie Handlu i Przemysłu. Ponieważ w różnych czasach zetknąłem się z wszystkimi współczesnymi mi egzaminatorami londyńskiego portu, siła i ciągłość mej wstrzemięźliwości nie może być podana w wątpliwość. Trzej egzaminowali z praktyki morskiej i los zrzucił, że dostawałem się w ręce każdego z nich w odpowiednich odstępach czasu podczas mej służby na morzu. Pierwszy, wysoki, szczupły, o bielusińskiej głowie i wąsach, spokojnym, uprzejmym obejściu i dobrotliwym, inteligentnym wyrazie twarzy, najwidoczniej uprzedził się do mnie wskutek jakiegoś szczegółu w mej powierzchowności. Jego starcze, wychudłe ręce spoczywały, splecione luźno na skrzyżowanych kolanach, gdy zadał mi łagodnym głosem pierwsze elementarne pytanie, po czym ciągnął dalej i dalej... Trwało to godziny za godzinami. Gdybym był dziwnym mikroblem, mogącym wyrządzić śmiertelne szkody marynarce handlowej, to i wtedy nie poddano by mnie bardziej mikroskopijnemu badaniu. Z początku odpowiadałem rażno, uspokojony pozorną życzliwością egzaminatora, ale w końcu wydało mi się, że mózg

zupełnie mi wyjałowia! A spokojne pytania następowały jedno po drugim, narzucając mi wrażenie, że niezliczone wieki już upłynęły na samych kwestiach wstępnych. Potem strach mnie ogarnął. Nie bałem się, że się wsypię; ta możliwość nie przyszła mi nawet do głowy. Chodziło o rzecz niesamowitą i daleko bardziej poważną. „Ten zgrzybiały starzec — mówiłem do siebie z przerażeniem — tak bliski jest śmierci, że stracił widać wszelkie poczucie czasu. Zapatruje się na ten egzamin z punktu widzenia wieczności. Bardzo to pięknie dla niego. Dobiega już mety. Ale gdy ja wyjdę z tego pokoju, poczuję się obcy na świecie, pozbawiony przyjaciół, zapomniany nawet przez moją gospodynię — jeśli po tym nieskończenie długim przeżyciu będę w stanie przypomnieć sobie drogę do pensjonatu.” W tym jest daleko więcej prawdy, niżby się zdawało. Bardzo dziwaczne myśli przesuwały mi się przez głowę, gdy rozmyślałem nad odpowiedziami; myśli nie mające nic wspólnego z, praktyką morską ani w ogóle z czymkolwiek rozsądnym. Zdaje mi się naprawdę, że chwilami ogarniało mnie coś w rodzaju spokojnego szału. Wreszcie zapadła cisza, która także zdawała się trwać wieki, a tymczasem mój egzaminator, pochylony nad biurkiem, wypisywał z wolna świadectwo, wodząc bezszelestnie piórem po papierze. Bez słowa wyciągnął do mnie kartkę i skłonił poważnie białą głowę w odpowiedzi na mój pożegnamy ukłon...

Wychodząc z pokoju byłem zwiotczały jak wyciśnięta cytryna, a odźwierny w swej szklanej klatce, gdzie się zatrzymałem, aby dać mu szylinga i wziąć kapelusz, rzekł:

— No, myślałem, że pan już nigdy stamtąd nie wyjdzie.

— Jak długo tam byłem? — zapytałem słabym głosem.

Wyciągnął zegarek.

— Trzymał pana prawie całe trzy godziny. To się chyba jeszcze nie zdarzyło żadnemu z panów.

Dopiero gdy opuściłem ten gmach, skrzydła mi wyrosły u ramion. A ponieważ ludzkie zwierzę niechętnie jest zmianom i lęka się nieznanego, powiedziałem sobie, że nie miałbym doprawdy nic przeciw temu, aby na przyszły raz ten sam człowiek mnie egzaminował. Ale gdy nadszedł czas próby, odźwierny wpuścił mnie do innego pokoju ze znajomymi mi już sprzętami, modelami statków i takielunku, tablicą do sygnałów na ścianie i wielkim, długim stołem pokrytym formularzami, zaopatrzonym u jednego końca w nagi maszt. Człowieka rezydującego w tym pokoju nie znałem z widzenia, choć znałem go z reputacji — po prostu straszliwej. Niski i krępy, o ile mogłem sądzić, odziany w starą, brunatną marynarkę, siedział oparty na łokciu, oceniając ręką oczy, zwrócone profilem do krzesła, na którym miałem zasiąść po drugiej stronie stołu. Był

nieruchomy, tajemniczy, odległy, zagadkowy; z jego pozy przebijał pewien smutek — jak ze statui Giuliane (zdaje mi się) de Medici — który zasłania ręką oczy na grobowcu dłuta Michała Anioła — choć oczywiście memu egzaminatorowi daleko było do piękności. Zaczął od tego, że usiłował mnie wyciągnąć na gadanie głupstw. Lecz uprzedzono mnie o owym szatańskim rysiu i zaprzeczałem z wielką pewnością siebie. Po chwili tego zaniechał. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Ale jego bezruch, gruby łokieć oparty o stół, urywany, zgnębiony głos, zakryta i odwrócona twarz — wszystko to wywierało na mnie coraz większe wrażenie. Przez chwilę milczał zagadkowo, a potem umieścił mnie na statku takiej to a takiej wyporności, na morzu, wśród takich to a takich warunków pogody, pory roku, miejsca itd., itd., określonych bardzo jasno i ściśle, i kazał mi wykonać pewien manewr. Zanim sobie jeszcze z tym poradziłem, wyrządził statkowi jakąś szkodę. Gdy tylko wywikłałem się z trudności, wyjechał z drugą, a kiedy i ta została usunięta, wsadził inny statek przede mną, stwarzając bardzo niebezpieczną sytuację. Byłem z lekka oburzony na tę pomysłowość w przysparzaniu człowiekowi kłopotu.

— Nie byłbym się w to wpakował — odrzekłem łagodnie. — Dostrzegłbym wcześniej ten statek.

Nawet nie drgnął.

— Nie. Nie mógłby pan. Mgła.

— Ach tak! Nie wiedziałem — odrzekłem zaskoczony.

Zdaje się, że mimo wszystko zdołałem uniknąć zderzenia z dostatecznym prawdopodobieństwem, i ten okropny egzamin ciągnął się dalej. Trzeba wiedzieć, że próba, której mnie poddawał, dotyczyła, jak się domyślałem, powrotnej podróży, której nie życzę najgorszemu wrogowi. Urojony statek zdawał się dźwigać na sobie jakieś bardzo rozległe przekleństwo. Nie warto się rozwodzić nad tą powodzią nieszczęść, dosyć powiedzieć, że na długo przed końcem próby byłbym powitał z wdzięcznością możliwość przemiany w Latającego Holendra. W końcu egzaminator umieścił mnie na Morzu Północnym (jak sądzę) i wtrynił mi od strony podwietrznej brzeg otoczony ławicami piasku — prawdopodobnie holenderski. Odległość — osiem mil. Ta jawna, nieubłagana wrogość pozbawiła mnie mowy na całe pół minuty.

— No i co? — rzekł, gdyż dotychczas wszystko szło bardzo gładko.

— Muszę się trochę zastanowić, panie kapitanie.

— Nie zdaje mi się, aby pan miał wiele czasu do namysłu — mruknął szyderczo spod ręki.

— Tak, zapewne — odrzekłem dość żywo. — Ale musiałbym mieć przed sobą realny statek. Tu tyle wypadków już się zdarzyło, że nie pamiętam doprawdy, czym mogę jeszcze rozporządzać.

Siedział wciąż na wpół odwrócony z zasłoniętymi oczami, gdy nagle posłyszałem mrukliwą uwagę:

— Bardzo dobrze pan się spisuje.

— Czy mam obie kotwice na dziobie, panie kapitanie? — zapytałem.

— Tak.

Postanowiłem więc, jako ostatni ratunek dla statku, spuścić je obie w sposób możliwie najskuteczniejszy, kiedy diabelski system egzaminatora znów się odezwał, doświadczając mej pomysłowości.

— Ale jest tylko jedna lina. Drugą pan stracił.

To było oburzające.

— Więc uwiązałbym kotwice jedną pod drugą, gdyby się dało, i przed ich spuszczeniem dosztukowałbym do łańcucha najmocniejszą z lin na statku; a jeśliby pękła, co jest bardzo prawdopodobne, nic bym już nie robił. Statek musiałby przepaść.

— Nic by pan już nie robił, co?

— Tak, panie kapitanie. Nic więcej nie mógłbym zrobić.

Zaśmiał się gorzko.

— W każdym razie mógłby pan zmówić pacierz.

Wstał, przeciągnął się i ziewnął z lekka. Miał twarz bladą, szeroką i nieprzyjemną. Zadał mi jeszcze kwaśnym, znudzonym tonem zwykle pytania co do świateł i sygnałów, po czym wymknąłem się z pokoju pełen wdzięczności — zdałem! Czterdzieści minut! I znowu wyrosły mi skrzydła u ramion na Tower Hill, gdzie tylu ludzi utraciło głowy, ponieważ, jak sądzę, brakowało im pomysłowości, aby się ocalić. A w głębi serca nie miałem nic przeciw temu, aby spotkać się jeszcze raz z tym samym egzaminatorem, kiedy trzecia i ostatnia próba nastąpi za rok mniej więcej. Miałem nawet nadzieję, że się z nim spotkam. Znałem już jego złe strony, a czterdzieści minut to czas wcale przyzwoity. Tak, miałem doprawdy nadzieję...

Ale nic z tego. Kiedy się zgłosiłem, aby złożyć egzamin na kapitana, przyjął mnie człowiek krępy, zażywny, o twarzy okrągłej i łagodnej, o siwych, puszystych bokobrodach i świeżych wyrazistych ustach. Zabrał się do rzeczy życzliwie:

— No zobaczymy. Hm. A gdyby mi pan powiedział wszystko, co pan wie o umowach przy wydzierżawianiu statków? — Utrzymał się przez cały czas w tym

stylu, robiąc w kształcie komentarzy wypadły we własne życie, po czym znów brał się w kluby i wracał do zasadniczego przedmiotu. Bardzo to było zajmujące.

— Jak pan sobie wyobraża ster prowizoryczny? — spytał nagle przy końcu pouczającej anegdoty na temat brania ładunku.

Uprzedziłem go, że nigdy mi się nie zdarzyło stracić steru na morzu, i dałem mu dwa klasyczne przykłady z podręcznika. Opisał mi w zamian ster prowizoryczny, który sam wymyślił przed laty, kiedy dowodził parowcem o wyporności trzech tysięcy ton. Stwierdzam, że był to najpomysłowszy wynalazek, jaki sobie można wyobrazić.

— Może się panu kiedyś przydać — zakończył. — Przejdzie pan wkrótce na parowce. Każdy się teraz przerzuca na parowce.

W tym się mylił. Nie przeszedłem nigdy na parowce — nie przeszedłem na stałe. Jeśli tylko dość długo pożyję, stanę się dziwną relikwią nie istniejącego już barbarzyństwa, czymś w rodzaju potwornego antyku, jako jedyny marynarz zamierchłej epoki, który nigdy nie przeszedł na parowce — nie przeszedł na stałe.

Mój egzaminator opowiedział jeszcze kilka zajmujących szczegółów o morskich dostawach czasu wojny krymskiej.

— Właśnie wówczas zaczęto ogólnie używać stalowego osprzętu — zauważył. — Byłem wtedy bardzo młodym kapitanem. Działo się to, kiedy jeszcze pana na świecie nie było.

— Tak, panie kapitanie. Urodziłem się w 1857 r.

— Rok buntu — rzekł jakby do siebie, dodając głośniejszym głosem, że jego statek, wydzierzawiony rządowi, znajdował się właśnie wtedy w Zatoce Bengalskiej.

Widocznie służba transportowa wyszkoliła mego egzaminatora. Pozwolił mi niespodzianie wejrzeć w swą egzystencję i obudził we mnie poczucie ciągłości morskiego życia, do którego wkroczyłem z zewnątrz; wprowadził ludzką poufalość w mechanizm urzędowych stosunków. Poczulem, że jestem zaadoptowany. Jego doświadczenie służyło także i mnie, jakby był moim przodkiem.

Zauważył, pisząc pilnie i starannie na kartce niebieskiego papieru moje długie nazwisko (dwanaście liter):

— Pan pochodzi z Polski.

— Tak, panie kapitanie, tam się urodziłem.

Położył pióro i rozparł się w fotelu, patrząc na mnie jak gdyby po raz pierwszy.

— Zdaje mi się, że niewielu z pana rodaków u nas służy. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek spotkał Polaka w ciągu mej służby lub potem. Chyba nawet nigdy o

żadnym nie słyszałem. Jesteście narodem lądowym, prawda?

Odrzekłem, że tak — i to nawet wybitnie. Oddziela nas od morza nie tylko położenie, ale również i brak choćby pośrednich z morzem stosunków, ponieważ nie jesteśmy bynajmniej narodem handlowym, tylko czysto rolniczym. Na to kapitan zrobił dziwną uwagę, że miałem „daleką drogę do przebycia, aby się dostać na morze” — jakby życie na morzu nie było właśnie życiem, w którym odchodzi się bardzo daleko od domu. Odrzekłem z uśmiechem, że mogłem bez wątpienia znaleźć okręt znacznie bliżej mych stron rodzinnych, ale pomyślałem sobie, że jeśli mam być marynarzem, to tylko brytyjskim. Była to kwestia rozważnego wyboru.

Skinął z lekka głową; a ponieważ patrzył na mnie wciąż pytająco, mówiłem dalej, wyznając, że po drodze do brytyjskiej marynarki byłem przez krótki czas na Morzu Śródziemnym i w Indiach Zachodnich. Nie chciałem się znaleźć w brytyjskiej marynarce handlowej jako zupełny nowicjusz. Po co mu było mówić o wyjątkowej sile mego tajemniczego powołania, o tym, że już za najmłodszych lat musiałem się wyszumieć na morzu? Była to ścisła prawda, ale nie zrozumiałby pewnie tej dość wyjątkowej psychologii, która mnie na morze pchnęła.

— Chyba nie spotkał się pan nigdy na statku z rodakiem, prawda?

Potwierdziłem, że tak było istotnie. Nastrój leniwej gawędy ogarnął mego egzaminatora. Co do mnie, nie śpieszyło mi się wcale, aby opuścić ten pokój. Ani trochę. Okres egzaminów przeminął. Nie zobaczę już nigdy tego życzliwego człowieka, który był mym przodkiem w zawodzie, czymś na kształt dziadka w zakresie powołania. Zresztą musiałem czekać, póki mnie nie odprawi, a na to się nie zanosilo. Siedział w milczeniu, patrząc wciąż na mnie, a ja dodałem:

— Ale przed kilku laty mówiono mi o pewnym rodaku marynarzu. O ile się nie mylę, był to chłopiec służący swego czasu na statku z Liverpoolu.

— Jak się nazywał?

Powiedziałem mu nazwisko.

— Jak pan mówi? — zapytał i zmrużył oczy, wsłuchując się w te dziwaczne dźwięki.

Powtórzyłem nazwisko bardzo wyraźnie.

— Jak się to pisze?

Powiedziałem mu, litera za literą. Pokręcił głową nad niemożliwymi trudnościami tego nazwiska i zauważył:

— Zupełnie takie długie jak pańskie, prawda? Nie śpieszyło mi się wcale. Zdałem

już egzamin na kapitana i całe życie na mnie czekało, abym zrobił zeń jak najlepszy użytek. Uważałem, że mam mnóstwo czasu przed sobą. Zliczyłem powoli litery w pamięci i rzekłem:

— Niezupełnie. Jest krótsze o dwie litery, panie kapitanie.

— Doprawdy? — Egzaminator posunął ku mnie poprzez stół podpisaną przez siebie niebieską kartkę i wstał z krzesła. To zakończenie naszych stosunków wydało mi się bardzo nagle; było mi prawie przykro rozstawać się z tym zacnym człowiekiem, który był kapitanem statku, zanim jeszcze szept morza dosięgnął mojej kołyski. Podał mi rękę i życzył szczęścia. Odprowadził mnie nawet do drzwi parę kroków i na zakończenie udzielił dobrotliwej rady:

— Nie wiem, co pan zamierza, ale powinien się pan przerwucić na parowce. To jest właśnie odpowiedni czas, kiedy się zdobędzie dyplom kapitana. Gdybym był panem, przerwuciłbym się na parowce.

Podziękowałem mu i zamknąłem za sobą drzwi, zostawiając ostatecznie za sobą erę egzaminów. Ale nie wyrosły mi skrzydła u ramion jak za pierwszym i drugim razem. Szedłem spokojnym krokiem po wzgórze, gdzie tylu ludziom ścięto głowę. Stało się — mówiłem sobie — jestem kapitanem marynarki brytyjskiej. Nie znaczy to, abym przypisywał przesadne znaczenie temu bardzo skromnemu rezultatowi, który jednak nie był owocem ani szczęśliwego zbiegu okoliczności, ani zewnętrznych wpływów. Ów fakt, dodatni i skromny sam przez się, miał dla mnie pewne abstrakcyjne znaczenie. Był odpowiedzią na wypowiedane głośno wątpliwości, a nawet na przykre oszczerstwa. Usprawiedliwiłem się z tego, co mi wyrzucano jako głupi upór lub fantastyczny kaprys. Nie chcę przez to powiedzieć, aby cały kraj przewrócił się do góry nogami, ponieważ postanowiłem zostać marynarzem. Ale chłopcu niespełna lat szesnastu, i to wybitnie wrażliwemu, wstrząs jego małego świata wydał się naprawdę bardzo wielkim wydarzeniem. Tak wielkim, że w niepojęty sposób echa jego sięgają aż do dnia dzisiejszego. W chwilach samotnych rozmyślań chwytam się nieraz na odpieraniu argumentów i zarzutów, wypowiedzianych przed trzydziestu pięciu laty przez głosy umilkłe na zawsze; znajduję odpowiedzi, których napastowany chłopiec nie mógł znaleźć po prostu dlatego, że sam siebie nie rozumiał. Moje powołanie było dla mnie równie tajemnicze jak dla tych, co żądali, abym im siebie wytłumaczył. Wypadek tego rodzaju zaszedł chyba po raz pierwszy. Zdaje mi się doprawdy, że nigdy się nie przytrafiło, aby chłopiec me; narodowości i mych tradycji zerwał tak stanowczo ze swym otoczeniem i stosunkami. Bo trzeba zrozumieć, że w moim powołaniu nie było ani

ślądu myśli o „karierze”. Wstąpienie do marynarki rosyjskiej lub niemieckiej nie mogło w ogóle wchodzić w rachubę. Uniemożliwiały to moja narodowość i moje tradycje. Niechęć do służby w marynarce austriackiej nie była tak silna i sądzę, że pozwolono by mi wówczas wstąpić do szkoły marynarskiej w Poli. Pociągnęłoby to za sobą kucie niemieckiego przez sześć miesięcy, ale nie przekroczyłem jeszcze wtedy wieku przyjęcia, a pod innymi względami odpowiadałem żądanym warunkom. Ów projekt został wysunięty, aby złagodzić moje szaleństwo, lecz nie chciałem o nim słyszeć. Muszę przyznać, że w tym wypadku uczucia moje były zupełnie zrozumiałe nawet dla mych najsurowszych krytyków. Nie żądano, abym się z tego tłumaczył; ja zaś nie miałem na myśli kariery marynarza, lecz morze. Zdawało się, że droga prowadzi do niego tylko przez Francję. W każdym razie znałem język, a ze wszystkich krajów w Europie Francja jest tym, z którym Polska ma najwięcej wspólnego. Istniała możliwość, że otoczą mnie tam z początku opieką. Rozpisano listy, na które nadeszły odpowiedzi, i przygotowano mój wyjazd do Marsylii, gdzie zacny jegomość nazwiskiem Solary (do którego dostano się drogą okrężną przez różne francuskie znajomości) obiecał dobrodusznie, iż pomoże temu *jeune homme*¹⁵ dostać się na przyzwoity statek, jeśli doprawdy chce mu się zakosztować tego *métier de chien*¹⁶.

Patrzyłem z wdzięcznością na wszystkie przygotowania i nie zdradzałem się ze swymi myślami. Ale to, co powiedziałem ostatniemu ze swych egzaminatorów, było ścisłą prawdą. Stanowcze postanowienie, że „jeśli mam być marynarzem, to tylko angielskim”, tkwiło już we mnie, sformułowane oczywiście po polsku. Nie umiałem nawet sześciu słów po angielsku i dość byłem przebiegły, aby zrozumieć, że lepiej nic o swym zamiarze nie mówić. Już i tak uważano mnie za trochę pomyłonego, przynajmniej dalsi znajomi byli tego zdania. Trzeba było przede wszystkim wyjechać. Pokładałem wszystkie nadzieje w liście dobrodusznego Solary do mego wuja — liście bardzo uprzejmym — choć zgorszyło mnie trochę zdanie o *métier de chien*.

Ten Solary (Baptistin) okazał się, gdy go zobaczyłem na własne oczy, zupełnie młodym człowiekiem, bardzo przystojnym, o pięknej czarnej bródce, krótko przystrzyżonej, świeżej cerze i łagodnych, wesołych czarnych oczach. Był tak pełen humoru i dobroduszności, jak tylko można było sobie życzyć. Spałem jeszcze w skromnym hotelu blisko bulwaru starego portu, zmęczony podróżą via Wiedeń, Zurich, Lyon, gdy wpadł do mego pokoju i otworzył jednym pchnięciem okiennice na słońce

15 młodemu człowiekowi (fr.)

16 psiego zawodu (fr.)

Prowansji, lając mnie gwałtownie za wylegiwanie się w łóżku. Jakże miło mnie zaskoczyły jego hałaśliwe wymysły i nakaz, abym wstał i wybrał się natychmiast w „trzyletnią podróż po morzach południowych”. O magiczne słowa! *Une campagne de trois d.n.s dans les mers du sud* — tak brzmi po francusku określenie trzyletniej wyprawy na dalekie wody.

To przebudzenie było rozkoszne, a życzliwość Solary’ego niewyczerpana; lecz sądzę, że w poszukiwaniu dla mnie statku nie okazał należytego przejęcia. Służył sam na morzu, ale rzucił je w wieku lat dwudziestu pięciu, przekonawszy się, że na lądzie będzie zarabiał w sposób daleko przyjemniejszy. Był spokrewniony z niewiarogodną liczbą porządných i zamożnych rodzin marsylskich. Jeden z jego wujów, ceniony makler okrętowy, miał bardzo duże stosunki na angielskich statkach; inni krewni Solary’ego zajmowali się zaopatrywaniem statków, sprzedają łańcuchów i kotwic, a także żaglowego płótna; pracowali jako uszczelniacze statków, specjaliści od ładowania, cieśle okrętowi. Zdaje mi się, że jego dziadek był swego rodzaju dygnitarzem — prezesem pilotów. Poznałem wielu z tych ludzi, przede wszystkim pilotów. Pierwszego dnia, który spędziłem całkowicie na słonej wodzie, byłem ich gościem w wielkiej półkrytej łodzi, która pod mocno skróconymi żaglami krążyła w mglistą, wietrzną pogodę, wypatrując okrętowych żagli oraz dymu parowców za smukłą, wysoką latarnią morską Planter, przecinającą białą prostopadłą kresą horyzont omiatany wiatrami. Byli to ludzie gościnni, ci krzepcy prowansalscy marynarze. Pod ogólną nazwą *le petit ami de Baptistin* stałem się gościem Stowarzyszenia Pilotów i mogłem korzystać z ich łodzi dniem i nocą. Wiele dni, a także i nocy spędziłem na morzu w towarzystwie tych prostych, życzliwych ludzi, pod których opieką zaczęła się moja zażyłość z morzem. Nie raz i nie dwa uczciwie ich ręce zarzucały płaszcz z kapturem — zwykle odzienie śródziemnomorskich żeglarzy — na plecy „małego przyjaciela Baptistina”, gdyśmy blakali się nocą u brzegów Chateau d’If, wypatrując okrętowych świateł. Oblicza tych ludzi, schłostane przez wiatr i morze, pochylały się nad mym morskim niemowlęctwem — oblicza brodate lub ogolone, okrągłe lub chude, o bacznych, otoczonych zmarszczkami oczach właściwych pilotom, niekiedy z cienkim złotym kółkiem we włochatym uchu. Pierwszą żeglarską czynnością, którą miałem sposobność obserwować, było przybijanie ich łodzi do statków na morzu o każdej godzinie i przy wszelkiej możliwej pogodzie. Moi gospodarze dali mi się tego napatrzeć do syta. I nieraz też zapraszali mnie do wysokich, ciemnych domów starego miasta, gdzie zasiadałem u gościnnego stołu: żony pilotów, kobiety o piskliwych głosach i szerokich czołach, nakładały mi *bouillobaisse* na talerz z grubego fajansu, ja

zaś rozmawiałem z ich córkami — krępyimi dziewczętami o czystych profilach, ciemnych oczach, olśniewająco białych zębach i wspaniałej gęstwie czarnych włosów ułożonych w skomplikowaną koafiurę.

Nawiązałem także stosunki innego rodzaju. Jedna z moich znajomych, pani Delestang, imponująca, posągowa piękność, zabierała mnie niekiedy do Prado na przedniej ławeczce powozu, w godzinach spacerowych eleganckiego towarzystwa. Pochodziła z południowej arystokracji. Jej wyniosłość i jak gdyby znużenie przypominały mi Lady Dedlock z *Domu na pustkowiu* Dickensa, książki mistrza, dla której mam od dzieciństwa taki podziw, a raczej tak głębokie i niewyrozumowane uczucie, że nawet jej słabe miejsca są mi droższe niż doskonałość w dziełach innych ludzi. Czytałem *Dom na pustkowiu* niezliczoną ilość razy, po polsku, po angielsku, ostatni raz całkiem niedawno, i przez dość zrozumiałą inwersję Lady Dedlock z książki przypominała mi bardzo panią Delestang.

Jej mąż (siedziałem naprzeciw nich obojga) o cienkim, kościstym nosie i włoskiej, zupełnie bezkrwistej twarzy, jakby ujętej w klamry krótkich, klasycznych faworytów, nie miał w sobie nie ze wspaniałego wyglądu i uroczystej dworności Sir Leicester Dedlocka. Należał tylko do *haute bourgeoisie* i był bankierem, u którego otwarto mi skromny kredyt. Poza tym był takim zapalonym — nie, takim lodowatym, zakamieniałym rojalistą, że w potocznej mowie używał zwrotów współczesnych, powiedzmy, dobremu królowi Henri Quatre; a kiedy mówił o sprawach pieniężnych, rachował nie we frankach, jak pospolita, bezbożna horda porewolucyjnych Francuzów, lecz w przestarzałych i zapomnianych écus — trudno to sobie wyobrazić — jakby Louis Quatorze przechadzał się jeszcze po wersalskich ogrodach w królewskiej swej wspaniałości, a Monsieur de Colbert kierował sprawami marynarki. Musicie przyznać, że jak na bankiera dziewiętnastego stulecia była to dość urocza idiosynkrazja. Na szczęście w banku (zajmującym parter miejskiej rezydencji Delestangów na cichej, zacienionej ulicy) prowadzono rachunki w nowożytnej monecie, tak że bez żadnej trudności porozumiewałem się z poważnymi i pełnymi godności urzędnikami o przyciszonych głosach, legitymistami (przypuszczalnie); siedzieli za grubą kratą okien w wiecznym półmroku przy ciemnych, starodawnych pulpitych, pod wyniosłymi sufitami opartymi o ciężkie gzymsy. Wychodząc stamtąd, miałem zawsze wrażenie, że opuszczam świątynię jakiegoś bardzo poważnego, lecz na wskroś świeckiego kultu. I zwykle przy tej właśnie okazji spotykałem w wielkiej bramie wjazdowej siedzącą w powozie Lady Ded... chciałem powiedzieć Madame Delestang; spostrzegłszy mój podniesiony kapelus,

kiwała na mnie uprzejmie nakazującym ruchem, mówiąc z wesołą nonszalancją: „Venez done faire un tour avec nous”¹⁷ — mąż jej zaś zachęcał mnie słowami: „*C’est ca. Allons, montez, jeune liomme.*”¹⁸ Wypytywał mnie niekiedy znacząco — lecz z wielkim taktem i delikatnością — jak spędzam czas i nigdy nie zapominał wyrazić nadziei, że pisuję regularnie do mego „szanownego wuja”. Nie tailem bynajmniej, jak spędzam czas, i mam wrażenie, że moje naiwne opowiadania o pilotach i tym podobnych historiach bawiły Madame Delestang, o ile ta nieporównana kobieta mogła znajdować rozrywkę w paplaninie młokosa, bardzo przejętego nowymi przeżyciami wśród dziwnych ludzi i dziwnych warunków. Madame Delestang nie wyrażała nigdy swego zdania i mówiła bardzo mało, a jednak portret jej wisi w galerii mych poufnych wspomnień ze względu na pewien krótki, przelotny epizod. Pewnego dnia, gdy wysiadłem na rogu jakiejś ulicy, podała mi rękę i przytrzymała na chwilę moją dłoń w lekkim uścisku. Jej mąż siedział bez ruchu, patrząc prosto przed siebie, a ona pochyliła się naprzód i rzekła z leciutkim odcieniem przestrogi w swobodnym tonie: „*Il faut cependant faire attention a ne pas gater sa vie.*”¹⁹ Nigdy przedtem nie widziałem jej twarzy tak blisko. Serce mi załopotalo; byłem potem zamyślony przez cały wieczór. No tak, właściwie trzeba uważać, aby nie popsuć sobie życia. Ale Madame Delestang nie mogła wiedzieć — nikt nie mógł wiedzieć — jak dalece niebezpieczeństwo to uważałem za wykluczone.

17 Niech pan się przejedzie z nami. (fr.)

18 Właśnie. Niech pan wsiada, młody człowieku, (fr.)

19 Należy uważać, aby nie zmarnować życia, (fr.)

VII

Czy uniesienie pierwszej miłości można uspokoić, okiełzać, przemienić w zimną podejrzliwość za pomocą poważnego cytatu z dzieła o ekonomii politycznej? Pytam, czy to jest do pomyślenia? Czy to jest możliwe? Czyby to było słuszne? W chwili gdy stanąłem nad samym morzem, gdy miałem objąć ramionami swe modrookie marzenie, cóż mogła znaczyć dla mej młodzieńczej namiętności życzliwa przestroga, aby nie zmarnować życia? Było to najbardziej nieoczekiwane, a także i ostatnie z ostrzeżeń, jakich mi udzielono. Wypowiedziane w obliczu mej czarodziejki, wydało mi się bardzo dziwaczne — wydało mi się głosem ignorancji i głupoty. Ale nie byłem tak zatwardziały ani ograniczony, aby nie rozpoznać w owej przestrodze głosu dobroci. A przy tym sama mglistość ostrzeżenia — bo cóż może oznaczać zdanie: nie zmarnować życia? — przykuwała uwagę pozorem głębokiej mądrości. W każdym razie, jak już wspomniałem, słowa *de la belle Madame Delestang* dały mi do myślenia na cały jeden wieczór. Usiłowałem je zrozumieć, ale na próżno, gdyż nie pojmowałem życia jako przedsięwzięcia, które można źle poprowadzić. Lecz na krótko przed północą dałem pokój rozmyślaniom; nie nawiedzany przez żadne duchy przeszłości ani wizje tego, co miało nastąpić, szedłem o tej właśnie godzinie bulwarem wzdłuż Vieux Port do łodzi moich przyjaciół pilotów. Wiedziałem, gdzie łódź ma oczekiwać swojej załogi: na małym odcinku kanału za fortem, u wejścia do przystani. Puste nabrzeża były bardzo białe i suche w świetle księżyca, jakby ścięte mrozem w ostrym powietrzu tej grudniowej nocy. Paru włóczęgów wyminęło mnie bez szmeru; strażnik urzędu celnego podobny do żołnierza, z mieczem u boku, kroczył z wolna pod bukszprytami długiego rzędu okrętów, przycumowanych dziobem na wprost długiej, z lekka wygiętej, jednolitej ściany wysokich domów, które wyglądały jak jeden olbrzymi, opustoszały budynek o niezliczonych oknach, zasłoniętych szczelnie żaluzjami. Tylko gdzieniegdzie obskurna kawiarenka dla marynarzy rzuciła żółte błyski na niebieskawe lśnienie fliz. Przechodząc słyszało się wewnątrz pomruk głosów — nic więcej. Cóż za spokój panował na krańcu bulwarów w ową noc, kiedy szedłem po raz ostatni na służbową morską wyprawę jako gość marsylskich pilotów! Nie było słyhać żadnych kroków prócz moich, żadnego westchnienia, żadnego echa hulanki odbywających się zwykle w wąziutkich zakazanych uliczkach starego miasta — i nagle z przerażającym brzękiem, grzechotem żelastwa i szkła ostatni omnibus z Joliette wyłonił się zza ślepego muru, który stoi po drugiej

stronie brukowanej ulicy na wprost charakterystycznej, kanciastej masy fortu St. Jean. Trzy konie zaprzężone rzędem szły klusa, trzaskając podkowami o granitowe płyty, a żółta, hałaśliwa machina trzęsła się za nimi gwałtownie, fantastyczna, oświetlona, zupełnie pusta; furman spał najwidoczniej na chwiejącym się koźle wśród przeraźliwego hałasu. Rozplaszczylem się na ścianie i aż dech mi zaparło. Oszolomiło mnie to zupełnie. Ruszyłem chwiejnie dalej w cieniu fortu, rzucającego na kanał mrok głębszy od pochmurnej nocy; uszedłszy kilka kroków, dostrzegłem drobne światełko latarni stojącej na bulwarze i rozróżniłem okutane postacie sunące ku niej z różnych stron. To piloci z trzeciej kompanii śpieszą ku łodzi. Wstępują na pokład w milczeniu, zbyt senni, aby rozmawiać. Ale słychać ciche pochrząkiwania i jedno rozgłośnie ziewnięcie. Ktoś nawet wykrzykuje: „*Ah! Coquin de sort!*”²⁰, i wzdycha ciężko nad swym twardym losem.

Patron trzeciej kompanii (w owym czasie było — jak mi się zdaje — pięć kompanii pilotów), szwagier mego przyjaciela Solary’ego (Baptistina), to barczysty, czterdziestoletni mężczyzna o szerokiej klatce piersiowej, który patrzy bystro i szczerze zawsze prosto w oczy. Wita mnie półgłosem, serdecznym: „*Hé, l’ami! Comment va?*”²¹ Ze swymi przystrzyżonymi wąsami i masywną otwartą twarzą, energiczną, a zarazem łagodną, jest pięknym okazem południowca, o typie spokojnym. Albowiem istnieje taki typ, w którym płocha, południowa namiętność przeistacza się w solidną siłę. Patron ma włosy jasne, ale nikt by go nie wziął za człowieka północy, nawet w mętym połysku latarni stojącej na nabrzeżu. Wart jest tuzina przeciętnych Normandczyków czy Bretonów, a w całym olbrzymim zasięgu śródziemnomorskich wybrzeży nie znajdzie się pół tuzina ludzi jego pokroju.

Stojąc przy sterze, wyciąga zegarek spod grubej kurtki i schyla nad nim głowę w świetle padającym od latarni. Już czas. Jego miły głos wydaje spokojnie cichy rozkaz: „*Larguez!*”²² Wysunięte nagle ramię porywa latarnię z nabrzeża i wielka, półkryta łódź pełna ludzi wysuwa się z głuchego, czarnego cienia fortu, pociągnięta z początku przez linę, a potem pędzona równomiernymi uderzeniami czterech mocnych wiosel. Otwarta woda avant-portu błyszczy pod księżycem jak usiana milionami cekinów, długi, biały falochron połyskuje niby gruba sztaba srebra. Z krótkim zgrzytem bloków i jednym jedynym jedwabnym szelestem żagiel wypełnia się lekką bryzą tak ostrą, jakby splywała wprost z zamarzniętego księżyca; tymczasem ustał stukot wciąganych wiosel i łódź, zda

20 Podły los! (fr.)

21 Jak się masz, przyjacielu? (fr.)

22 Luzuj! (fr.)

się, stoi na miejscu, otoczona tajemniczym szeptem, cichym i nieziemskim, niby szmerem świetlistych promieni, rozbijających się jak gwałtowna ulewa o morze — twarde, gładkie, bez cienia.

Pamiętam dobrze tę ostatnią noc spędzoną z pilotami trzeciej kompanii. Poznałem później czar księżycowego światła na różnych morzach i wybrzeżach — pokrytych lasem, skalistych, usianych piaszczystymi diunami — ale nigdy nie objawił mi się w tak doskonałej i niezwykłej postaci, jakby mi pozwolono spojrzeć na rzeczy materialne od strony mistycznej. Chyba przez całe godziny nikt w łodzi nie przemówił. Piloci siedzieli w dwóch rzędach, zwrócenie twarzami do siebie. i drzemali, skrzyżowawszy ramiona, z głowami opuszczonymi na piersi. Czapki mieli najprzeróżniejsze: sukienne, wełniane, skórzane, z klapami na uszach, z chwastami, było tam parę malowniczych беретów naciągniętych na czoło; a pewien stary dziadunio o wygolonej, kościstej twarzy i wielkim, zakrzywionym nosie, miał płaszcz z kapturem, w którym wyglądał pośród nas niby mnich wieziony Bóg wie gdzie przez tę milczącą kompanię żeglarzy, nieruchomych i jakby martwych.

Palce moje tęskniły za sterem; w pewnej chwili mój przyjaciel, *le patron*, odstąpił mi go niby zaufany furman, który pozwala chłopcu trzymać lejce na łatwym kawałku drogi. Otaczała nas wielka samotność; przed nami wysepki Monte Christo i Chateau d'If zdawały się płynąć ku nam w pełnym świetle, tak gładko, tak nieuchwytnie dla oka posuwała się nasza łódka. „A trzymaj ją w bruzdzie księżycy”, mruknął do mnie spokojnie *patron*, po czym zasiadł ciężko na tylnej ławce i sięgnął po fajkę.

W czasie takiej pogody postępek pilotów znajdował się tylko o milę lub dwie na zachód od wysepek; kiedyśmy się zbliżyli do tego miejsca, łódź, którą mieliśmy zastąpić, ukazała się nagle, dążąc do domu, czarna i złowróźbna na tle księżycowego szlaku, pod skrzydłem żalobnym, gdy tymczasem nasz żagiel musiał być dla tamtych wizją bieli i promiennego olśnienia. Nie zmieniając kursu ani o włos, przesunęliśmy się obok siebie o długość wiosła. Przeciągly, ironiczny okrzyk dosięgnął! nas z powracającej łodzi. Natychmiast, niby za sprawą czaru, nasi drzemiący piloci zerwali się na nogi jak jeden mąż. Wybuchł niewiarogodny gwar kpiących okrzyków, rozległa się żartobliwa, namiętna, potoczysta wymiana drwin, która trwała, póki łodzi się nie wyminęły — ich łódź teraz cała jasna, o promiennym żaglu, gdy tymczasem my poczernieliśmy w ich oczach, oddalając się pod żalobnym skrzydłem. Ten niezwykły hałas ustał prawie równie nagle, jak wybuchł; najpierw jeden z ludzi miał tego dosyć i usiadł, potem drugi, potem trzech i czterech naraz, a kiedy wszyscy zamilkli wśród pomruków i warkliwych

pośmiejców, rozległ się serdeczny chichot, długotrwały, przez nikogo nie zauważony. To zakapturzony dziadunio bardzo się czegoś cieszył w głębi swego kaptura.

Nie przyłączył się do chóru żartów i nie poruszył wcale. Siedział spokojnie na miejscu, u stóp masztu. Mówiono mi już długo przedtem, że miał stopień marynarza drugiej klasy (*matelot léger*) we flocie, która wypłynęła z Tuluzy na zdobycie Algierii w roku pańskim 1830. I rzeczywiście oglądałem kiedyś jeden z guzików jego starego, brunatnego płaszcza całego w latach, jedyny mosiężny guzik wśród najrozmaitszych innych, płaski i cienki, z wrytymi słowami: *Equipages de ligne*. Ten rodzaj guzików skończył się — o ile wiem — wraz z ostatnim francuskim Bourbonem. „Zachowałem go z czasów mej służby w marynarce” — wyjaśnił starowina, kiwając szybko raz po raz sępią głową. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie znalazł tej relikwii na ulicy. Wyglądał tak sędziwie, że mógł być walczyć pod Trafalgarem — a przynajmniej odegrać tam drobną rolę jako chłopiec noszący proch przy obsłudze armat. Wkrótce po naszym zaznajomieniu poinformował mnie we francusko—prowansalskim żargonie, mając trzęsącymi się, bezzębnymi szczękami, że kiedy był „szkrabem, ot takim”, widział cesarza Napoleona wracającego z Elby. Było to nocą — opowiadał mętnie bez ożywienia — w miejscu między

Frejus i Antibes, w otwartym polu. Wielkie ognisko paliło się u rozstajnych dróg. Zebrała się tam ludność z kilku wsi, starzy i młodzi, aż do malutkich dzieci na rękę, ponieważ matki nie chciały zostać w domu. Wysocy żołnierze w wielkich kosmatych czapach stali w krąg, milcząc, zwrócenii twarzą do tłumu, a poważne ich twarze i wielkie wąsy utrzymywały wszystkich w przyzwoitej odległości. Ale on, jako „bezczelny mały szkrab”, przewiercił się przez tłum, podpełznął na czworakach tak blisko, jak tylko śmiał, do nóg grenadierów i zajrzawszy przez nie, spostrzegł stojącego w blasku ogniska „małego, tłustego człowieka w trójgraniastym kapeluszu — podobnego trochę do księdza — o dużej bladej twarzy przechylonej na ramię. Ręce miał splecione na plecach... Okazało się, że to był cesarz” — objaśniał starowina z lekkim westchnieniem. Mały brzdąc gapił się z ziemi, wytrzeszczając oczy ze wszystkich sił, a tymczasem jego „biedny ojciec”, który szukał wszędzie malca jak szalony, rzucił się na niego i odciągnął go stamtąd za ucho.

Ten opis wygląda rzeczywiście na wspomnienie. Dziadzia opowiadał mi to wiele razy, używając zawsze tych samych słów. Zaszczycił mnie specjalną i nieco kłopotliwą sympatią. Przeciwiństwa się stykają. Znacznie przewyższał wiekiem wszystkich członków tej kompanii, a ja znów byłem, że się tak wyrażę, jej czasowo adoptowanym

niemowlęciem. Jak dawno został pilotem, tego nikt z kompanii już nie pamiętał — trzydzieści, czterdzieści lat. Sam tego nie był pewien, ale można by to wyświetlić, jak mówił, w archiwach biura pilotów. Dawno już został spensjonowany, lecz wypływał na morze z przyzwyczajenia. Mój przyjaciel, *le patron* kompanii, zwierzył mi się raz szeptem, że „starowina jest nieszkodliwy. Wcale nam nie przeszkadza.” Traktowano go z szorstkim uszanowaniem. Ten i ów zwracał się do niego czasem z jakąś potoczną uwagą, lecz właściwie nikt się nie liczył z jego słowami. Przeżył swą siłę, swą użyteczność, nawet swą wiedzę. Nosił długie, zielone wełniane pończochy, wciągnięte na spodnie powyżej kolan, na gołej czaszce miał coś w rodzaju wełnianej szlafmicy, a na nogach drewniaki. Bez swego płaszcza z kapturem wyglądał jak wieśniak. Pół tuzina rąk wyciągało się, aby mu pomóc wejść do łodzi, lecz potem zostawiano go własnym myślom. Oczywiście nie wykonywał nigdy żadnej roboty, czasem tylko odczepiał jakąś linę, gdy zawołano do niego: „Hé, l’Ancien!²³ Odczepcie tam podnośnice, macie je pod ręką!” — albo też coś innego w tym rodzaju.

Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na chichot w cieniu kaptura. Staruszek śmiał się tak do siebie długi czas w niezmiernym rozradowaniu. Zachował widocznie niewinność duszy skłoną do uciechy. Lecz gdy wesołość jego się wyczerpała, zrobił fachową uwagę pewnym sobie choć trzęsącym się głosem:

— Nie ma co liczyć na robotę w taką noc jak dzisiejsza.

Nikt tego nie podchwycił. To było oczywiste. Skądże się spodziewać, aby jaki żaglowiec zawinął do portu w taką leniwą noc, pełną sennej wspaniałości i niezemskiego spokoju. Mieliśmy ślizgać się opieszale po wodzie tam i z powrotem, trzymając się w obrębie naszego posterunku, a o ile by silna bryza nie powiała ze świtem, wysiedlibyśmy przed wschodem słońca na małej wysepce, która o parę mil od nas jaśniała jak bryła zamrożonej księżycowej jasności; tam zamierzaliśmy pożywić się kromką chleba i pociągnąć łyk wina z butelki”. Wiedziałem z doświadczenia, jak się to odbędzie. Duża łódź opróżniona z załogi oprze się lekką kształtną burtą o samą skalę — tak idealna jest słodycz tego klasycznego morza, o ile zdarzy mu się być w łagodnym usposobieniu. Pożywiwszy się kromką chleba i pociągnąwszy łyk wina z butelki — odbywało się to dosłownie w taki sposób u tej wstrzemięźliwej rasy — piloci spędzą czas tupiąc w płyty kamieni pokryte morską solą i dmuchając w zgrabiałe palce. Paru mizantropów siądzie oddzielnie na głazach jak morskie ptactwo o ludzkiej postaci, rozmilowane w samotności; ludzie usposobieni towarzysko podzielą się na małe grupki, machając

23 Hej, stary! (fr.)

rękami i snując skandaliczne plotki, a coraz to któryś z mych gospodarzy nastawi na pusty widnokrąg długą, mosiężną tubę teleskopu, ciężką machinę o morderczym wyglądzie, wspólną własność ich wszystkich, którą będą podawali sobie wciąż z ręki do ręki, wywijając nią i celując. Potem około południa (była to krótka służba; długa trwała dwadzieścia cztery godziny) zastąpi nas inna łódź z pilotami i skierujemy się ku staremu fenickiemu portowi, nad którym góruje, którego strzeże z grzbietu jałowego wzgórza szarego jak pył wielka budowla w czerwone i białe pasy, Notre Dame de la Garde.

Wszystko odbyło się tak, jak przypuszczałem, opierając się na świeżych wspomnieniach. Ale stało się także coś nieprzewidzianego, i to właśnie sprawiło, że zapamiętałem tak dobrze ostatnią moją wyprawę z pilotami. Właśnie tego dnia moja ręka dotknęła po raz pierwszy kadłuba angielskiego okrętu.

Żadna bryza nie pojawiła się o świcie, tylko spokojny, nikły powiew nasiąkł ostrzejszym chłodem, kiedy o wschodzie słońca niebo stało się jasne i szkliste od przejrzystej, bezbarwnej światłości. Byliśmy jeszcze na brzegu wysepki, gdy przez teleskop ktoś dojrzał parowiec, czarny punkcik wyglądający jak owad, który spoczął na ostrej linii widnokregu. Statek wynurzył się szybko aż do swej linii wodnej i zbliżał się spokojnie — smukły kadłub o długim paśmie dymu, który wznosił się na ukos od wschodzącego słońca. Wsiadliśmy spiesźnie do łodzi, kierując się w stronę naszego łupu, lecz robiliśmy zaledwie trzy mile na godzinę.

Był to wielki parowiec towarowy wysokiej klasy, jakich dziś już się nie spotyka; kadłub miał czarny o niskich, białych nadbudówkach, potężny osprzęt o trzech masztach z mnóstwem rei na przednim; dwaj ludzie stali u olbrzymiego koła — parowy ster nie był jeszcze bardzo rozpowszechniony w tych czasach — a na mostku trzech inni wyglądali masywnie w ciepłych granatowych kurtach; twarze mieli czerwone, okutane po uszy, na głowie zaś spiczaste czapki. Byli to zapewne wszyscy oficerowie statku. Znałem później dobrze różne statki i spotykałem je dość często, a jednak nazwy ich wyszły mi z głowy, lecz imię tego parowca, który widziałem raz jeden przed wielu laty wśród różanej jasności zimnego, bladego wschodu słońca, utkwilo mi w pamięci na zawsze. Jakże bym mógł je zapomnieć — był to pierwszy—angielski statek, którego dotknąłem ręką! Jego imię — odczytałem je litera za literą na dziobie — brzmiało „James Westoll”. Powiecie, że to brzmi niezbyt romantycznie. Było to, jak mi się zdaje, nazwisko wielkiego armatora z północy, człowieka znanego i cieszącego się ogólnym szacunkiem. „James Westoll!” Czy porządny, ciężko pracujący statek mógł mieć lepsze imię? Sama kolejność tych liter budzi we mnie romantyczne uczucie, jakiego doznałem

w owej chwili, gdym ujrzał ten nieruchomy parowiec, któremu surowe, przeczyste światło użyczało niezrównanego uroku.

Byliśmy wówczas już bardzo blisko; pod wpływem nagłego porywu zgłosiłem się na ochotnika do czółna, które odbiło zaraz, aby odstawić pilota na pokład, a tymczasem nasza łódź, pędzona siałym powiewem towarzyszącym nam całą noc, sunęła w dalszym ciągu powoli wzdłuż czarnego połyskliwego kadłuba. Kilka uderzeń wiosła zbliżyło nas do burty i wtedy to właśnie po raz pierwszy w życiu zwrócono się do mnie po angielsku — w języku mego tajnego wyboru, mej przyszłości, mych długich przyjaźni, najgłębszych przywiązań, godzin trudu i godzin wypoczynku, a także i godzin samotnych; w języku czytanych książek, snutyh myśli, rozpamiętywania wzruszeń — i nawet snów! W języku, co kształtował tę część mojej istoty, która zniszczeniu nie ulega, a jeśli nie śmiem go uznać głośno za swój własny, jest w każdym razie językiem mych dzieci. Tak to drobne zdarzenia stają się z biegiem czasu pamiętne. Jeśli chodzi o treść skierowanego do mnie zdania, nie mogę powiedzieć, aby zawierało coś uderzającego. Zbyt krótkie na elokwencję, wypowiedziane tonem pozbawionym uroku, składało się ściśle z trzech słów: „*Look out there!*”²⁴ wykrzykniętych nad moją głową ochryplym głosem.

Słowa te wyszły z ust wielkiego, tłustego mężczyzny (miał wystający, włochaty podbródek) odzianego w granatową wełnianą koszulę i obszerne spodnie podciągnięte bardzo wysoko, aż do poziomu mostka piersiowego, na szelkach wystawionych całkowicie na widok publiczny. W miejscu, gdzie stał, nie było nadburcia tylko poręcz na słupkach, toteż mogłem objąć jednym spojrzeniem całość jego potężnej osoby, od stóp aż do czubka wysokiego, miękkiego kapelusza, który sterczał idiotycznie jak stożek z rondem na wielkiej głowie. Groteskowy, masywny wygląd tego posługacza (był to chyba posługacz, prawdopodobnie czyścił lampy) bardzo mnie zaskoczył. Mój kurs morskiej literatury, moje marzenia i tęsknoty za morzem nie przygotowały mnie na zetknięcie się z kolegą tego rodzaju. Nigdy później nie spotkałem postaci choćby trochę do niego podobnej, chyba tylko na ilustracjach do niezmiernie uciesznych opowiadań W. W. Jacobsa o barkach i statkach przybrzeżnych; ale natchniony talent pana Jacobsa i niewyczerpany humor — z jakim ten autor znęca się nad biednymi, Bogu ducha winnymi żeglarzami — jeszcze nie istniały, ani też jego proza, przesadna w swej pomysłowej wynalazczości, lecz zawsze z artyzmem wyrażająca zaobserwowaną prawdę. Może nawet i pan Jacobs jeszcze nie istniał. Chyba najwyżej mógł się zdobyć w owych

24 Uważać tam! (ang.)

czasach na rozśmieszenie swej niani.

Dlatego też, powtarzam, pominąwszy już inne niesprzyjające warunki, nie mogłem być przygotowany na widok tego starego zachryplego morsa. Swym treściwym odezwaniem się chciałem zwrócić moją uwagę na linę, którą mi rzucił natychmiast. Złapałem ją, choć było to właściwie zbyteczne, ponieważ parowiec stał wówczas na miejscu. Potem wszystko odbyło się bardzo prędko. Czółenko uderzyło z lekkim stukiem o burtę, a pilot, chwyciwszy sznurową drabinkę, wdrapał się na nią do połowy, zanim spostrzegłem, że nasze zadanie było spełnione; ostre, lecz stłumione dzwonienie telegrafu maszynowego uderzyło o moje uszy poprzez żelazne płyty; towarzysz mój w czółnie naglił, abym „mocno odbił”, a gdy oparłem się o gładki bok pierwszego angielskiego statku, jakiego w życiu dotknąłem, poczułem, że on już pulsuje pod moją otwartą dłoń.

Jego dziób obrócił się nieco na zachód, ku miniaturowej, dalekiej latarni morskiej na falochronie Joliet, ledwie dostrzegalnej na tle lądu. Czółno zatańczyło pluskającego dżiga w bruździe okrętu, ja zaś wykręciłem się na lawce i patrzyłem na „Jamesa Westolla”. Gdy oddalił się o jakie ćwierć mili, wywiesił flagę zgodnie z portowymi przepisami dla przybywających i wyruszających statków. Ujrzałem nagle jej trzepot, zanim powiała z drzewca. Czerwona flaga!

W przejrzystym, bezbarwnym powietrzu, opływającym płowe i szare brzegi tego południowego kraju, sine wysepki, bładoniebieskie, szkliste morze pod bładoniebieskim, szklistym niebem zimnego wschodu słońca, była to jak okiem sięgnąć jedyna plama o żywej barwie — płomienna, gorąca i wkrótce taka malutka jak drobna czerwona iskierka, którą skoncentrowane odbicie wielkiego ogniska roznieca w przejrzystym sercu kryształowej kuli. Czerwona flaga — ten rozpostarty szeroko po morzach, symboliczny, opiekuńczy szmat płótna, który przez tyle lat miał mi być jedynym dachem nad głową.